



NEĐZA

~~5319~~

STANISŁAW ŻYŻKOWSKI

ooo

NĘDZA

STUDYUM POWIEŚCIOWE

Czesław Ostrowski



LEON IDZIKOWSKI

Skład Nut
WARSZAWA,
Marszałkowska 119.

WARSZAWA — 1910

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I S-KA
(T. HIŻ I A. TURKUŁ)

88326

Komputer



BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUW0029702

K-168/76/88326



ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Kontemplacja... ogrodowa. Rzut oka w przeszłość „sielską anielską“. Krajowy oryginalny... „szwajcar“ w roli amerykańskiego boa-dusiciela. Wycieczka nad brzeg królowej rzek naszych, połączona z niefortunną przygodą utraty połowy kapitałów. Finał tragi-farsy, czyli opuszczenie kralny stref podniebnych.

Doprawdy, żeby mi tak ktoś z życzliwych objaśnił jakim sposobem znalazłem się tu, w tej zacienionej alei ogrodu i to teraz właśnie w godzinie przedpołudniowej, w porze gdy tłumy rozpróżniaczone włóczą się po zakurzonym terenie tak zwanego „Salonu letniego“ Warszawy, byłbym mu niewymownie wdzięczny; ale bo też nie wiem zaiste jakie лихо zapędziło mnie na tę stojącą w tłumnym szeregu ławkę, gdy właśnie najbardziej rad-bym uniknąć serdecznego widoku zacnych współbraci moich!

Są zaprawdę chwile w naszym życiu, w których za jakąbądź cenę pragniemy samotności, samotności i tylko samotności!

A jednak, stało się.

Przywiodła mnie tutaj najwidoczniej nieodstępna moja kochanka - zaduma, czyniąca swojego niewolnika od pewnego czasu roztagonionym wprost do absurdu!

Siedzę zatem i patrzę na potwornie wydłużonego węża cielsk ludzkich, wijącego się przed moimi oczyma. Siedzę i wzrok więcej niż obojętny układam gdzieś w przestrzeni, jedno z tych spojrzeń beztreściwych, zlewających wszystkie barwy otoczenia w mdły ton ogólnej szarzyzny.

Mózg także odpoczywa w tym momencie. Pomimo upału krew w żyłach zdaje się krzepnąć zwolna; jedynie tam, het, na samem dnie skolatanego ducha tli nieprzytłumiona całkowicie isierka bólu.

Po pewnym czasie, ocknąwszy się nieco z tej katalepsji duchowej, zaczynam już uważniej przyglądać się spacerującym tłumom ludzi, którzy przyszli tutaj odetchnąć świeżem, według ich mniemania, powietrzem i żal srogi, — chwyciwszy mnie oburącz za serce, — ścisnął je tak gwałtownie, że mimowoli wydałem głośne westchnienie.

Mój Boże! — pomyślałem sobie, — wszystko tutaj takie jakieś swobodne, gwarne i w miarę wesołe; ja zaś tylko jeden jedyny z pomiędzy tej całej czeredy stanowią smutny wyjątek.

A jednak ktoby zadał sobie tyle trudu, że zechciałby obrzucić mnie baczniejszem, bardziej — że się tak wyrażę — detektywnem wejrzeniem, nie dostrzegłby w mojej odzieży najlżejszego bodaj zaniedbania, świadczącego o przerażającej nędzy; twarz tylko wyraża zmęczenie, — powiedziała mi to szczoteczka do włosów, zdobna w niewielkie lusterko.

Jestem dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek bądź niewyspany, a przytem głód obrzydliwy, bezlitosny, trzyma kieszki moje jak w kleszczach. Mimowoli myśl lotna cofa się w przeszłość jasną, jak cudowne promienie wiosniatego słońca, — pogodną, jak morze bezkresnego błękitu, a ukochaną, jako to moje jedyne wspomnienie lat dziecięcych, opromienionych głęboką miłością i opieką matczyną.

..... Byłem jedynakiem, — ojca utraciłem bardzo wcześnie; — wychowany przez matkę, świętą, lecz słabą kobietę, należałem do zbyt licznego — niestety — grona tych beniaminków, którzy prócz pieczy matczyniej, nie odczuli w dzieciństwie „sielskiego anielskiego“ surowszych uderzeń losu.

Ponieważ od lat najmłodszych byłem wątły, mizerny i słabowity, przeto matka postanowiła nie posyłać mnie wcale do szkół publicznych, dopełniając starannej zresztą — trzeba przyznać — edukacji w domu, pod okiem prywatnych nauczycieli.

Po jej śmierci stanąłem odrazu wobec świata jako jednostka absolutnie nieprzygotowana do walki o byt powszedni.

— Po ochłonięciu z bolesnych wrażeń rzuciłem się z zawrotnym zaiste impetem w wir życiowych rozkoszy; nie na długo wszakże starczyło śmiesznie skromnych zapasów pieniężnych.

Mamona stopniała jak воск na rozpalonej płycie i oto pewnego pięknego poranku fatum życiowe, stanąwszy nagle przed moimi oczyma, rzuciło mi lakoniczne pytanie: Co teraz będzie?... Serce moje w pierwszym momencie, zaciąwszy się, milczało, jak głaz mogilny; milczała też wylękniona dusza moja, tam jeno, w jednej z komórek młodocianego mózgu drgnął maleńki a żywotny zwój nerwów, przedwcześnie starganych i teraz dopiero po zmęczonem obliczu spłynęły wielkie łzy żalu szczerzego.—Płakałem, pomnę, długo a boleśnie. Na grobie matki szukałem ukojenia, starając się zagłuszyć w sobie widmo trwogi; lecz powracała ona jak wściekły huragan, jako fala spiętrzona i biła rozszałami pianami w zwątląłą pierś moją, waliła z zapalczywością bezlitosnego żywiołu! A fatum życiowe ciskało mi w załzawione oczy bezwzględne pytanie: Co teraz będzie? I nadeszły żywiołowo niszczące dni straszliwej nędzy.

Dzisiaj rano, wychodząc z mojego czwartaka, zostałem zatrzymany na korytarzu przez miejscowego „szwajcara“.

— Przepraszam, — zagadnął mnie z miną nie wróżącą nic dobrego, — przepraszam, ale...

Wiedziałem aż nadto o co temu słoniowi idzie; uprzedzając zatem przykrą indagację, gorączkowo mówić począłem:

— Panie Wojciechu, niechże pan będzie absolutnie spokojny. Jeszcze z tydzień, najdłużej półtora! Wszakże tyle czasu płaciłem regularnie?!

— Płaciłem! płaciłem! Mieszkasz pan wszystkiego kilka głupich miesięcy, a i to jesteś winien już djabli wiedzą ile! A ja nie mogę dłużej czekać! Niechaj pan sobie robi co mu się żywnie podoba! abym ja tylko był uregulowany! Powtóre, — dorzucił z widoczną niewiarą w moje solenne zapewnienia, — zkażde to pan tak zaraz niby wytrzaśniesz tyle pieniędzy?!

Aczkolwiek do żywego szpiku dotknęła mnie ta niczem niehamowana konfidencja gruboskórnie ciosanego prostaka i ten szelmosko brutalny brak wiary w moje najuroczystsze zapewnienia; to jednak—ze względu na możliwość natychmiastowej katastrofy, — pokornie i tonem jaknajbardziej przekonującym odrzekłem:

— Widzisz pan, panie Wojciechu, matka

moja miała kilkaset rubli w kasie oszczędności na Rymarskiej; otóż właśnie podejmuję tę sumę; tylko że tak odrazu nie można odebrać. Jak tylko adwokat udowodni że jestem niby synem swojej matki... uważa pan... niby synem!... pojmujesz pan?... no, to wówczas... owszem!.. pierwszy pan Wojciech!.. Jak Boga kocham, nikt — tylko pan!..

Snać chwiejny ton mowy i dość mętne argumenty w połowie zaledwie przekonały nieoryginalnego, lecz czysto krajowego „szwajcara“, gdyż — wzruszywszy ramionami, — sentencjonalnie dorzucił:

— Mnie ta wszystko równo! — Padam panu — abym swoje wziął — reszta dla mnie — detal! Gospodarz nie pyta! a ja właśnie nie mam nic lepszego do roboty, jak tylko zakładać pieniądze za takich, co to niby mieli matki, niby są synami... terefere — akurat trafił kulą w płot!

U mnie nie żarty! troje dzieci — żona! Żeby tak wszyscy lokatorowie obiecywali tylko, to-by człek już dawno z całym czwartakiem zastrajkował, do cholery ciężkiej i tyle! A zresztą — pal diabli! — tydzień jeszcze czekam! ale to już ostateczny termin, jak Pana Boga kocham! Niechaj pan nie myśli, że gadam na wiosenny wiatr.

— Ach, jakże to mnie pan Wojciech surowo sędzi! — zawołałem z urazą, — przecież

jeżeli proszę o tak maleńką zwłokę, toć nie na to przecież abym miał zwodzić... Zapłacę! Święcie zapłacę, jak Bożię kocham!

I powiesiwszy klucz od pokoiku na desce numerowanej, nabitej żelaznymi prętami, zbiegłem szybko ze schodów.

Historyjka o oszczędnościach, ad hoc skomponowana pod wpływem trwogi, udała mi się niczego — myślałem, — a jednak, jak się to wszystko zakończy, gdy minie ostateczny termin, — dalibóg nie miałem obecnie chęci zastanawiania się nad tem!

W każdym bądź razie we wstrętem odpychałem od siebie denerwującą myśl pozostania bez dachu nad głową.

W kieszeni miałem jeszcze co prawda aż... cztery złote, był to wszakże ostatni fundusz, jakim mogłem rozporządzać według własnego upodobania i woli.

Cóż z tem robić? Przedewszystkiem należałoby chyba zaspokoić głód. Zaszedłem więc do marnej jakiejś kawiarenki, wypilem łapczywie szklankę kawy białej, zjadłem dwa kawałki chleba z masłem i zapłaciwszy „złoty groszy dwa“, — kontent iż zostało mi jeszcze dwa złote groszy dwadzieścia ośm, — wyszedłem zwawszy nieco na miasto.

Dzień był pogodny — ciepły. Promienie słońca pełnemi garściami rzuciły spragnionemu miastu roziskrzane snopy światła.

Ruch na ulicach był znaczny. Pośłańcy spieszyli na swoje posterunki, zapóźnione służki powracały z targów do domu, szwaczki dreptały do codziennych zajęć, urzędnicy szli do biur; ja zaś, niestety, wśród całego tego mrowia pracowników, błądząc po ulicach wielkiego miasta, nie wiedziałem zaiste co czynić, dokąd iść ostatecznie, a właściwie—po co!

Po pewnym wszakże czasie nie wiem nawet jak i kiedy znalazłem się nad brzegiem Wisły.

Orzeźwiający podmuch letniego poranku muskał łagodnie moje spochmurniałe przedwcześnie czoło, wlewając zarazem do młodej duszy szczere ukojenie.

Dziwna rzecz jak błogi a silny wpływ wywiera na mnie słońce! Zaiste, pod wpływem przejasnych jego promieni trwożnie stulona dusza moja budzi się ze snu przykrego, a rozwarłszy nagle tęczowe skrzydła i zwracając wzrok spragniony złocistej kąpieli ku szczytnym wyżynom błękitu, zwolna, a majestatycznie unosi całe jestestwo moje w bezkresną dal krynicznych upojeń.

Stojąc nad brzegiem rozsnutej szmerem srebrzystym wstęgi, modliłem się do wspaniałego bóstwa, a drżące od wzruszenia wargi moje mimowiedzy zda się składały wszechludzki hołd błyszczącej mocy życia.

I w dal tajemną płynął szept młodocianego ducha:

..... Słońce, wieczystego čudu!—kocham
ciebie!...

..... Słońce pogody i radości! — przyjmij

..... podziw i uwielbienie nędzarza!....

..... Słońce! o słońce!...

Rzeka płynie cicho, majestatycznie; tam tylko od strony Zjazdu most żelazny huczy, dźwigając na swym byczym, potężnym grzbiecie dziesiątki tysięcy ludzi, wozów i koni.

Przystań statków parowych zapełniona jest krzykliwym, niesfornym tłumem podróżnych,—tu wszakże, przy wylocie Bednarskiej ulicy, panuje względny spokój.

Pomiędzy dwoma mostami, w stronie wodnej komory, kręci się bezcelowo kilka przedziwnie osłoniętych grenlandzkich trumienek rzecznych, „kajakami“ zwanych, ze sterczącymi w nich, jak korki szampańskie, wiosłarzami. — Tam znów, nieco dalej, dwa angielskich form dwuwiosłowe „gigi“, lub—jeśli kto woli—nasze rodzime „baki“—toczą bój zażarty (na wyścigowym szlaku) o zdobycie... podziwu kilkunastu gapiących się bezmyślnie gawroszów. Nieopodal przystani ciężka, jak sumienie hakatysty, a szczerze niemieckiej marki „hamburka“, na swój wyłączny sposób zdaje się kokietować niewybrednych widzów nad-

brzeźnych. Z całej tej armii pływających skorup, jedynie tylko płasko rozpostarte tratwy, z budkami w rodzaju chińskich „Sampanów“, od wszelakiej chwalby dalekiemi były.

Na jednej z przegniłych belek bulwarku siedzi kilkunastoletni wyrostek, łowiąc na wędkę ryby.

Podchodzę ku niemu.

Chłopiec obrzuca mnie chłodnem i niezbyt przyjaznem wejrzeniem, poczem — nie zwracając już uwagi — powraca do swojej czynności.

Zapaliwszy papierosa, siadam tuż przy nim.

— Jakże idzie? — zagaduję go w sposób jaknajbardziej przyjacielski.

Malec, wzruszywszy ramionami, nic nie odpowiada.

Nie zrażony tem, bynajmniej, zapytuję go powtórnie:

— Dużo-ś nałowił dzisiaj?

Podsuka mi niewielki dzbanuszek, do połowy napełniony wodą.

Teraz dopiero spostrzegam maleńką rybkę, rzucającą się wśród ciasnego grobowca.

— Jedna? — mało! — zauważyłem.

— Kiedy, psia ich mać, dzisiaj nie biorą na muchę!

— Hm, to źle! — dodaję tonem współczucia.

— Czy pan nie ma żywca? — rzuca nagle nieoczekiwane pytanie, co w pierwszej chwili wprowadza mnie w kłopot nielada, gdyż nie mogę odgadnąć na razie, czy malec drwi ze mnie, lub też serjo wierzy w to, iż mogę mieć przy sobie potrzebnego mu robaka.

Mimo woli wszakże uśmiechnąłem się pobłaźliwie.

Widocznie uraził go nieco mój uśmiech, chcąc przeto zatrzeć ujemne wrażenie, jaknajszczerzej objaśniam, iż nie mam przy sobie robaka, w każdym bądź razie w bliskości Leszczyńskiej ulicy, na placu porośniętym trawą, może się znajdzie coś odpowiedniego.

Przypuszczenia moje znalazły snąć odźwięk w sercu młodocianego rybaka, bowiem, zwróciwszy się ku mnie z większem już nieco zaufaniem, proponuje mi potrzymanie wędki.

Podawszy mi wiotkie wędzidło, skoczył w stronę wskazanego przezemnie placu.

W jakiś czas potem powrócił rozpromieniony, ściskając w garści kilka długich, białawych, obrzydliwych robaków.

— O, mam, prze pana, — wołał już zdaleka. A jakie ścierwa grubasy! niczem parówki!

W tymże momencie spławik zlekka drgnął raz i drugi, poczem zanurzył się w wodzie.

Szarpnąłem wędzidłem.

Tuż przy mnie rozlega się okrzyk nietłu-

mionej radości i oto pod mojami nogami zakotłował się piasek.

Chłopak, ze skwapliwością godną lepszej sprawy, schwyciwszy świeżo złowioną rybkę, wprawnym ruchem wydobył z pyszcza haczyk i spojrzawszy teraz na mnie z niekłamaną wdzięcznością, energicznym gestem wrzucił rybę do dzbanka, aż woda chlusnęła do góry.

— Ho, ho, to pan klawo łapie! — zakonkludował malec, poczem, założywszy robaka na haczyk, osobiście już zajął się przerzucaniem spławika pod wodę.

— Na co tobie te ryby? — zagaduję go, widząc iż malec nabrał już jakoś do mnie zaufania.

— Na co? a na obiad, — odparł takim tonem, jakby się dziwił mojemu pytaniu.

— Na obiad? — powtórzyłem z niedowierzaniem w głosie. A toć chyba tego cokolwiek przyskapo! Masz tylko dwie płotki.

— Ha, to będę sterczał, aż się nałapie cały dzbanek.

— A któż to ci ugotuje ten obiad?

— Kto ma ugotować! — ja!

— Nie masz matki?

— Co nie mam mieć?!

— Dla czego więc matka nie gotuje?

— Bo leży chora.

— A ojciec?

— Fatroski. E, tego to nie ma wcale.

— Gdzież on się obraca? Czy porzucił was może?

— Eh, nie, tylko że... nie żyje!

— Czyś ty jednak?

— A gdzieżby tam! Jest nas pięcioro.

— Któż na was wszystkich pracuje?

— Kto ma pracować, — nikt.

— No, pięknie, ależ ostatecznie — z czego żyjecie?

— A bo ja tam wiem z czego? Jak nie ma „wsuwy“, to się łapie ryby i kwita!

Żał mi się zrobiło nieszczęśliwej matki i tych pięciorga zgłodniałych dzieciaków; to też — wydobywszy z kieszeni czterdzieści groszy, wręczyłem je chłopcu, mówiąc:

— Wracaj do domu, a kup po drodze coś do zjedzenia. Dałbym ci więcej, ale nie mam... drobnych.

Chłopak stoi przez czas jakiś, jakby oszłomiony niespodziewanym datkiem, wreszcie składa wędkę i pochwyciwszy dzbanek, sunie wprost przed siebie.

Jakieżż wszakże doznałem przykrości i nie-miłego zdumienia, gdy — ubiegłszy tak około stu kroków, przystanął nagle i zwinąwszy dłoń w trąbkę, huknął:

— A tom ci pana nabrał na piątkę głodnego drobiazgu i dychawiczną macierz! Hu! ha!

I trzepnąwszy w powietrzu rękami, aż woda chlusnęła z dzbanuszka — pomknął jak strzała w stronę miasta.

Rzuciłem się ku niemu, aby dopędzić niewdzięcznego ulicznika, lecz zanim zdążyłem ruszyć na dobre do ataku, — urwis zniknął mi z przed oczu.

Filantropia moja stanowczo okazała się „ślepą“. Nadomiar wszystkiego zostało mi w kieszeni czterdzieści ośm groszy, w głębi zaś młodocianej duszy żal okrutny do samego siebie, z powodu tak niefortunnego umieszczenia niemal połowy moich kapitałów.

Około trzeciej, uczuwszy pustkę w żołądku, skierowałem swe kroki na Krakowskie Przedmieście, gdzie za ostatnie czterdzieści ośm groszy, zjadłszy obiad w tak zwanym „taniaku“, — pozostałem w dosłownym znaczeniu tego słowa — bez grosza przy duszy!

Wreszcie minął nieszczęsny tydzień, a z nim ostateczny termin wyznaczony przez nieubłagane „szwajcara“.

Wojciech, nie otrzymawszy ode mnie przyrzeczonych pieniędzy, oznajmił uroczyście abym bezwarunkowo opuścił zajmowany dotychczas pokój, gdyż jest on już przez innego lokatora wynajęty i zadatkowany.

— Proszę zostawić kwit, — mówił do mnie tonem wykluczającym stanowczo wszelką opozycję — i zabierać graty.

Niechaj pan lepiej już nie czeka, aż za-trzymam mu i tę trochę rupieci!

Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko, milcząc — opuścić niegościnną krainę stref podniebnych.

Vae mihi!

ROZDZIAŁ DRUGI.

Prawdziwy sabat golizny. Omal ze nie tragiczna scena w lombardzie. Uderzające podobieństwo moje do pradiada Lukullusa. Perspektywa noclegu pod obnażonym firmamentem. Tonący brzytwy się chwyta, lub — jak kto woli: — Polowanie na przyjaciela, posiadającego... łózko. Kojący nocleg w przybytku pcheł wojujących.

Graty moje kawalerskie sprzedałem handlarzowi ulicznemu za pokazną jak na ówczesne stosunki ekonomiczne i okrągłą sumę sześciu rubli. Nie na długo mi jednak starczyło tej mamony. W tydzień byłem już tak goły przeraźliwie, jak nowo narodzone dziecię.

Sic fata tulere! Widocznie nie przeznaczono mi być miliarderm!

Idąc zwolna, krokiem nieco chwiejnym, napróżno zda się suszyłem mózg, znużony bezustannym powrotem myśli do jednej, jedynej,

a najbardziej niepokojącej mnie obecnie kwestii dzisiejszego obiadu.

Sprawa pozornie nie tak znów bardzo poważna dla codziennych zjadaczy wołowej z garniturkiem; lecz ja — przez Boga żywego — już drugi dzień bez obiadu!

Dla mnie zatem nie bagatela!

Wczoraj, eh, wczoraj — głupstwo! była kiszka! Ćwierć funta wprawdzie, lecz zawsze coś było!, ale dzisiaj — rozpacz!

Mam coprawda na sobie jedną szatę wysokiego zbytku: jest to palto letnie, koloru piasku wiślanego, na atlasowej podszewce, omal że nie hiszpańskiej! — Saczek wprawdzie pracowicie zdezelowany i zdobny w wiele plam osobiście wycieranych benzyną w tych błogosławionych czasach, gdy to jeszcze nawiązywało się maszynkę „*Trademark primus № 1*” i prawie że regularnie pijało herbatę, zagryzając bułeczkami „para pięć”.

Możnaby go wprawdzie „przybić”, lecz dwie okoliczności niezbyt przyjazne sprzeciwiały się temu: po pierwsze, dnie bywały co raz chłodniejsze, zwłaszcza przekłete wieczory; druga zaś, groźniejsza bodaj nawet od pierwszej okoliczność wyłaniała się jako olbrzymi znak zapytania: czy mianowicie argumenty sowe oko męża od taksy lombardowej nie nabierze zbyt wielkiego obrzydzenia i wzgardy do ukrytych jak fijołki w trawie plam i pla-

mek, rozrzuconych skromnie po piaskowym materiale znużonej szaty. Porzuciwszy jednak złowrogie przypuszczenia, nie namyślając się już dłużej ani chwili, lekkim stosunkowo krokiem skierowałem się w stronę Nowogrodzkiej ulicy.

Przeszedłszy kawałek śmietnika, (uważanego tutaj śnać za podwórko), po kilkunastu wilgotnych, zrujnowanych schodach, wszedłem do ciemnej nory, gdzie nędza ludzka składała swoje łachmany, odpychając chwilowo widmo wszechpanującego nam... głodu.

Nie brakło tutaj wprawdzie jednostek, dla których pragnienie zagłuszenia w sobie zgryzot doczesnych nie mniej ważną odgrywało rolę; to też charakterystyczny zapach wódki, zmieszany z wyziewami gryzącego dymu tytoniowego, mniej otrząskanych z podobną atmosferą, przyprawiał o zawrót głowy i mdłości.

Nie zwracając jednak uwagi na to wszystko, po niedługim stosunkowo oczekiwaniu, docisnąłem się do postrzępionej siatki drucianej, oddzielającej przybytek bezrzytkownego kredytu.

Stara kulawa żydówka, pomimo tak znacznego natłoku, najspokojniej zajadała bułkę z masłem, popijając co chwila herbatą.

— Proszę... palto..., — przemówiłem nieśmiało, — a widząc iż cichy debiut mój lombardowy nie wywiera na właścicielkę odpo-

wiedniego wrażenia, ponowiłem propozycję, lecz i tym razem zacna stara pani nie zwróciła ku mnie zaczerwienionych powiek.

— A rugnij-że ją pan, psia jej mać!—huknął mi nad uchem jakiś bas wściekle głęboki i ochryply, co naturalnym biegiem rzeczy, natychmiast wywołało odpowiednio zredagowaną opozycję.

— Ty pijanica! potrzebujesz stulicz pisk!—wrzasnął tuż przy kratce blady, piegowaty biurokrata od wpisywania fantów. Czy ty będziesz robisz skandal, czy nie będziesz robisz skandal, to ty na swój bandycki, tombakowy, skradziony łańcuszek dostaniesz, wiesz co?... o, to!!...

Przy tych słowach został zainicjowany gest, niepodlegający wprost żadnej krytyce...

Sądziłem że zainterpelowany w tak nieparlamentarny sposób alkoholik, rzuci się na kłatkę drucianą, jednak—gwoli mojemu zdumieniu wybuchnął on tylko śmiechem tubalnym; ja zaś skorzystałem o tyle, że matrona od taksy, dochlipawszy ostatnich resztek zimnej herbaty, wzięła ode mnie palto.

Serce waliło mi jak maszyna w samochodzie.

Po krótkiej chwili usłyszałem jedno tylko, ale za to precudne słowo:

— Pięć...

— Płomień buchnął mi prosto w pierś.

— Pięć?—powtórzyłem jak leśne, majowe echo,—ale czy... pięć rubli?...

Nieokrzesany głośny, wybitnie wulgarny śmiech gruchnął po za kratkami lombardu.

— Co?... pięć rubli?!... — poczęła prze-drzeźniać kulawa niewiasta, — coś pan taki przyszcypny! aj! Na stary śmierzdzący łać on chce pięć rubli!!... kikste! zkład pan przyjechał?!

Po chwili wszakże spokojnym już, matowym tonem dopełniła:

— Pięć złotych!

I rzuciwszy na bok palto, oglądała już nowy fant w postaci ... dewizki, najspokojniej przyjętej od właściciela głębokiego i ochrypłego basa.

W kwadrans potem byłem już posiadaczem trzech czterdziestówek, jednej złotówki i... kwitu lombardowego na zastawioną szatę.

Mój Boże jedyny! pięć złotych! całe okragłe pięć złotych!!

Dla przeciętnego zjadacza chleba, jest to zwykły kurs parokonki, — dla mnie jednak, w tej chwili, suma ta stanowiła wszystko, — złoty humor, pogodę uspokojonej myśli, równowagę skołatanego przedtem ducha, a głównie — dawała mi możliwość pogodzenia mnie z zagniewanym srodze żołądkiem.

Wyszedłszy szybko na ulicę, wpadłem naraz w tak bajeczny humor, że gdy

by mnie spotkał w tym momencie ktoś ze znajomych, mógłby śmiało posądzić, że otrzymałem posadę conajmniej na parę tysięcy rubli rocznie.

Zdawało mi się, że jestem posiadaczem skarbów Golkondy!

A zatem będę jadł obiad!! O Boże mój jedyny! co za radość nieopisana!

Słowo ciałem się stało: w dniu tym, tak dla mnie uroczystym, spożyłem w taniaku „№ 2“ wazkę gorącego, jak serce dziewicze, rosołu, — dwie porcje „rzymskiej“ z kartofelkami, oraz całkowite trzy kromki chleba; miałem więc nawet dzisiaj coś pokrewnego z rzymskim smakoszem Lukullusem. — Być może iż mógłby mi ktoś z życzliwych zwrócić uwagę, że należałoby poprzestać na jednej porcji pieczeni; ja jednak, wystąpiwszy w obrobie pustego żołądka, zapewniłbym go niebawem iż głód, osłabiając w człowieku wolę, rzadzi nim częstokroć samowładnie.

Ileć razy pozwolonoby mi być sędzią nędzarza, kradnącego chleb, w chwilach gorączki głodowej, — zawsze wydałbym wyrok potępienia na... społeczeństwo, które pozwala na to, aby w błyszczących środowiskach sytych parweniuszów mogli znajdować się wyzuci z praw doczesnych paryasi, łaknący kawałka czarnego chleba!

Anim się spostrzegł gdy chłodna noc wrześniowa zaskoczyła mnie bez dachu nad głową.

Sytuacja nie do pozazdroszczenia! Co tu robić! do diabła! przecież na ławce w alejach Ujazdowskich spać nie sposób! bodajby już z tej tylko prostej przyczyny, że policjant ściągnąłby mnie stamtąd wprost do cyrkułu; siedzieć zaś w ciupie i w dodatku w towarzystwie niezbyt dobranem — także mała rozkosz!

Jeżeli człowiek, staczający się z góry w przepaść bezdenną, zdolny jest zachować chociażby odrobinę przytomności umysłu, — w takim razie śmierć nie może być całkowicie pewną swojej ofiary.

Lada krzew, nieznacznie sterczący po nad czarną otchłanią, pochwycony oburącz w skurczone spazmatycznie palce, zatrzymuje nagle spadające z zawrotną szybkością ciało — osłabia siłę upadku i ostatecznie ratuje je od niechybnej zagłady.

Czułem że ta chłodna noc jesienna, rozsnuta tak bezlitośnie nad głową moją, stacza mnie właśnie w taką czarną przepaść krańcowej niedoli, jednak, na szczęście, w chwilach właśnie najkrytyczniejszych, nigdy nie opuszczała mnie przytomność umysłu; nie zawsze więc złośliwe widmo nędzy miało powód do pełnego tryumfu nade mną. Tak było i tym razem: Zziębnięty, głodny, zmizerowany jak ostatni asceta, znalazłszy się na Nowym Świe-

cie, za jakąbądź cenę postanowiłem odszukać kogoś ze znajomych. Miałem ich przecież pod dostatkiem.

Najważniejszym zadaniem krytycznej chwili było zapewnienie sobie dachu nad głową na tę jedną, jedyną, tak wyjątkowo chłodną noc jesienną, a potem—*vogue la galère!* Przecież u licha muszę coś poradzić na ten nieszczęsny brak mieszkania!

Na rogu Alei Jerozolimskiej znajdowała się restauracja; jedna z tych wstrętnych, obszernych, a jednak cuchnących knajp, odwiedzanych przeważnie w nocy przez liczną rzeszę bałwochwalczych czcicieli Gambrynusa. Bywało też tutaj wielu czynowników rządowych.

Nie wielka coprawda była szansa szukania znajomych w tym klubie istinnych lubitelej oczyszczЕННОj, z kusoczkiem sielodoczki; jednakże trwoga pozostania bez mizernego bodaj skrawka sklepienia nad wylęknionym mózgiem nie pozwalała na opuszczanie najłżejszej nawet okazji znalezienia szczęśliwego posiadacza pokoju, zdobnego w najskromniejszą chociażby łożczynę.

Na szczęście tym razem nie zawiodła mnie moja przebogata intuicja, — przy jednym bowiem ze stolików huczało nie tyle liczne o ile misternie dobrane towarzystwo kontrabstyn-tów, pomiędzy którymi spragnione noclegu,

a znużone oczy moje momentalnie wyłowiły jednego z niezgorzej zażyłych towarzyszków tak niedawno jeszcze minionych dobrych, bo brzemiennej w brzęczącą monetę czasów.

Olek, spostrzegłszy mnie wchodzącego do sali, kiwnął przyjaźnie głową, a przywitawszy się następnie, zaprosił do wspólnego stołu.

O to mi szło właśnie!

Rekomendacja nie zajęła zbyt wiele czasu, poczem już, przerwany chwilowo gwar towarzyskiej dyskusji, zerwał się nianowo ze wzmożoną bodaj siłą i tem się jedynie różnił od wiosennego podmuchu, iż wietrzyk wiosniany osusza na polach brzozy, wypełnione świeżo roztopioną śnieżycą; gdy tutaj, w tym przybytku nocnych ukojeń, pod wpływem podnieconej temperatury do granic zakreślonych przez mieszaninę odpowiednich trunków, osuszały się sztofy — butle — butelki i flaszeczki najróżnorodniejszych form i gatunków.

Nachyliwszy się do ucha młodego biesiadnika, wyznałem teraz grzech mojej puste, jak przednówkowa stodoła, kieszeni.

Nie przeraziło go to jednak bynajmniej, bowiem, — jak się przyznał, — jego kieszka, bynajmniej tym razem, zaopatrzona była w grubszą monetę, dochodzącą do sumy aż ośmiu srebrników, kurs w tym niewolniczym kraju mających. Nie bagatel!

Po pewnym czasie, korzystając ze zgiełku, spowodowanego zbyt gorączkowo prowadzoną dysputą rozhułanych nadobrych biesiadników,—nachyliłem się do ucha mojego kompana.

— Słuchaj, Olek, mam do ciebie prośbę..., uważasz..., małą bzdurną prośbę,—szepnąłem, lecz w tej chwili głos ugrzązł mi w gardle, gdyż przypomniła mi się zdrowa rada jednego z trzeźwych satyryków:

Gdy się z głodu staniesz błądy,
Luby synku, jako kreda,
Nie mów wtedy żeś jest głodny,
Na chleb centa nikt ci nie da;
Ale wyznaj że ci zbrakło
Na dziewczynkę, lub karcietę,
Wtedy chętnie ci użyczą
Nie jednego bodaj centa.

Olek jednak, spostrzegłszy zda się moje wahanie, jakby dla ośmielenia mnie, dobrodusznym tonem pochwycił:

— Prośbę, ależ owszem, wyłuszczać pracownicy, luby chłopie. O cóż więc idzie?

— Zgubiłem klucz od mieszkania i nie mogę dostać się w żaden sposób do siebie.

— A to przezabawna szopka!—zaśmiał się Olek.

— Dla ciebie może i zabawna, ale dla mnie mniej ona humorystyczna.

— Oczywiście, żart na stronę, ale w gruncie rzeczy to poważnie głupie interludium! Zatem nie ma co, tylko grzmij do hotelu.

— Kiedy-bo właśnie chciałem cię prosić żebyś mnie przenocował u siebie. Nie mam przy sobie legitymacji, a zresztą jakże możesz mi proponować hotel, gdy wiesz dobrze że goły jak święty turek.

Olek zamyślił się dostatecznie serjo, a drapiąc się w rozwichrzoną czuprynę, z grymasem pewnego zakłopotania bąknął:

— Hm, rzeczywiście... no, niby racja stanu jest, bo jest, ale z tem wszystkiem jakże ja cię, robaku, mogę przyjąć pod swoje skrzydła, kiedy nie sam mieszkam.

Wary buchnęły mi do głowy.

— Jakto, nie sam! a z kimże?

— To cała historia. Oto, widzisz, od niejakiego czasu przytuliła się do mnie pewna bezdomna sierota płci dziewczęcej.—Wyobraź sobie, biedactwo ma lat siedmnaście, oczęta jak bławaty, usta—niczem wisienki na pół rozkrojone, a biust!, no, diabli cię biorą jak swego! Przytem niewinny berbec jak nowoulegnięty cherubin.—Właśnie dzisiaj nocuje u mnie.

Pomimo srogiego zgnębienia, roześmiałem się głośno, lecz śmiech mój nie był—bynajmniej—szczerzy.

— W takim razie przepraszam cię,—podchwyciłem z odcieniem sarkazmu w głosie;—nie wiedziałem nic o twoim zabójczym sukcesie zdobytym w świecie niewinnie nocujących cherubinów. Dla pewności wszakże skwapliwie winszuję!

— No, no, nie gniewaj się, krasomówco!—zawołał żywo Olek, potrząsając mojem ramieniem, a nachyliwszy się do ucha, przyjacieliskim tonem zaproponował mi skromną pozyczkę.

Po chwilowem i więcej pozornem niż szczerem wahaniu przyjąłem ją i wypiwszy ostatnią szklankę piwa, dyskretnie, jak to mówią—po angielsku opuściłem rozbawione gro-
no niezabawnych z tem wszystkim czcicieli bożka Bachusa.

Jakżem rozkosznie spał tej nocy w trzyzłotowym „numerze“ podrzędnego hoteliku, ten tylko może odczuć, kto bodaj raz w życiu doczesnem znajdował się w podobnie miłej sytuacji, a chociaż pchły z pluskwami stoczyły walną bitwę na wdzięcznym śnać dla nich terenie grzesznego ciała mego; to jednak ruchy strategiczne mężnych a wojowniczych insektów nie zdolne były całkowicie spędzić snu z obrzmiałych powiek znużonego włóczęgi.

Około południa dopiero, zbudzony podniesionymi głosami, dolatającymi z korytarza

hotelowego, uprzytomniłem sobie całą grozę położenia, w jakim nocy dzisiejszej znajdowała się skołatana moja głowa, pozbawiona tak elementarnej osłony od jesiennych wichrów, jaką jest najbardziej bodaj zbrukana płaszczyzna, lecz w każdymbądź razie sufitem zwana.

Leżąc na wstrętne łożu, przyglądałem się prętom poprzecznym, powyginanym w kierunku odśrodkowym i ciekawość moja młodzieńcza, na razie przynajmniej, nie znajdowała odpowiedzi na jedno co prawda dość dziecinne pytanie: co za wielkoludy muszą być w tym przybytku morowego niechlujstwa, skoro mebel, wystarczający na bardzo nawet słuszny wzrost człowieka, okazuje się dla nich zakrótki i to tak dalece, że zmuszeni bywają całą siłą niedźwiedzych stóp swoich rozpierać żelazne spoidła łoża hotelowego... Nie długo wszakże trwała ciemnia myśli moich. Zawstydziłem się sam przed sobą. Rebus w sposób nader prosty został rozwiązany...

Łóżko hotelowe!...

Gdybyż oślizgłe od pluskiewnego tłuszczu martwe żelazo, bodaj na chwilę — ożywszy — odzyskało mowę dla nas zrozumiałą, ileżby ono tajemnic wypowiedać mogło... Horendum!..... Łóżko hotelowe!..

Jakiż amalgamat barw wulgarnych skła-

dałby się na możliwie wierne odmalowanie upadku i bestyjalnych czynów, spełnionych tu, na tym barłogu snu wątpliwego, lecz za to bezsprzecznie płatnych podnieceń zmysłowych, zwyrodnienia natury ludzkiej i chorób, epilogowanych na operacyjnym stole lekarza...

Następnie wzrok mój, nawpół jeszcze omdlały i tępy, począł się ślizgać kolejno po skandalicznym „umeblowaniu“ zatęchłego po-koiku.

Czytnąc marząco-leniwy przegląd nielicznych rupieci, rozkraczonych pod wilgotnemi ścianami, spoglądałem na bezlitośnie odrapanie nogi stołu, spowitego w barbarzyńsko tłustą serwetę spłowiało-szpinakowatej barwy,— na wyszczerbioną miskę, do połowy napelnioną mętną wodą,— na umywalnię, tak bajecznie pogiętą i oblepioną mydlinowym brudem, iż na samą myśl zbliżenia się do niej, dusza przeciętnego estety, wzdrygając się, wylękniona srodze, siadała na drżącym ramieniu. Było to zaiste vestiarium godne małomiasteczkowego... śmietnika!—Pozatem jedno jedyne krzesło, istna arka prokrustowej niewygody, niegdyś kusząco wyścielane prawowierną kępą włosienicy,—dzisiaj zaś rozkudłaczonym waldharem zanoszące rozpalone skargi do niechłujnych stóp abnegacyjnego wielkorządcy djabelskiej budy, dopełniało nonszalancyjnej ornamentyki zajmowanej przeze mnie nory.

A jednak, leżąc na łóżku z podłożonemi pod głowę dłońmi, czułem się teraz przynajmniej o pół nieba szczęśliwszy, niż wczorajszego wieczoru, gdy będąc niepewnym czy znajdę jakąkolwiek osłonę dla zziębniętej powłoki cielesnej, z płaczącą duszą moją włoczyłem się po opustoszałych ulicach usypiającego miasta.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Ósmy cud świata, czyli nieprawdopodobne spotkanie z moim dłużnikiem. Bajeczne locum u ciotki Grzebulskiej, wynalazczyni kropelek pocieszenia. Niezbyt fortunny występ mój w charakterze przedstawiciela kwaśnej firmy. Dziura w bucie jako przyczyna ciężkiej rozpaczy, zakończonej ryzykownem zabrnięciem w krainę maligny.

Pocziwy Olek sprzedał mi (rozumie się na okragły kredyt) stare swoje palto zimowe, co uchroniło mnie, w danej chwili przynajmniej, od srogiego zapalenia płuc, lub też innej jakiejś, niemniej skandalicznej przypadłości. Była to wprawdzie szata nie pozbawiona pewnych zalet, ale też widniały na niej i ujemne ślady kilkoletniej, a właściwie kilkozimowej wędrówki doczesnej; w każdymbądź razie znużone rysy rozsypujące się zwolna

przędzy, pod przetartą podrzewką swoją wytwarzały ciepłik, zasługujący na bezkrytyczne błogosławieństwo tułacza.

Los przytem uśmiechnął się do mnie miłej cokolwiek, niż zwykł to być czynić do niedawna, bowiem ja — zdeklarowany nędzarz — spotkałem na Nowym Świecie (niktby nie dał wiary!) — dłużnika mego!!

Był to jeden z dalszych nawet znajomych. Należąc kiedyś przypadkowo do grona moich kompanów restauracyjnych, przegrał do mnie w bilard półczwarta rubla, wobec jednak przykrew ewentualności uregulowania rachunku z kelnerem, pozostało mu szare płótno w kieszeni; przeto prosił mnie o skredytowanie przegranej, na co się chętnie zgodziłem, tym więcej iż partner mój był synem zamożnych rodziców i używał opinii solidnego młodziana.

I oto teraz, ujrzawszy mnie na ulicy i przeprosiwszy za zbyt długą zwłokę, spowodowaną niespotykaniem mnie na mieście, wręczył mi owe półczwarta rubla.

Pieniądze przyjąłem z pewną nawet nonszalancją, jakby od pańskiego niechcenia; zaledwie wszakże zacny mój a nieoceniony ex-partner zdążył pożegnać się ze mną, — dostałem nagle tak gwałtownego zawrotu głowy, iż omal nie wpadłem pod gumowe koła rozszałatego dryndziarza!

Czując na młodocianym grzbiecie odpowiednią warstwę waty, niedopuszczającej chłodu, w kieszeni zaś taki ogrom monety i to w dodatku — jakby manny spadłej prosto z błękitu, nie miałem zaiste pojęcia, czy, postępując śladami angielskiego joblera — z całym animuszem rzucić się w spienione wiry gry giełdowej; lub też — co było, jak się zdaje, o wiele praktyczniej — pomyśleć o kupieniu czteropiętrowego „drapacza nieba“, który by mi dał możność zdobycia poważnych zysków materialnych. Po pewnym wszakże czasie, po ochłonięciu z pierwszego oszołomienia, doszedłem z wolna do przekonania, że najrozsądniej jednakże będzie, jeśli, nie zwlekając ani chwili, pójdę poszukać najmniejszej bodaj nory, czyli tak zwanego w gwarze warszawskiej — mieszkania „kątem“.

Szukaj a znajdziesz — powiada pismo — i zda się iż mądrość w tem tkwi nietuzinkowa, skoro w parę godzin potem, z łatwością godną podziwu, znalazłem locum na Złotej, nieopodal Marszałkowskiej, pod wszechgościnną strzechą ciotki Grzebulskiej, utrzymującej pensjonat „mieszany“, gdzie pięć nadobna przystęp miewała niemal narówni z podlejszą połową rodu.

Co prawda nie było to pomieszczenie zbyt wykwintne i obiecujące z bardzo, a bardzo nawet wielu względów, lecz przecież non

locus virum, sed vir locum ornat!, godność moja zatem w niczem ucierpieć tutaj nie mogła!

Mieszkanie złożone z dość obszernych dwóch pokoi—ciemnego przedpokoju, oraz zadymionej i wieczyście dusznej kuchni, w (której perfumy mieszały się z zapachami podejrzanых potraw), formalnie rościło się od lokatorów. — Był to istny ul!

Nawet szary, maleńki przedpokoik miał tutaj inne, niż to zazwyczaj bywa, przeznaczenie, służył on bowiem jako skromny pro-naos cioci Grzebulskiej; — tutaj umieściła ona swoją przewonną pościel, wśród której w czasie nocnej ciszy błogo i bezpretensjonalnie tonęły zamierzchłe ex - wdzięki zacnej matrony.

Za to względnie słoneczna kuchnia spełniała aż dwie wręcz odmienne role: Była to urzędowa gotownia i zarazem prywatny par-tenon dwóch warunkowych dziewcz, z których wszakże każda z osobna, jak i wzięte razem, jakkolwiek nie miały nic wspólnego z boginią mądrości Ateną; to jednak nadawały one ton gościnnym salonom cioci Grzebulskiej.

Były to panna Klarcia i Marcia: blondyna i brunetka.

Gdy w habrowych oczętach pierwszej błękit się przeglądał; — druga—głębią zawrotnych kirów trwożny podziw budziła.

Słowem Klarcia i Marcia — to dwa kontrasty pięknych bezsprzecznie ciał i gdyby duszyczki ich, na szczęście, nie posiadały bliźniaczego pociągu do uciech światowych, — łącno mógłbyś przypuścić, że cnota czcigodnej matrony Grzebulskiej, prawowitej mamuni dwóch apetycznych dziewcz, zagmatwanemi krążyła ścieżkami...

Klarcia, w chwilach wolnych od zajęć bardziej produkcyjnych, od czasu do czasu uczęszczała do magazynu mód; gdy Marcia, mając — niestety — wszystkie chwile rozkosznych snów dziewczyczych zajęte pracą, gwarantującą... hal-ki szeleszcząco-jedwabne, oraz buciki lakierowane od czuba do pięty, jawnie już potępiała zajęcie w nędznym magazynie, gdzie zazwyczaj wędzną pierwotnie zaróżowione, ciepłe biusty wiośnianych Meliteli...

Pozostawmy wreszcie w chwilowym spokoju nowoczesną świątynię średniokosztownych bogiń i przeszedłszy z pewnego rodzaju kurtuazją do dalszych pokoi, rzućmy od niechcenia pierwsze wejrzenie na sceneryę przygotowaną przewidującą dłonią cioci Grzebulskiej.

A zatem, baczność: wchodzimy do pierwszej komnaty.

Środek jej zajmuje duży stół, bezsprzecznie masyw... sosnowy, przykryty wyrafinowanym obrusem, wołającym o srogą pomstę

do najbezwzględniejszych potęg, karzących niechlujstwo abnegacyjnych istot, za ich absolutny brak poczucia elementarnych zasad czystości.

Reszty charakterystycznego umeblowania „salonu“ dopełnia kilka krzeseł; chwiejących się melancholijnie na rozczapierzonych nogach, oraz ni mniej ni więcej tylko... pięć łóżek kawalerskich; dodawszy do tego jeszcze... sześć błogich wygod, przytulonych dyskretnie pod ścianami drugiego pokoju, — będziemy mieli pokątną cyfrę jedenastu delikwentów, płacących mniej więcej regularnie po trzy srebrniki, składając haracz trzydziesto-trzy rublowy w nieomylnie kończyny przedsiębiorczej matrony, a że przytem lube ciotczysko niezgorzej jakoś umiało ratować się od materialnych utrapień racjonalnem truciem stołowników, oraz bogobojnym a cichym wyszynkiem krystalicznie czystej z kropelkami własnego wyrobu i pomysłu, przeto koniec z końcem wiązywał się kapitalnie.

Wręczywszy z góry dziesięć złotych zadatku mieszkaniowego, oraz całkowite dwa złote i groszy dwadzieścia na pranie pościeli, przeszedłem ostentacyjnie do drugiej komnaty, gdzie w jednym rogu, tuż po za drzwiami, objąłem w posiadanie niewielkie łóżko żelazne, które jednak wydało mi się w tej chwili jako wspaniałe sedia gestatoria! Na tym to statku

od dnia dzisiejszego miała spoczywać uroczyste nastrojona, patrycjalna powłoka rozbudzonej do nowego życia duszy.

I zaczęły się błogie nadwyraz dni jasnego Aranjuezu, pomimo bowiem dorzucenia czterech złotych a conto przyszłych obiadów u piekielnie sympatycznej ciotki, pozostał mi jeszcze w kalecie zmięty, stary papierek, posiadający wszakże cudowną własność rubla. Słowem, po raz pierwszy od dawnego już stosunkowo czasu znajdowałem się w pozycji, budzącej nawet pewną sensację wpośród licznie zebranych lokatorów gościnnego domu.

Baczenie też a podejrzliwie nieco z podełba szpakowatego spoglądał na mnie najstarszy z lokatorów pierwszej komnaty, pan Anastazy Wardziak, rzeczywisty... pokątny doradca, szumnie panem adwokatem zwany. Niemniej ciekawie przyglądali mi się dwaj bracia flackiewiczze, z których pierwszy, Jan, jak mnie poufnie objaśniono, — zajmował się... skrupulatnem liczeniem gwiazd na niebie, (nazywano go też tutaj astronomem); — drugi zaś, Józef, piastował wysoką godność... kontrolera liści spadłych z drzew ogrodu Saskiego.

Skromna a cicha osobistość moja budziła też pewne zajęcie w dwóch pozostałych sąsiadach pierwszej komnaty: Byli to imć Marek Kwiczół, sprzedawca pasty do butów własnego wyrobu i wynalazku, jako też, będący

chwilowo bez określonej pracy, młody niemiaszek Johan Baron, tem jedynie różniący się od utytułowanych prawnie baronów, iż... nigdy nie był baronem.

Najbliższymi moimi szlaskamratami byli naturalnie lokatorowie drugiego pokoju.

Zastąłem też tutaj niemniej ciekawe kółko niecodziennych zjadaczy chleba powszedniego.

Tuż przy samem oknie ulokował swoją niepowszednią postać pan Kryspin, Agapit, dwóch imion Kudasiewicz, przemysłowiec, wyrabiający papierosy na potrzeby jednego z biur kolejowych.

Po przeciwnej stronie ściany, dzierżawcą kulawego łoża był niejaki Kajetan Barwinek, artysta-malarz, omal że nie z bożej łaski. Nie chcąc—jak mawiał—pereł ciskać między trzodę chlewną, wołał raczej talent swój niepowszedni topić w czystej, z kropelkami wyrobu samej ciotki Grzebulskiej.

Nieopodal mojego posłania osiedloną była ceniąca się wielce persona, którą tu ogólnie panem redaktorem zwano, z powodu iż zacny Kajcio Grajmurski starał się ongi o koncesję na tygodnik humorystyczny p. t. „*Pszytyk!*“, której mu zgniła biurokracja odmówiła, powodując stratę czterech złotych, wydanych na markę stemplową.

Naprzeciw „redaktora“ umieścił się Piotr Timofiejewicz Akunijew, niegdyś rewirowy, później nauczyciel szkół miejskich, — dzisiaj zaś zdeklarowany „lubiciel oczyszczЕННОj z kucoczkom sielodki“.

Szczęściem, że tuż obok mojego kącika stało okrutnie pogięte łóżko, dzierżawcą którego był dobry mój i dawny znajomy, Stach Wiercieński, po najdłuższej egzystencji stryja swojego, harpagona, domniemany kamienicznik warszawski; obecnie jednak cichy a przedziwnie etatowy pracownik telegrafu, pobierający aż... 25 rubli pensji miesięcznej. Wiercieński, było to serce szlachetne, umysł wysoce egzageracyjny, zapalny, odznaczający się przytem wybujałą fantazją; wreszcie społecznik, pełen oryginalnych projektów na przyszłość.

Siedząc na połamanem łóżku, budował domy pracy, wznosił nieklamane bezpłatne szpitale i tym podobne przybytki kojenia cierpień doczesnych;—a wszystko to miało przyoblec formy konkretne po najdłuższem (daj Boże—najkrótszem) życiu krociowego sknery—stryjaszka. — — —

Nie można powiedzieć aby życie w domu ciotki Grzebulskiej płynęło cichym strumieniem; przeciwnie—przewalało się ono i kłębiło jak fale u podnóża pienistego wodospadu; zwłaszcza w porze obiadowej, gdy czcigodne

zgromadzenie codziennych stołowników bywało niezwykle liczne i — dzięki kropelkom cici Grzebulskiej — na odpowiedni ton nastrojone. — —

Pewnego razu, gdy Wiercieński powrócił z nocnego dyżuru, korzystając z okazji, iż nikogo prócz nas dwóch nie było w pokoju, postanowiłem zasięgnąć jego rady, gdyż istotnie, nie jedwabne nici sytuacji, w jaką wtrącony zostałem, zwłaszcza w dniach ostatnich, kaducznie się splątały.

Prawie że dwa tygodnie mijało już od chwili wprowadzenia mojej golizny do domu ciotki Grzebulskiej, a ja — niestety — prócz kilkunasto-złotówkowego zadatku, nic ponad to nie byłem jej w stanie ofiarować!

Kwestja z obiadami kołtuniła się też coraz bardziej i to tak niefortunnie, że w dniu wczorajszym przewidująca niewiasta jaknajuroczyściej zapowiedziała mi, że dopóki nie ureguluję zaległego srodze rachunku, — stołować mnie na dotychczasowych warunkach bezwarunkowo nie może. — Po tak stanowczem i absolutem zapewnieniu, zwiesiwszy smutnie głowę na piersi, westchnąłem zcicha. A zatem dzisiejszy już obiad nie miał być udziałem łaknącego żołądka!

Pauper ubique jacet!

— Poradź mi coś, panie Wiercieński łaskawy, — prosiłem go po ostatecznem wyispo-

wiadaniu się z niepowszednich utrapień ciała i duszy mojej. — Poradź, bo jak Boga kocham, chyba w łeb sobie palnę, albo coś podobnego, bo już nie wiem doprawdy co robić!

— Hm — zamyślił się Wiercieński nieżartem. Mógłbyś pan co prawda starać się o posadę u nas w biurze, ale — cóż! Po ukończeniu szkoły specjalnej telegraficznej, będziesz sterczał bez pensji co najmniej dwa, albo i trzy lata, a żyć i jeść codzień trzeba! Jeżeli ciotka nie chce czekać marnych dwóch tygodni, to co tu gadać o dwóch, albo i trzech latach! Nieprawdaż?

— Ależ bajecznie słuszna uwaga, — zauważyłem. Ta dama stanowczo trzech lat nie wytrzyma! To niezłomny charakter, gdy idzie o monetę. Zdążyłem już ją poznać!

— Otóż to! O dostaniu się więc do biura nie ma co marzyć. Musimy radzić w inny sposób... Zaraz... czekaj-no pan... Aha — mam byczą myśl!

— Jaką?! jaką? — królu błękitny!.. Mów — złotousty!

— Nie wstydzisz się pan pracy, bodajby ona nie należała do rozkosznych?

— Ależ, co znowu! Gotów-em jeździć na ognistym smoku, albo na beczkach Bergera, aby tylko mieć nareszcie na ten nieszczęsny obiad! Pojmujecie?

— Zaiste, biedne z was chłopisko! ale może się to jakoś przyłata. Kwestja, uważacie, jest tego rodzaju: Na Mokotowskiej pod piątym znajduje się fabryka octu zbożowego, który, mówiąc nawiasem, nigdy nie oglądał zboża, ale to do rzeczy nie należy; otóż tedy właścicielem octowni jest niejaki Dypczyński, kolega mój ze sztuby niedzielno-handlowej.

Pewnego razu proponował mi on coś w rodzaju posady: Szło mianowicie o to, aby rozpowszechniać jego ocet pomiędzy kupiectwem, za co on ze swej strony ofiarowywał mi wcale dostatni procent od sprzedaży. Nie przyjąłem oferty, bom wówczas uczęszczał już na dyżury; nocami zaś przepisywałem akta sądowe dla adwokata Kruczka. Jednak pan...

— Niechże was uściskam! kochany panie Wiercieński! — zawołałem. Szkoda że nie ma tutaj pod ręką octu czcigodnego męża Dypczyńskiego! Byłbym jednym haustem wychylił kielich owego falsyfikatu za zdrowie pańskie i po waszym ślubie — przypuszczalnego potomstwa!

Tegoż samego dnia jeszcze, zaopatrzony w druk, na którym pomieszczone były ceny beczek, — okseftów 200-to i 240-to litrowych, — przeróżnych miar i cen „najprawdziwszego octu zbożowego”, — jako też zbrojny w odpowiedni notatnik do zapisywania obstalunków, przybiegłem do domu z rozsłonecznionem jak

błękit majowy obliczem, zaś na drugi dzień od wczesnego już poranku puściłem się na pierwszą złotonadziejną wędrowną debiutową, w celu dostarczenia zacnemu chlebobdawcy bardzo wielu obstalunków, — sobie zaś — tak piekielnie upragnionego obiadu!!

Nie namysławiając się już dłużej, z heroizmem zgorączkowanej duszy i pragnieniem zaspokojenia głodu, pchnięty silnym atakiem pobudzonych nerwów, wszedłem szybko do pierwszego po drodze napotkanego sklepu.

— Czem mogę służyć? — zagadnął mnie tonem nadzwyczaj uprzejmym niemłody, szpakowaty jegomość.

— Pozwoli pan, że się przedstawię, — odrzekłem z możliwie słodkim uśmiechem zmierzowanego oblicza; — jestem agentem fabryki octu zbożowego.

Twarz składnika dziwnie się jakoś wydłużyła.

— Może szanowny pan spróbuje naszego towaru?... Ocet czysto zbożowy! za to ręczę...

Kupiec zdaje się chciał mi przerwać, lecz w tejże chwili, pobudzony niepohamowaną chęcią pozyskania pierwszego klienta, tonem pełnym możliwej szczerości mówiłem szybko:

— Pańska klientela podziękuje panu za wyborowy ocet. Gwarantować śmiało mogę,

że będzie szanowny pan bardzo dużo sprzedawał octu firmy Dypczyńskiego.

I byłbym dłużej jeszcze snuł jedwabny wątek chwały octowo-zbożowej, gdyby nie głośny a nagły śmiech właściciela sklepu.

— Więc pan naprawdę proponujesz mi sprzedaż octu? — pytał kupiec, wśród nieprzerwanych wybuchów śmiechu. Czy to być może?...

— Ależ... paniel!.. — zacząłem jękać — cóż w tem tak znów śmiesznego?...

— Rzuć-że pan okiem po sklepie i opamiętaj się, roztargniony młodzieńcze.

Spojrzałem przed siebie... piorun trząsł we mnie w tej chwili!

Był to wykwinnie urządzony, wielki skład... dywanów i firanek!

Wybełkotawszy coś w rodzaju przeprosin, z rumieńcem wstydu na rozgorzałych policzkach, szybko opuściłem progi magazynu, który i w przyszłości prawdopodobnie, wbrew moim namowom, nie będzie sprzedawał octu zbożowego.

Pierwszy zatem mój debiut, przyznać słuszenie należy, nie mógł zaliczonym być do zbyt udatnych, bynajmniej! — Gdyby chociaż następne odwiedziny przeróżnych sklepów i sklepików uwieńczone były bodajby częstką pomyślniejszego rezultatu, — pal sęk! zapomniałbym zapewne nawet i o niefortunnej wi-

zycie w składzie dywanów, lecz — niestety — wszędzie gdzie tylko zachodził, wypraszano mnie nie zbyt grzecznie, a częstokroć wprost gburowato.

Zmierzch chylił się już dobrze ku ziemi i deszcz drobny, lecz gęsty a dokuczliwy ciąć znowu w same oczy poczynął, gdy zgnębiony niepomniernie, ochlapany błotem i głodny jak pantera, powróciłem do domu. — Żołądek mój natarczywie upominając się o przynależne mu od urodzenia prawa, niedyskretnie przypominał mi iż od samego rana nic jeszcze w ustach nie miałem.

Z goryczą w duszy rzuciłem się na moją skromną pościel i pomimo hałasu panującego w sąsiedniej komnacie, pograżyłem się w myślach burzliwych a chmurnych jak noc listopadowa.

Boże! za co ja tak cierpię! za co?! Za jakie winy los, dla mnie wyjątkowo tak bezlitosny, karze mnie jakby jaki gnębiciel potworny, nieubłagany!

Ileż to razy w dzieciństwie mojem „sielkiem-anielskiem” zacne matczyisko powtarzało, iż cnota musi być wynagrodzona, — gdy — przeciwnie — zło zawsze otrzyma zasłużoną karę na tym najlepszym ze światów.

O bądź błogosławiona w swoim bezkrytycyzmie — wiaro korzących się przed sztychym majestatem słabych duchów, one to bo-

wiem we własnej niemocy czerpią tajemną siłę, niezbędną do znoszenia cierpień. Ja wszakże wyrwałem cię już bezpowrotnie z trzewi ducha mojego, o ty, wątpliwej wartości mieszkanko admiracyjnych umysłów...

Od chwili gdy mózg zmęźniały zdolnym był już do płodzenia myśli trzeźwych a bardziej analitycznych, przestałem, niestety, wierzyć w doczesną nagrodę cnoty.

To trudno, non cuivis attingit adire Corinthum. Nie każdy pragnie wreszcie zatrzymać w niezbadanych zakątkach ducha naiwno-dziecięcej wiary w ową nagrodę cnoty...

Życie — niestety — to nie słoneczny poemat, jeno rozkrwawiająca duchowe stopy wędrowca droga cierniowa!, a dla mnie wyjątkowo jakoś ta droga ciężką do przebycia była. — —

Leżąc na łóżku, z wtuloną w zbrukaną poduszkę głową, w której burzyły się fale myśli rozpaczliwych, czułem się bardziej niż kiedykolwiek osamotnionym i nieszczęśliwym, a przytem niesforne uczucie głodu poprostu pastwiło się nad moimi kiszka. Co moment kruczenie pustego żołądka przerywało gorączkowy wątek myśli moich i znów powracała niewyciężona żądza zaspokojenia za jakąbądź cenę rozwydrzonego głodu!

Bywały wszakże momenty iż zdawał się on opuszczać mnie zupełnie wówczas robiło

mi się nawet leży jakoś cokolwiek i znośniej; coś z tego!, gdy za każdym razem po krótkiej takiej pauzie gorączka rzucała mi się do głowy i żarła wychudzone moje policzki bezlitośnie. Czułem wypieki na twarzy i ogólne osłabienie organizmu, a tam w sąsiednim pokoju podochocona kompania rażno wysączała oryginalne kropelki cioci Grzebulskiej, zagryzając sznapsa gorącą baraniną, zapach której pobudzał moje powonienie w tak spotęgowanym stopniu, że wprost wchłaniałem go w siebie rozwartymi nozdrzami i spieczonemi głodową gorączką usty.

I znów powracał niczem niepowstrzymany huragan zwątpień i o wątle ściany powłoki cielesnej całą potęgą niszczących wyroków do reszty rozbijał chorą duszę moją.

Nie po raz to pierwszy hydra zwątpienia wżerała się do zwichrzonego mózgu, bo i jakże! Całe legiony łotrów, szalbierzy, oszustów, złodziei wreszcie — żyje na świecie, otoczonych dostatkiem!..., olbrzymia armia bezwstydných neuropatek, które poszły na drogę nierządu siłą zdegenerowanego organizmu, w oszołomione oczy twoje ciska rozblaski tęczyowych kamieni, i wśród pijanych okrzyków, wznosząc kryształowe kielichy mrożonego napoju, ochrypłym głosem wygłasza idjotyczne toasty za pomyślność amfitryonów, dobywających złoto z mętnego źródła szantażu.

I kręci się to potworne, olbrzymie kołysko życia wielkowiejskiego, rozpryskując na wszystkie strony kał i brud wszelakiego rodzaju i bluzga nim uczciwym jednostkom w rozłzawione żalem oczy.

Więc też i teraz, w chwilach ciężkiego rozgoryczenia, pytałem sam siebie, azaliż ten „najlepszy ze światów“ nie dla złych a czelnych w swej brutalności jest stworzony! i doprawdy nie znalazł się ani jeden głos wewnętrzny, zdolny zaprzeczyć ciężkim zwątpieniom, staczającej się w czarną przepaść myśli. Zaiście, rozchorowała się najwidoczniej dusza moja, a i ciało do najzdrowszych zaliczonem być także nie mogło w tej chwili. Wreszcie jedna mnie tylko ogarnęła żądza, a była to nieprzeparta chęć snu, za wszelką bodaj cenę.

I ja pragnąłem teraz być najzwyczajszym oszustem względem bezlitosnego wierzyciela—głodu! Za pomocą snu usiłowałem zmusić go do ustępstw, jednak próżne były wysiłki: pijacka orgia, odbywająca się w sąsiednim pokoju i rozbujane nerwy moje, wszystko to razem złożyło się na rozproszenie kojącego zazwyczaj spoczynku.

Po pewnym czasie suchy kaszel chwycił mnie za gardło.

Po chwilowym paroksyzmie gorączki przejęły mnie teraz dreszcze, postanowiłem więc rozebrać się całkowicie i ułożyć w ciepłej

pościeli, lecz w tejże samej chwili uczyniłem odkrycie, które do reszty poszarpało mi i tak zbyt silnie rozdrażnione nerwy: Oto podeszwy moich butów były podarte tak dalece, że dziury świeciły na wylot. Przez czas pewien dziwiłem się tylko jak mogłem nie czuć tego, iż całe stopy moje zamoczone są przecież w zimnem błocie, a potem już porwała mnie tak okrutna rozpacz, iż gdyby nie obawa ośmieszenia się w oczach rozwydrzonych biesiadników — byłbym być może wybuchnął głośnym płaczem. Powstrzymałem się wszakże resztkami woli. Wreszcie nowa furja kaszlu owładnęła mną bezwzględnie. Oczy formalnie wychodziły z orbit, płuca zaś zdały się pękać z wysiłku. Gorączka co raz mocniejsza opanowywać zaczęła moje ciało i jakiś niezwykle kły ból głowy oszołomił mnie zupełnie.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Na szpitalnej sali. Ciche namowy habrookiej szaryty. Śmierć młodego suchotnika budzi we mnie cały świat gnębiących smutków i tajonego bólu.

Z bezkresną rozpaczą w bezdni zmurszałego ducha, pełnemi omdlałego znużenia oczyma cłapię się po monotonnych kątach krzy-

cząco wielkiej, a przeraźliwie białej sali przybytku schorzałych jęków i gryzących łez boleści.

Przy królewskomyślnej protekcji nigdy jednak należycie niedocenionej ciotki Grzebulskiej, sponiewierana powłoka moja na wpółwygodnie zaledwie spoczywa na brutalnie kutem łożu szpitala Świętego Smaragda. Na nielada opętane chorobsko naraziła się wąta mizerja moja, a i duch ucierpiał nie mało.

Trudnoby nawet przypuścić aby taka nędzota jak ja, mogła wszakże przebrnąć przez siarczyste zapalenie płuc, z domieszką rozwydrzonej gorączki, trzymającej ciało moje w rozpalonych do białości kleszczach bólu. Jednak z łaski wszechpotężnego Theosa, jestem obecnie przeciętnym rekonwalescentem, minął już bowiem ostry okres choroby, zaczęła się natomiast wegetacja biedaka. I jakkolwiek los bezpłatnego pacjenta nie należy pono do różanych, jednakże przerażała mnie myśl sama o feralnym dniu, w którym zostaną wykreślony z ksiąg szpitalnych.

Co ja pocznę u Boga Ojca! co zrobię ze swoją lichotą!! Ciocia Grzebulska nie przyjmie przecież z powrotem golusieńkiego jak święty turecki delikwenta losu!

Ha, trzeba jednak będzie radzić sobie jakoś, boć przecież umierać z głodu

w tak młodym wieku — toż skandal prawdziwy!

Myśli beznadziejne o nienadobnej przyszłości skazańca głupio zaciętej Ananke, wierały się jak bezduszne robactwo w schorzały kłęb znuzonego mózgu.

Nagle bolesną tę moję zadumę przerwało ukazanie się w progu sali pięknej i dobrej aż do przesytu siostry Albiny. Bajeczna, kochana przez wszystkich chorych, pełna przedziwnego poświęcenia młoda istota, podszedłszy cichutko tuż do wezgłowia mojego, miękkim jak biel łabędziego puchu głosem poczęła mi tłumaczyć i uzasadniać potrzebę oczyszczenia się z grzechów nieopatrnego ducha młodości.

Zmieszałem się jak pauper, propozycja ta bowiem zaskoczyła mnie całkiem niespodzianie.

— O jedenastej będzie ksiądz — lakonizowała habrooka siostra Albina; niechaj chory będzie łaskaw się przygotować.

Zwolna począł się budzić we mnie duch samoobrony.

— Kiedy-bo, doprawdy ja nie wiem czy będę się mógł spowiadać — bąknąłem niezdecydowanym tonem, — nie czułem bowiem właśnie tej tak żarliwie narzucanej mi potrzeby zażycia nieomylnego proszku, czyszczącego zoksydowane sumienia...

Siostra Albina, błędząc wzrokiem jutrznianym w mętnej przestrzeni szpitalnej komnaty, minorowym półtonem szepnęła:

— Pojednać się z Bogiem zawsze można i trzeba. Kto z Bogiem — Bóg z nim.

I jak cicho weszła, tak jeszcze ciszej wsiąknęła w półmrocznym krańcu sali.

Mimowoli westchnąłem z głębi schlerlanych piersi, zdawało mi się bowiem, że jakaś niewidzialna dłoń opiekuńcza wyrafinowanym wysoce ruchem układała mi płytę ciężkiego granitu na skołatane łonie mojem. Pojednać się z Bogiem można i trzeba — brzmiały mi jeszcze w uszach przesłódki napomnienia siostry szarytki.

Dla czegoż to ja mam teraz, w drodze tak urzędowej jednać się z Bogiem, gdy przez cały — niezbyt coprawda jeszcze długi mój żywot — zawsze najusilniej starałem się jedynie o to, aby w obliczu Tego, który jest i żyje w myślach moich, iść niezłomnie przez drogę życia mojej własnej uczciwości i moich najszczerzych przekonań. A jeśli nieraz zeszedł z tej drogi, to niechaj rzuci na mnie kamieniem ten, który jest bez skazy. Jak nawpół strzaskana łódź, rzucona na mętne fale oceanu, bywałem co chwila zatapiający przez rozwichrzone odmęty i za toż to najsprawiedliwszy sędzia bolejących duchów miał się mścić na mnie! Za to?!

A może stokroć-by lepiej było — los mój bezlitością oślepy — posadziwszy na ławie oskarżonych — sądzić za cyniczną żądzę moich codziennych łaknień i głodu mojego! Wreszcie ja-m Cię, Stwórco, dostrzegał w głębinach własnego ducha, czułem Cię, Prześwięty w spłakanej grudce ziemi, widziałem Cię w atlasowym płątku spłonionej róży, boś Ty, przedudny mieszkał w sercu mojem, a serce to, wezbrane falą krwi gorejącej, biło w takt Twojego przecież nakazu!

Żyłem życiem takim, jakies mi stworzył i za to Ty mnie karać nie możesz.

Po cóż więc pojednanie tam, gdzie nie ma urazy!

Panie, z cichą pokorą poddawałem się wyrokom Twoim, a chociaż rzuciłeś mnie i teraz na to twarde łożo boleści, to jednak w tej chwili nie mam do Ciebie żalu.

Wiara moja jest tak szczytną, że każde najłżejsze bodaj dotknięcie obskurantyzmu wyrafinowanych presyi, sprawia mi ból — nie wypowiedziane rozczarowanie i plugawie bruka śnieżno-białą myśl o Istocie, której zapewne nie może mieć w ciemni perfidynego mózgu spasiony dygnitarz stanu cywilnego...

Mimo to czułem aż nadto dotkliwie, iż za chwilę przyjdzie tu, do łoża mojego pośrednik, wtajemniczony w najskrytsze arkana sztuki tuszowania światła; — zjawi się tu, aby

wyrwaną z serca tajemnicą pofrymarczyć nieco...

Wtłoczy się rozpulchniony abnegacją usz-pionego ducha samozwańczy „namiestnik”. Tego, który od janusowego tworu odwraca z obrzydzeniem słoneczne oblicze.

Wtargnie tutaj uzurpator odpuszczania win, spełnionych przez nędzę żywota i usty pełnemi resztek kupra kaczego, jako też krzepkich całunków gospochy, nieść ci będzie najwyższą pociechę!

Nieopisany wstręt wstrząsał całym ciałem mojem na samą myśl zetknięcia się ze skoncentrowanym fałszem obłudnego szeregowca czarnej armii, nie mającej nic wspólnego z głębokiem mojem pojęciem o Bogu; to też, nie namysławiając się zbyt długo, białą opo-nę, którą uszczęśliwiła mnie siostra Albina, przerzuciłem na sąsiednie łóżce.

Na szczęście beznadziejnie chory współ-towarzysz niedoli spał teraz snem cichym, choć nienaturalnym. Był to szesnastoletni zaledwie młodzieniec, drobny, mały i tak przeraźliwie wychudły, że literalnie skóra i drobne kości składały się na to nawpółomdlale tło miseryi ludzkiej.

Głowa młodego suchotnika zatraciła już wszelkie cechy normalne. Włosy blond, miejscami jakby zlekka przepocone, poprzylegały gdzieś tam kępkami do pergaminowo żółtej

czaszki,—oczy, zapadnięte w głąb kanciastego czoła, przerażały wprost dwiema sinemi plamami,—nos cienki i wysunięta nieco broda wydłużyły się od dnia wczorajszego do rozmiarów nadnaturalnych, a nawpół rozchylone zsiniałe wargi dopełniały obrazu zamierającego życia.

Leżał wznak, bez najlżejszego bodaj drgnięcia jakiegokolwiek mięśnia gromniczo-przygniłej twarzy.

Patrzałem na jego szaro-sine usta, na nieruchome, wąskie nozdrza i nie mogłem w żaden sposób pochwycić cichego chociażby oddechu, świadczącego iż ostatnia isierka życia migoce gdzieś jeszcze w głębi krzepnącego organizmu. A jednak słabutkie resztki sił fizycznych kołatały się śnać jeszcze w tej kupce zbolałych kości, gdyż chude jak u szkieleta nogi, zgięte w kolanach, unosiły na sobie szarą szpitalną kołdrę.

Wsparszy się zlekka na swojej poduszce, zostałem naraz dziwnie podrażniony wyrazem stygnących rysów młodzieńca, a nade-wszystko lekki dreszcz przeniknął całą moją istotę, gdym spojrzał teraz na dwie czarne jamy czołowe, w których niemy majestat śmierci szkił już w dwojgu zaciągniętych blach-malem, nawpół rozwartych oczu.

Naraz ziemiste usta drgać poczęły, jakby



pod wpływem nie mogącej wydobyć się na zewnątrz dławiącej skargi sieroty.

Suche bezlitośnie palce lewej ręki omalłym ruchem przepełzły przez kurczącą pierś, jakby usiłowały ją osłonić od przejmującego zimna, poczem opadły martwe wdluż marnego ciała, — i w tymże momencie o uszy moje otarło się cichutkie, jak szmer leśnego podmuchu, westchnienie. A gdy nawpół zdrętwiałe wargi rozchyliły się parokrotnie, wtedy najwyraźniej usłyszałem słowo: „mamo.“

Pomimo dość znacznego jeszcze osłabienia, zwlokłszy się z trudem ze swojej pościeli, podszedłem na palcach tuż do łoża konającego młodzieńca.

Możeby wreszcie należało biedakowi zwilżyć usta chociażby kroplą zimnej wody.

Niebawem jednak przekonałem się, że wszelka akcja moja była tu już conajmniej zbyteczna.

Oddech chłopczyny stawał się coraz cięższy. Z gardła poczęło się wytłaczać duszące jakieś rżenie i cała ta kupka zbiedzonych gnacisków należała już do czyhającej u wezglowia śmierci, tylko dwie wielkie djamentowe łzy, ociekające po trupich policzkach dziecka, zdawały się rzucać niegościnnemu światu ostatnie słowa milczącego wyrzutu. Wreszcie i te ostatnie prądy gasnącego życia skryły się

łękliwie w fałdach szarej pościeli. Wyssana nieubłaganą chorobą nieprawdopodobnie wążka klatka piersiowa chłopczyny wzniosła się kilkakrotnie i opadła szybko, jak zrujnowany mieszek, nawpół rozwarła oczy zaciągnęły się bielmem śmiertelnem.

W kąciakach rozchylonych ust ukazało się trochę mętnego śluzu, ciemne orbity zamajaczyły jeszcze czemś w rodzaju odbłysku przemijającego życia i oto na marnem łożu szpitala Ś-go Smaragda, leżała teraz bezduszna danina wieczyscie głodnej ziemi.

Cisnące się w pierwszym momencie słowa urzędowych modłów za umarłych nie mogły się jakoś pogodzić z przekonaniem mojem wewnętrznem, wyrzekłem się więc jej co prędzej. Do głębi zbolalej duszy mojej począł się wżerać teraz jad niszczącego zwątpienia. A potem znów porwał mnie przeolbrzymi wstręt do życia, godnego zaledwie parszywej sobaki, i czułem w sobie bezbrzeżny ocean żalu do czegoś, (a może i do kogoś nieuchwytnego w powichrzonych zwojach nerwów moich;) żalu poczętego w krzyczącem łonie myśli wzburzonych, gdym sobie uprzytomnił, iż żywot mizernego parjasa nikczemniejszy częstokroć bywa, niżli wegetacja galaretowatej małży.

I gdy zacna siostra Albina, klęcząc u wezglowia trupa, gorąco-wierzącymi usty sze-

ptała słowa nieuznawanej przeze mnie modlitwy, — rozpląkała się dusza moja całą gamą wewnętrznych szlochań.

Oczy jednak wytrawnie były suche i absolutnie nikt nie mógłby poznać po nich szarpiącego trzewia moje bólu.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Wolne obywatelstwo i niewola żołądka. — Potęga pokusy, oraz niebezpieczne skutki duszenia pieczeni tuż pod oknem restauracyjnej kuchni. — Wrząca Gorgona, zamieniwszy się w przemądrą Palladę, urabia materiał na przyszłego kochanka. — Znalezienie apartamentu. — Zastużony spoczynek. — Sen nocy letniej. — Okropne odkrycie.

Od paru dób należę do kategorii obywateli w całym znaczeniu tego słowa — wolnych. Nie krępowany żadnymi zgoła obowiązками, rozporządzam moją nieodstępną nędzą według własnych poglądów intelektualnych; ale bo też trzeba przyznać że rozwydrzyła się moja władczyni nieżartem, bowiem — gdy dawniej narzucała mi swoje panowanie w pewnych jedynie okresach granitowego bytu, — obecnie nie opuszcza mnie ani na sekundę. Zaczyna dama!

Tego jedynie tylko nie mogę pojąć, co

właściwie mogła sobie upatrzeć ta donna w takim chudeuszu, jakim ja obecnie jestem; fakt jednak pozostaje faktem, iż włóczy się za mną jak zaułkowa prostytutka za pijanym noceur'em.

Nieraz — bywa — zaledwie zdołam mignąć odblaskiem słabej myśli o cichej ucieczce, aliści w tymże samym momencie, odgadłszy śnać tajemne zamiary delikwenta, wyuzdana Strzygonia chwytą mnie kurczowo za byle jaką część odzieży, nie bacząc na to, iż przysparza przez to nader wiele strat materialnych.

Zazdrosna wyznawczyni wolnej, choć nie odpłacanej przeze mnie miłości, namiętnie poszarpując usiłującego drapnąć młodca, doprowadziła wkońcu garderobę jego do stanu, w którym wszelka, najlżejsza bodaj krytyka, rozkładając bezradnie ręce, woła: „pas!“ bez żadnych zastrzeżeń.

Wprawdzie zima w legowisku swoim przewala się już z jednego boku na drugi, to jednak do życiodajnej wiosny jakże jeszcze daleko!

Spłowiełe palcisko, ze względu na bajeczność barw, podobne się stało do prawowitej sturubłówki, kurs w kraju mającej.

Oh, jakżeby rad spieniężyć je za cenę o wiele skromniejszą, aby tylko mieć na suchy kawałek chleba!

Znośniej nieco prezentuje się granatowa marynarka w paski i ona to właśnie mogłaby odegrać rolę pogotowia ratunkowego, gdyby nie nikczemne mrozisko, przesładujące nawet takich Rockfelerów, którzy siedząc w nawpółopłaconych suterrenach, mogą sobie czasem kupić nawet... pół puda węgla kamiennego!

W każdym bądź razie, jest to dość silny atut w skostniałych rękach moich. Zostawmy ją na najczarniejszą z czarnych godzinę.

Najopłakaniej wszakże przedstawia się sprawa majtek. Obcinane co jakiś czas frendzle i frendzelki, tak dalece przykurczyły długość nogawic, że wreszcie zaczęły już ciekawie wyzierać uszy podartych wszetecznie kamasy.

Ale też jestem za to obywatelem w całym tego słowa znaczeniu, od onegdaj bowiem oprócz paru kawałków chleba naszego powszedniego, literalnie nic w ustach nie miałem, obywam się zatem bez wielu, bardzo wielu rzeczy, niekoniecznie nawet zwykłych, gdyż na przykład brak — godziwej odzieży i nie zupełnie zdartych butów, sankcjonuje aż nadto dobitnie blask szumnego tytułu.

Z tem wszystkiem jednak źle jest jak jest, a nie daj Panie aby miało być jeszcze gorzej, bo już ostatecznie i pies-by chyba nie

wytrzymał dłużej. A już najgorzej to z tem mieszkaniem!

Mroźna noc zimowa z impetem rozszerzonego choleryka padła nagle na splugawione zbrukany śniegiem miasto.

Na spotkanie perjodycznej Walkirji wytożono wprawdzie cały arsenał słupów, strzelających w jej czarne łono tysiącem elektrycznych jęzorów; to jednak, pierwszorzędne nawet dzielnice nie rozsunęły dostatecznie kirowego płaszcza bogini. Dopiero gdy z bladym odbłaskiem szklanych bań, zlały się złotawe kręgi lampionów sklepowych, wówczas Warszawa poczęła błyszczeć właściwym jej ruchem zgorączkowanej histeryczki.

Przechodząc właśnie przez Krakowskie Przedmieście, wzrokiem pożądliwym ślizgałem się po szybach sklepów spożywczych, bezlitośnie kuszących łaknące podniebienie biedaka widokiem jutrzniarno-zarumienionych wędlin, słoneczno-przejasnych serów i tym podobnych smakołyków, gdy naraz myśl genialna, jak świetlany meteor, przebodła mózg mój na wylot.

A gdyby tak — z niczego ni z owego, wszedłszy do pierwszej lepszej restauracji, kazać sobie podać porcję rzymskiej z kartofalkami, jak to bywało kiedyś ongi, w tych dobrych, niezapomnianych czasach, gdy wchłaniało się w taniaku takąż właśnie pieczeń,

o jakiej teraz marzy i do jakiej wprost tęskni skandalicznie kruczacy żołądek!

Fala krwi gorącej chlusnęła mi prosto w twarz i zalała zgorączkowane źrenice na samą myśl możliwości zaspokojenia pastwiącego się nade mną głodu; w tejże samej jednak chwili tajemniczy jakiś głos wewnętrzny najwyraźniej szeptać mi począł słowa słusznej persfazy i rozsądnej zaiste przestrogi, — a przytem obawa wywołania głośnego skandalu hamowała zapędy moje.

I gdy szala walki wewnętrznej, wypowiedzianej mi przez głód ohydny, przechylać się już stanowczo poczęła na stronę sumienia, — naraz coś niepojącego stało się ze mną.

Z niewielkiego okienka kuchni, umieszczonej tuż pod sklepem podrzędnej restauracji, wprost w rozchylone usta moje buchnęły kłębiste opary pieczenia.

Stanałem jak wryty, a potem, czując że nogi zaczynają chwiać się pode mną, chwyciłem się obiema rękami za zimną metalową barjerę, odgradzącą szybę ponętnej gargoty.

A tam, poza tą nawpół zamarzniętą taflą szklaną, kusząco łasi się do mnie jak marcowa kocica, szelmoski glon słoniny węgierskiej, przysypanej czerwönawą papryką, — jak również nęcą ku sobie lepkie ślepie rydzyków, marynowanych w occie.

I gdym tak rozwartemi szeroko usta i oczyma wżerał w siebie apetyczne przysmarki, nowa fala oparów duszonej pieczeni trzasnęła mię w twarz.

A przytem koncertowa muzyka symfonicznego skwierczenia sosu, przyprowadzała mnie wprost o utratę równowagi moralnej.

Jak niewprawny jeszcze pływak, mający skoczyć z trampoliny w nurty srebrzystej rzeki, waha się przez chwilę, przejęty obawą zetknięcia się z połyskującą taflą zimnej wody, poczem już z rozpaczliwym jakimś rozmachem rozwala sobą spienione fale; tak też i ja, w momencie głodowej gorączki, położywszy drżącą rękę na klamce jadalni, stałem tak przez czas jakiś pogrążony w trwożnem wahaniu, lecz usłyszawszy tuż za sobą szybko wymówione „przepraszam“, — pchnąłem bezwiednie drzwi oszklone i w tymże samym momencie znalazłem się w przybytku fryturowanych zakąsek i mętnego piwa.

Vogue la galerè! Co się ma stać, niechaj się prędzej już stanie! — —

Usiadłszy skromnie przy jednym ze stojących nieopodal wejścia stolików, niezbyt długo oczekiwałem na przybycie kelnerki.

Zbliżyła się wreszcie.

Była to, że się tak wyrażę, średniowieczna niewiasta o bładem jakby nieco nabrzmia-

łem obliczu, świadczącym, iż gniotący rydwan życia przejechał się po niej rzetelnie.

Przelotnem, lecz wytrawnem, jak zdołałem osądzić wejrzeniem, obrzuciwszy mnie od dziurawych butów do stroskanej głowy, poczęła wyliczać potrawy.

Z nieszczerze karminowych ust leciwej dziewczicy padały nazwy książących zaiste nazw i określić gastronomicznych:

Kiełbasa, schab z kapustą, bigos, wątróbka, parówni w sosie pomidorowym, pierogi z mięsem, wreszcie zrazy i sznycle z dodatkiem pocziwego jaja, spadały na mnie obficie, jak manna ożywcza, lub co najmniej kwieciste upominki hojnego rogu Amaltei.

Z przyspieszonem, prawie chorobliwem biciem serca wybrałem sobie zraz zawijany, z milusim konglomeracikiem naszych nieodstępnych kartofelków,—nieimportowanej marchewki i zrodzonych na swojskiej glebie buraczków.

Zdawało mi się że łapczywa nieco mnogość dodatków jarzynowych wywołała drwiący nieco półuśmiech, w niczem to jednak nie zmieniło sytuacji.

..... Czy mam opisywać wrażenia doznawane w czasie zarcia.... przepraszam: — w chwili spożywania zrazów z garniturkiem!

O, niechajże nikt nie żąda ode mnie tego,

przechodzi to bowiem siły niepośledniego nawet erudyty słowa i pisma.

Wreszcie ja przecież nie jadłem tak, jak to się zwykle jada przy stole. Pomimo powołania do apelu całej siły woli i rozsądku,—rzucąłem się jak zwierzę dziki na kawały sosistego mięsiva, szarpałem je, darłem, dławiłem nawpół pogryzione, aż wreszcie po upływie niespełna paru minut stał przede mną talerz tak czysty, jakby go wylizalo jakie bezdomne kundlisko.

I przeraził mnie nieżartem ten widok sinawego fajansu; to też, gdy nienadobna gryzeta zbliżyła się powtórnie ku mnie, poprosiłem jeszcze pour la bonne bouche o... podwójną porcję bigosu.

Teraz dopiero zauważyłem, iż żądanie moje spotkało się z pewnym objawem zdumienia, wrytego na kredowo białej, jakby nalanej nieco buzi leciwego dziewczęcia, bigos wszakże został podany.

I znowu jadłem tak, jak jeść chyba może jedynie tylko zdrowy osobnik, któremu zdradziecki głód zagrażał utratą życia.

Z jakąż rozkoszą pochłaniałem zawartość czubatych łyżek gorącego bigosu, zagryzając świeżuchnym chlebem, którego co najmniej pół bocheneczka spoczywało już w despotycznym żołądku nędzarza.

Mógłbym przysiąc na wspomnienia sielskiej doby dzieciństwa, że nic mi jeszcze w życiu nie przypadło tak do smaku, jak ten zraz zawijany, połknięty razem z bawełnianą fastrygą, a także i ten przesłodka bigos, z półbocheneczkim białego chlebusia, i gdyby nie myśl, zbudzona wcale nie symbolicznem pojawieniem się srogiej bogini, byłbym należał do ludzi najszcześniejszych na ziemi.

Oh, gdybym wobec mojej Gorgony mógł się zamienić w głaz zimny, jakżebym rad był tej metaformozie! Pragnienia wszakże pozostały w krainie niedoścignionych mirażów, surowa zaś niewiasta stała obecnie przede mną w całej okazałości tuczonego gorsu, trzymając w palcach kawałek rachunkowego ołówka.

— Wódeczka była — nie była... piwka pan nie pił?... no to niech już będzie... nic... A teraz mamy tak: zraziki dwadzieścia pięć, dwie porcyjki bigosiku trzydzieści, to razem pięćdziesiąt pięć kop.

Czułem że wszystkie członki drętwieją mi jakby ktoś sypał w nie ostry piasek, lecz wezbrana w głębi duszy determinacja wydlawiła ze mnie coś w rodzaju nieuchwytnego belkotu.

— Co pan powiada? — zapytała ze skrzywieniem mięsistych ust niezbyt sympatycznie usposobiona białogłowa.

— Widzi pani ja... zapomniałem pieniędzy...

— Co?... co takiego?! — powtórzyła z piorunującym wejrzeniem.

— Ja... zapomniałem pieniędzy, ale jak panią szanuję—oddam... jutro... nawet dzisiaj... tylko że... że zapomniałem portmonetki...

Wary we mnie łomotały z mocą stupudowych gwichtów. Język począł się plątać co raz bardziej, kelnerka jednak nie myślała nawet o ustąpieniu.

— Co pan, do cholery ciężkiej myślisz se, że ci się uda naciągnąć krwawo pracującą kobietę! Ehe—niedoczekanie twoje! To nie ze mną taniec! Niedoczekanie twoje, psia krew!

— Kiedy słowo daję, ja tylko zapomniałem...—broniłem się coraz słabiej.

— Eee, nie mnie brać na takie stare kawały! A zresztą — poco się tutaj tłumaczyć... poco?!

— A tak, tak,—podchwyciłem skwapliwie, w nadziei że moja prześladowczyni darowała mi winę; zawiodłem się jednak srodze, gdyż w tej właśnie chwili sentencjonalnie dodała:

— W *cerkule* się pan wytłumaczysz.

— Nie, nie!—począłem błagać,—nie, proszę pani... niech mi pani tylko pozwoli... ja pójdę do sieni zdejmę marynarkę... To więcej warte, proszę mi wierzyć... Niech mnie

pani nie kampromituje, błagam panią!.. proszę!.. i mimowoli ręce złożyłem jak do modlitwy, a potem pochyliłem zawstydzone czoło ku ziemi i w tejże samej chwili napróżno powstrzymywane łzy, gradem sypnęły mi po twarzy.

I stał się cud.

Wszetecznie wrząca Alekto, w mgnieniu zdumionego oka, przyoblekłszy na się nadobną postać mądrej Pallady, ujęła mnie łagodnie za rękę.

— No, nie masz pan znowu czego beczeć!.. Toć do choroby jeszcze nie taka przecieć biedna, żebym nie mogła przyborgować pięćdziesięciu kopiansów. A zresztą — pal djabli! ja do pana nie mam pretensji,—a popatrzywszy na mnie badawczym wzrokiem, poczęła uśmiechać się przyjemnie.

— Wcale ładny facecik, tylko że... taki bladziuchny.

A po krótkim namyśle dodała:

— Chodź-no pan ze mną.

Jak automat spełniłem wolę człowieka.

A gdy znaleźliśmy się w jakimś ciemnym i nieogrzanyim pokoiku, tak nieubłagana przed chwilą furja, ujawszy mnie nagle za rękę, szepnęła:

— Głodny pan byłeś... prawda?... nie miałeś pieniędzy i nie mogłeś już dłużej wytrzymać... prawda?... co?... może nie tak?!

Oj, tak, tak, ja to chyba przecież rozumiem... Z pana nie żaden grandziarz—nie, ja to teraz widzę i... przepraszam pana za to, że mu tak w kaszę nadmuchała, jak jakiemu psu. Przepraszam! bardzo przepraszam!

Wstyd przejął mnie do szpiku, to też stałem przed nią skonfundowany i milczący.

— Nędzarz z pana... co?... ale widać to zaraz, żeś z lepszego urodzenia?... prawda?... może nie?...—indagowała szybko. — No, nie róbże pan takiego manekina!.. Ja nie dzisiaj, gadaj śmiało,—co tam,—było—nie było, ja to wszystko znam nie gorzej od pana!..

— Nie rozumiem... nic nie rozumiem, — jęknąłem zgnębionym głosem, — ja tylko jestem rzeczywiście bardzo nieszczęśliwy!!... Tu głos załamał mi się w krtani.

Tych szczerych słów kilka przekonało jednak śnać całkowicie interlokutorkę, gdyż ujawszy teraz i drugą moją rękę w ciepłe dłonie swoje, głosem pełnym niekłamanego współczucia szepnęła:

— Panie młody, jak panu na imię?

— Leon.

— Ładne imię, ale nie to chciałam powiedzieć; oto, uważasz pan, panie Leon, rzecz jest tego rodzaju: Mógłbyś tu posiedzieć do mojego wyjścia, bo ja dzisiaj wcześniej wychodzę, ale że kilku gości zwróciło uwagę na naszą sprzeczkę, więc pomyśleliby, dranie, żeś

pan mój alfons; to już lepiej będzie jeśli wyjdiesz stąd, — ale, pamiętaj pen — o jedenestaj tu... o tutaj... patrzaj pan, — w tej ciemnej bramce...

— Może się znajdzie, do choroby, jakaś rada! — dodała tonem urodzonej straganiarki, a gdy nie odpowiadał na czułą propozycję, ponowiła pytanie:

— No, jakże?..

— Będę..., — szepnąłem nieśmiało.

— A teraz — idź pan już... — Do widzyska!

Uścisnąłem jej ciepłą, pulchną w dotknięciu rękę i szybko zniknąłem w mrokach ciemnej sieni.

Wydostawszy się na ulicę, odetchnąłem pełną piersią.

A więc zdołałem nareszcie uśpić wściekłego prześladowcę! Głód został zaspokojony!

Najadłem się powyżej czuba!

Aaaaa! cóż to za rozkosz nieopisana — nie być głodnym!

Niepokoili mnie tylko myśl o spotkaniu się ze świeżo poznaną kobietą.

Nie byłem przecież na tyle znów naiwnym, abym po za interesownem w danym wypadku uczuciem litości, nie dostrzegał czyhającej na moją młodość rozpusty...

Głód przemocny, wyprowadziwszy mnie z równowagi duchowej, mógł mnie wprawdzie pchnąć w ramiona obrzydliwego kłamstwa,

a nawet — jak się okazuje — zdolny był cisnąć mnie we wstrętne objęcia drobnego szantażu; nie dowód to jednak jeszcze abym miał dobrowolnie brnąć w dalsze błoto!...

Postanowiłem zatem dług, zaciągnięty w garkuchni, zwrócić przy nadarzonej ku temu szczęśliwej jakiejś okazji; lecz pod żadnym pozorem nie dać się sprowokować słabej woli mojej. — Zamiast więc o spotkaniu — poczęłem przemyślać nad sposobami uniknięcia surowych podmuchów zimowej nocy.

Zamierzchłe pismo głosi: „Szukajcie a znajdziecie“.

Jakże tu nie wierzyć sentencjom, skoro poszukiwania moje uwieńczone wkrótce zostały przechodzącym wszelkie oczekiwanie rezultatem.

Znałem lokal!

Nie był to wprawdzie apartament pałacowy; w każdym bądź razie, ponieważ „dawanemu koniowi w zęby się nie zagłada“, przeto i w danym wypadku nie należało być zanadto wymagającym.

Przechodząc przez ulicę Dobrą, zauważyłem starą jakąś, rozsypującą się niemal w gruzy rudere, opuszczoną przez przezornych ludzi.

Potworna buda przytuliła się łapczywie jednym bokiem do brudnej piekarni.

Czcigodne zwaliska okolono drewnianym parkanem, z czego by wnosić należało, iż po-

mysłowi bliźni postanowili czynić tu jakieś budowlane reparacyjne praktyki.

Obchodząc ów parkan dokoła, bezmyślnie i prawie że odruchowo próbowałem siły odpornej szalowania, gdy naraz jedna z desek, zgiąwszy się w jednym końcu pod naporem dłoni, odsłoniła mi zagadkowe wnętrze gmachu.

Bez namysłu już, wślizgnąwszy się jak wąż do środka tajemniczej budy, zacząłem się trwonić rozglądać wśród ciemnych murów rudery.

Powoli jednak przestrach ustąpił miejsca zaciekawieniu, śmielej więc już podszedłem pod schody wiodące na jedyne piętro oficyny, przylegającej do oświetlonej piekarni.

Sterty gruzu, kawałki potłuczonych szyb, oraz kupy śmieci, wszystko to plugawiło wąską szyję lepkiej od brudnego tłuszczu sieni, znakomicie przytem utrudniając dostęp do połamanych schodów. Nie powstrzymało mnie to jednak od zamiaru dotarcia do upragnionego celu; niełatwe to wszakże było zadanie wobec tego, iż schody kończyły się na pierwszej kondygnacji, wyżej zaś biegła jedynie ruchoma poręcz, całkowicie pozbawiona jakiegokolwiek podpory.

Wdrapanie się jednak na górę po tej właśnie poręczy było dla mnie dziełem nieznanego wysiłku.

Teraz dopiero zauważyłem gdzie się znajduję.

Była to maleńka stancja z kwadratowym oknem, zabitem paroma deseczkami, przez które wiatr, przeciskając się do wnętrza — gwiżdżał jakąś arję z piekła rodem.

Pod jedną ze ścian, odrapanych z tynku, wałało się nieco podniszczonych narzędzi murarskich, zgrupowanych bezładnie około rozbitego szafła. Pusto tu było, jak i w całej здаје się, zresztą, chwilowo opuszczonej przez robotników kamienicy.

Idąc za radą uświęconego przez wiernych pisma, szukałem kąta, gdziebym mógł wreszcie złożyć skolataną tyloma wrażeniami głowę i w tejże samej chwili omal nie wydałem głośnego okrzyku radości: Oto — ściana, granicząca z piekarnią, była ni mniej ni więcej, tylko — ciepła!

Eh, co mówię — ciepła!, nie ciepła była, jeno rozgrzana do temperatury — dziewiczego łona!

No i niechaj mi kto odważy się teraz zarzucić brak szczęścia w życiu!.. Bo i jakże to: — jestem najedzony, jak probosz po odpuszczeniu, — mam mieszkanie, opa!, a nawet i światło, zapożyczone ukosem z okien niebiańskiej piekarni, wreszcie los wspaniałomyślny zamianował mnie jedynym burgrabią uroczego gmachu! Czegoż mi więcej do szczęścia potrzeba! Czego!!..

Radość moja wpadła jeszcze w dodatku

w płomienny jakiś krąg szалу, gdym, po krótkich poszukiwaniach, znalazł wielki, gruby worek, porzucony tuż pod ścianą malachitowego zamczyska.

No—pomyślałem sobie—co jak co, ale już to ja to się po śmierci nie dostanę do nieba, bodajby już tylko dla tego, że toż samo lube pismo głosi:

„Ubodzy duchem dostąpią królestwa niebieskiego“, a ja przecieież zaliczony być do rzędu ubogich nie mam żadnej zasady, ani też praw?!..

Toż to były bogactwa golcondy! to był luksus przepyszny! słowem — zbytek namiestników indyjskich! powieść malownicza z tysiąca i jednej nocy—słowem fantazja anderseńskiego ducha! uskrzydłony miraż tajemnych zaświatów!

Tak, to była bajka nad bajkami!! — —

Zwinięta we czworo marynarka zastąpiła miękką poduszkę z puchu łabędziego,—worek zgrzebny zaimitował inkrustowane łoża księżniczki złotego wschodu,—palto spełniło rolę kołdry adamaszkowej, obszytej webą, zdobną w hafty wzorzyste; nie pozostawało mi więc nic lepszego do czynienia, jak ułożyć się do snu prawdziwie zasłużonego...

.
.
.

Szedł młody samotnik-sierota przez bór nieprzejrany. Młodzian zdawał się być zamysłony srodze i podziwu pełen, bo też i las zawzięty był, niczem noc listopadowa.

Zajadły się dokoła gąszcze, że miejscami ni ich kraj nożem, ni rąb siekierą.

A imponujące było ono lesisko i na niezwykłym porośle gruncie.

Przepotężne sosny, milowej wysokości, strzelały ku przestworzom bajecznymi pędami smolnego igliska. Sędziwe dęby-kolosy wierzchołkami swymi zahaczały o sinawe chmury; na dole zaś tysiące roślin i krzewów, przedziwnie z sobą splecionych, tworzyło szeregi ścian, dyszących tajemnicą tysiącletniego olbrzyma.

Aromatyczny kobierzec wspaniałych traw, otulał cały obszar nieprzeniknionego boru, a gdzieś tylko cisnął wzrokiem ciekawym — wnet, jakby na zaklęcie czarodzieja, wyłaniały się tęczo-barwne kwiaty precudnych odmian i kształtów niezwykłych,—a gdzieś jeno zwrócił słuch, natężony zdumieniem, — słyszałeś rzewne kołysanki najmilejszych śpiewaków świata.

A gdy wędrowiec, oczarowany cudami bujnej natury, odwracał wreszcie oczy od widoku uciekającej tęczy kwiatów whaftowanej w sinawe tło boru, wnet wyrastały tuż przed nim świeże obrazy czarno zielonych świerków,

ginących w cichym błękiecie; wychylały się odwieczne buki o brunatno czerwonych pniskach i szeroko rozwidrzonych konarach, a dalej jeszcze wysuwał się czarodziejski drzewostan śnieżystych brzoź, zwieszających ku ziemi wiotkie swe gałęzie, jako też rozpięły się wichrowate wierzbiska o fantastycznych kształtach i mamutowe potwory, godne głusz kalifornijskich.

Uszedłszy tak jeszcze z kilkaset kroków, nie więcej, i przedarłszy się wreszcie przez jakąś płomienną roślinność, młody samotnik-sierota znalazł się naraz na brzegu obszernej polany, okolonej wieńcem brzoź płaczących, u podnóża których rozsiadło się wielkie kolisko gęstych krzewów czerwonej jak krew dziewczica kaliny.

A pod jedną ze ścian, płaczących subtelnymi liśćmi, tuż po nad brzegiem zcicha szemrzącej wody, co uciekała lśniącym szlakiem w dal tajemną, stał bajecznie kolorowy zameczek, czy też kapliczka o przepięknej zaiste, choć nieznaney na świecie strukturze.

Młodzieniec, trawiony gorączką pragnienia, przypadłszy do brzegu kryształowego strumyka, chciwie począł pić zimną, a przysiętem przepojoną wonią pachnących ziół wodę leśną.

I gdy tak chlipał skwapliwie z orzeźwiającej krynicy, wzrok jego padł w głąb sieniej

tafli żywego zwierciadła i w tejże samej chwili omal nie wrzasnął z przestachu, ujrzał tam bowiem prócz swojej odbicie innej jakiejś postaci.

Zerwał się na równe nogi.

Ależ tak! to nie była złuda — nie sen kłamliwy, jeno nieopisana żadnem piórem rzeczywistość:

Tuż przed nim stało istne uosobienie młodości i wesela — czarodziejska dziewczyna, o jasnych jako błękit południowego nieba oczkach i pełnych, — a zda się dyszących pragnieniem namiętnych ucałowań — ustach karminowych.

Zlekka wzdęta dziewczęca pierś falowała przyspieszonym oddechem, a marzycielskie oczy, osłonięte cienistemi rzęsami, pod adresem młodziana przysyłały pytania, na które on — niestety — nie umiał dać żadnej odpowiedzi.

Olśniony świetlanem zjawieniem, stał jak wryty, nie wiedząc co począć z sobą; wreszcie, pchnięty ku ziemi niezbadaną jakąś mocą, padł na kolana i ze złożonemi jak do modlitwy rękami, z rozchylonemi ze zdumienia usty, wchłaniał płonącym wzrokiem przepiękną postać bajecznej dziewczicy.

Po chwili wszakże, już nieco ośmielony pogodą jej wejrzenia, odważył się przemówić:

— Przebacz! — szepnął błagalnie — przebac, śmiałości mej, o pani. Zbłądziłem w szumiącym borze, iżem w końcu nie wiedział, gdzie się znajduję; ale jak-em się przybłąkał, tak i odejdę cicho, jeno wskaż łaskawie drogę...

Tu się zaciął, albowiem Bóg jedyny tylko raczył wiedzieć gdzie się zaczynała ta jego droga i dokąd go wiódł ułudny szlak błędnej wędrówki dnia doczesnego...

— Droga ci nie umknie, szlachetny młodzianie — odrzekła czarodziejka, a słowa jej płynęły jako szmer błękitnego źródła.

I zanim zdołał zdobyć się na jakąkolwiek odpowiedź lub prośbę gorącą, dziewczę, ujawszony go zlekka za rękę, powiodło na sam skraj wód kryształowych.

Znijdź tam w głąb fali odrodzenia materji i ducha... i żyj słoneczną dobą szczęścia.

A gdy tajemna fala wód leśnych zawarła się nad jego głową, poczuł naraz w sobie nieznana dotychczas siłę mocarza, na skinienie którego cuda się dzieją w krainie wieczystego słońca.

Wypłynawszy więc po nad kryniczną powierzchnię bez wszelakiego trudu, stanął przed swoją boginią, jako rycerzyk wspaniały, przyodzian w pozłociste szaty.

I przepojony też rycerskim animuszem, wycisnął na jej rozchyłonych zlekka karmi-

nach pierwszy pocałunek płomiennego kochanka.

— A teraz pójdz, luby, do naszej wspólnej świątyni miłości, — zachęciło zlekka spłonięone dziewczątko — i zanim zdołało umknąć wdał przesłodkie echo słów milej zachęty, młody rycerzyk, wraz z umiłowaną wybranką serca znaleźli się wśród błyszczących sklepień władczyni odwiecznego boru.

Nic już nie mówiąc, wiodła go przez szeregi djamentowych komnat do szczerozłotych progów królewskiego ustronia.

A gdy bez najlżejszego bodaj szmeru rozwarły się misternie rzeźbione podwoje, owiał go naraz półmrok tęczowych witrażów, a wpośród przepojonych różaną wonią półcieniów, oniemiały z zachwyty oblubieniec królowny ujrzał olbrzymie szafirowe łoża, usłane białymi płatkami dzikich róż leśnych.

Serce zatrzepotało się jako ptak, błyskawicą spłoszony, — krew chlusnęła do mózgu falą stu płomieni, — w skronie uderzyły pulsa przyspieszone, — w piersi zaparło oddechy, — usta, przenamiętnie drgające, bezwiednie jakos wyszeptywać z siebie poczęły próżno tłumione wyznania...

Kocham!.. kocham!.. kocham!.. bóstwo ty moje!.. Ach... cóż to jest!.. Co się ze mną dzieje?!..

I straciwszy do reszty panowanie nad

sobą ze słowami: pójdź... pójdź... ty... moja!...

Chwycił ją nagle w spragnione objęcia,— bezpamiętnym ruchem, błyskawicznie zdjął z niej szatki powłoczyste, a poszarpawszy w strzępy złocistą odzież swoją, w przecudnej nagości różanego jej ciała ułożył jako maleńkie dziecko bezoporną kochankę swoją na różanej pościeli królewskiego łóża.

I z mocą namiętą splotły się ramiona,— spletały dwa gorejące ciała,—piers muskularna gwałtownie przyparła przepysznie utoczony elastyczny biust dziewczicy,— usta młodzieńcze wpiły się w rozchylone wienieki nawpół omdlałego dziewczęcia i wszystko naraz wirować poczęło,— jedynie tylko wulkanicznie buchające oddechy oszalałych z miłości kochanków zakłócały głęboką ciszę usypiającej zwolna krainy cudu... I zanim rozkwilił pierwszy światełko rozświtu, atakowany jeszcze zbyt nieśmiało przez skrzydlatą rzeszę zakłętą głuszy leśnej,— po dziesięćkroć sperliły się krwawymi rubinami śnieżyste listki różane..., a przecież do pełnego wschodu słońca było jeszcze daleko!...

.....

Mętny zimowy poranek, przywlokłszy swoją szarą oponę tuż pod sam otwór okien-

ny, wślizgiwał się już powoli przez szczeliny źle dopasowanych desek, które zabite było okno opuszczonej komnaty, gdym po świetlanych mirażach otworzył znużone powieki.

Teraz dopiero przekonałem się, że przyczyną snów perłowych było nieszczęsne rozgrzanie całej tylnej połowy ciała, przytulonej skwapliwie do gorącej ściany, sąsiadującej z piekarnią...

Ból krzyża aż nadto przekonywał mnie o tem...

Ha! i cóż jurny królewiczu,— pytałem sam siebie z gryzącą ironią w duszy,— różana postać rozkosznej kochanki, omdlewającej w objęciach twoich, rozwiała się we mgłę sennego widziadła, a ty, którego los szyderca ułożył złośliwie na plugawym worku, czujesz że cię coś gryzie paskudnie, a co gorsza — całe ciało pali jakimś ogniem wszetecznym.

Ależ tak, królewiczu, niepokojące przypuszczenia zamieniły się w pewnik niezbity, gdyś się naocznie przekonał, iż oblaży cię wszy niepośledniej wielkości i przedniego gatunku.

I znów porwała mnie rozpacz bezgraniczna, jak w onej chwili, gdym dokonał odkrycia, iż przez dziury butów moich wlaża we mnie śmiertelna choroba.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

W którym okazuje się że wichura, szalejąca na ulicach miasta, zapędza skulonego bohatera na samotną ławkę kamienicznego argusa, po to chyba jedynie, aby znieśliwiony głodomór zmuszony był szukać noclegu w przybytku... „00“...

Gdybym-ż to ja mógł przewidzieć że mróz piętnastostopniowy rzuci się na drżącą rzeszę skostniałych nędzarzy z furją podrażnionej pantery,—nie sprzedawałbym (pomimo głodu) mojej granatowej marynarki w paski.

A teraz oto na zdartym do nieprawdopodobieństwa i brudnym łachmanie, niezbyt udatnie imitującym koszulę, wisi wytarte do ostatniej nitki paletko, jak worek na długim kiju.

To też zimno mi, oh—wprost nie do znieśnienia!

Skulony, jak pies bezdomny, włóczę się z kąta w kąt pod murami domów, spoglądając zażawionemi od mrozu oczyma na miasto zakute w pancerz śnieżysty.

Boże ty mój! aż mnie na wskroś przemroziło! Zda się że krew skrzepła w żyłach!

A tu jakby na złość, przy tak potężnym mrozie wiatr dmie z siłą, którejby mogła mu pozazdrościć pierwsza lepsza burzliwa noc jesienna.

Śnieg sypki, jak wysuszona mąka, miecie białym tumanem kurzu po wyiskrzonych fliżach trotuaru.

Przykucnąwszy na jakiejś maleńkiej ławeczce, stojącej w zagłębieniu jednej z bram, wzrokiem pełnym trwogi i nietajonego smutku obserwowałem tę istną orgię wichury, wyprawianą przez pęd mroźny na przedmuchanym terenie zaśniewanej ulicy.

Oto sunie tuż wprost na mnie olśniewająca białością wstęga puchów, pozostawiając za sobą czysto zmieciony beton miejskiego trotuaru; wpadając wszakże na spotkany na drodze inny, chwilowo omdlały w biegu kopyczyk śnieżysty, pobudza go do ruchu i przez sekundę tarmosząc zawzięcie za siwą czuprynę, wchłania go nagle w siebie i spęczniała do podwójnych rozmiarów, sunie w żwawych lansadach, aby o kilka kroków dalej, zahaczwszy się o nową chmurkę śniegu—pędzić z zawrotną szybkością het, gdzieś tam aż wgląb świszczącego mrozem zaułka.

Czasem taki biały wąż zatrzyma się jak wryty,—drgnie zlekka, jak samum pustyni,—poderwie się jeszcze do lotu raz — drugi, ale że wiatr-akrobata, wywinąwszy nad nim koźła, gwizdnął już dalszym podmuchem iskrzącego mrozu, więc też namarszczona przedziwnie kurzawa, zległszy bezwładnie wpoprzek

ulicy, mści się na buchających oparami koniach dorożkarskich.

I gdybyż to jedynie kończyło się na zahartowanych zwierzętach,—toć już pal sześć! skoro pójdą one wkrótce na rzetelnie zapracowany spoczynek do ciepłej i suchej stajni; ale co gorsza, to gwiaździsta zawierucha pluje mi teraz wprost w oczy tak zaciekłym mrozem, że literalnie uszy moje zdają się być przypiekane rozpalonem żelazem.

W obawie odmrożenia kończyn rozcieram silnie zagrożone miejsca, lecz mróz jak rozsierzdzony brytan chwyta za ręce, szczypie w nos, usta, brodę i przypieka palce u nóg z taką zajadłością, jak gdyby chciał się na mnie jednym zemścić za tych wszystkich bliźnich moich, których nie może dosięgnąć w troskliwie ogrzanych sypialniach.

Fakt jednak niezbity, że pomimo dokuczliwego bólu, senność mię zwolna ogarniać zaczyna, lecz na szczęście w tymże samym momencie przed oczyma duszy mojej, rozsnuwają się dość wyraźne kontury rzewnego obrazu dziewczynki z zapalkami, tragiczną historję której czytałem kiedyś, siedząc przy ciepłym kominie w towarzystwie mojej świętej, najdroższej matki.

A tam z za ciemnego węgła ulicy sunie znów nowy warkocz białego pyłu, aż jakiś, zakuty w potężne futrzysko jegomość, zasło-

nił sobie twarz rękami, uzbrojonemi w grube rękawice i przystanął na chwilę na środku ulicy.

Doprawdy—nie chciałbym znajdować się w skórze tego pana, bo tu na opuszczonej przez stróża ławeczce uciszyło się jakoś chwilowo.

Nie przeczuwałem jednak że inna burza zagraża spoczynkowi mojemu, bowiem groźne cerberzysko, któremu widocznie zająłem miejsce w bramie jego kamienicy, wysforował mnie stamtąd w sposób tak brutalny, że gdyby nie to, iż wieczór dzisiejszy spędzałem pod znakiem przygnębienia i apatji — kto wie jakby się ta nieparlamentarna afery skończyła!

Poszedłem jednak dalej, jak utajone widmo tłumionej rozpacz i wtuliwszy przemarniętą szyję w sterczące ramiona, wlokłem za sobą dygocące od zimna nogi.

Przechodząc około jakiegoś pałacyku, jakby przecuciem wiedziony, widząc przed sobą pustą bramę, chyłkiem pobiegłem wprost do miejsca ustępowego.

Na szczęście moje, wbrew tabliczce, obwieszczającej wszem wobec i każdemu z osobna iż „klucz znajduje się u stróża“,—zlekka pchnięte, a misternie filungowane drzwi odsłoniły mi wspaniałą przybytek cichych westchnień ludzkich, oświetlony a giorno płomieniem ga-

zu, palącym się tuż nad bezspornie gorącym piecem kaflowym.

Węższe nieco od wejściowych drzwiczki wewnętrzne odsłoniły mu wyłożoną białym marmurem ubikację.

Przestąpiwszy szybko gościnne progi obiecującego sezamu, bez żadnego zgoła szelestu zamknąłem za sobą drzwi na żelazny haczyk.

A gdym usiadł na troskliwie wypolerowanym stolcu, wpadłem naraz w głęboką zadumę.

Przedewszystkiem czułem się tutaj bezpieczniejszym, niż tam na tym północnym wydmuchu, szalejącej mroźnym wichrem ulicy.

Mając tuż prawie nad głową słoneczny płomień gazu, obok zaś ziejący błogosławionem ciepłem piec kaflowy, doznawałem teraz ulgi w tem ciężkiem mojem strapieniu i tylko głód dokuczał mi bezlitośnie.

Ha, cóż czynić—tłomaczyłem sobie wreszcie, gwoli podniesienia upadającego ducha. — Powiadają iż nikt absolutnie na świecie nie jest z losu swojego całkowicie zadowolony!

Pomny na światłą maksymę, siedziałem już cicho jak mysz pod miotłą, obawiając się aby za łąpczywie wygórowane pragnienia grzesznego sybaryty, nieba sprawiedliwe nie zechciały zemścić się na nim jak na to samo chcąc zasłużyć.

A jednak pomimo to nie zyskałem wido-

cznie pełnego uznania bożyszcz opiekuńczych, skoro w kilkanaście zaledwie minut po mojem wkradzeniu się do błogosławionej ciepłarni, dwuzerowe podwoje przybytku ulg ludzkich nagle się otworzyły i w tejże samej chwili ujrzałem wielką jak patelnia, owiniętą w kozuch cuchnący łapę stróża, przykręcającą gaz tuż nieomal nad moją głową.

Dech przywarował mi w gardle. Pochylony ku ziemi, tłumiłem w sobie najłżejszy bodaj szmer własnej odzieży, za co też zostałem po królewsku wynagrodzony.

Po zmniejszeniu płomyka gazowego, niedźwiedzie łąpsko cofnęło się skrupulatnie i dzięki świetlanym duchom pozostałem nareszcie sam jeden w parterowym lokalu prześwietnego pałacu.

I gdyby nie głód, wszystko byłoby w porządku; ale bezmyślna bestja poczęła nanowo żreć puste kiszki samotnika.

W „dołku“ coś mię tak niegodziwie ssało, iż pod wpływem niezwykłych wprost, a wyrafinowanych katuszy, czułem że wypieki gorączkowe, jak zdradzieckie żmije pełzną po wychudzonych policzkach moich.

W gardle susza niezwykła srodze dawała się we znaki; wreszcie siły fizyczne ulotniły się gdzieś w mrocznej przestrzeni, pozostawiając po sobie przykre ciężenie rąk ku ziemi,—nerwowe drżenie nóg—i co najprzykrejsza—

dziwnie mdlący zawrót zboląlej głowy. To była odwrotna strona medalu.

Na zaspokojenie wszakże notorycznego pogromcy nędzarzy nie było rady,—usiadłszy więc po raz wtóry na kusząco błyskotliwej powierzchni siedzenia, wpadłem w nową, tem cięższą zadumę.

I cisza, brzęcząca w uszach bezdomnego włóczęgi, ujęła teraz w swoje kojące dłonie wszystkich i wszystko, co się jeno do tej chwili tłukło pod wytwornym dachem tajemniczego pałacu.

Głowa opadła mi bezwładnie na piersi, i słaby się czułem niewymownie.

Oh, gdybyż sen, niebiański pocieszyciel znużonych, zechciał litośnie przekroczyć gościnne progi chwilowej kamery mojej,—oddałbym mu chętnie wszystkie razem wzięte troski i cierpienia duszy i serca mojego na wieczyste bodaj przechowanie.

Niestety! pod rozszerzone gorączkowo źrenice nie myślał on nawet wnijść bodaj na jedyną chwilkę. A przytem, niezłazące ze mnie od pewnego czasu lokatorki białe, gryzły mnie tak nieprzyzwoicie, jakby chciały pomścić niemiłą dla nich chudość ochłapa ludzkiego.

Ale cóżem ja temu winien, moje nienadobne panie, że głód terrorysta uwziął się na moją mizerję najwidoczniej w celu dokonania

przemiany gatunku i smaku łapserdackiej powłoki biednego włóczęgi.

Niemasz jednak tego złego, coby na dobre nie wyszło,—tak i obecnie; oto — jeszcze raz niezbicie przekonałem się, że nie tylko łapczywa istota ludzka, lecz nawet marny insekt bezmyślny nie umie poprzestawać na małym. Skrobię się też brudnymi paznogciami po jeszcze brudniejszej skórze, aż wstrętne drapanie, zakłócając ciszę ciepłej siedziby, wywołuje chwilami lekki dreszcz trwogi, wywołany myślą o możliwości wysłędzenia mojej kryjówki, co groziło co najmniej spędzeniem reszty nocy na rozhulanę do absurdu zamieci.

Uspakajam się wreszcie powoli i w bezdenną ciszę zimowego wieczoru rzucam jedno tylko błagalne pragnienie snu!, snu! bodaj wieczystego snu!!

Ale—co to?... Coś rzeczywiście niepojętego!! Do uszu moich dolatują z początku ciche, jak szmer odległego wodospadu pomruki, wreszcie, zatopiony w głuchej kontemplacji pognębionego ducha, dopadam słuchem do graniczącego z piecem zagłębienia (cienkiego w tem miejscu muru) i najwyraźniej teraz rozróżniam wulgarne jakieś głosy paru starszych osób i cienkie głosiki dzieci.

Jeśli się nie mylę, to rodzina stróża zasiada właśnie do jakiejś niezwykle chyba sutej kolacji, gdyż — o ile mogłem zauważyć —

poza ścianą mojej wygodki znajdowało się mieszkanie domowego cerberusa.

Oto teraz właśnie słyszę znów gruby głos czcigodnej głowy rodziny. Każde nieomal słowo, wyrzucone nieco głośniej, umiem już rozróżnić doskonale.

Nasłuchując z natężoną uwagą, przekonywam się że wśród przezacnej rzeszy rodzinnej krąży jakoweś życzenie.

„No, stara“, — rozlega się tuż za ścianą głos niezbadana jeszcze uroczystością tubalny, — przy dzisiejszym opłatku życzę ci...

Opłatku? a cóż to dzisiaj?... jakież to dzień mamy?... — przez mózg znużony przemknęło pytanie. — Ależ — tak!... tak... to... Wigilja Bożego Narodzenia!...

Wsparłszy na drżących rękach skołataną głowę, siedziałem już teraz bez ruchu jak zaklęty w marmur posąg milczącego bólu, a tuż przy krwawiących ranach duszy przywarowało ciche wspomnienie słonecznych chwil przeszłości i patrząc w łzawe źrenice człowieka zdawało się również wysnuwać z głębi łona swojego nieprzeniknione pasmo wiekuistej tęsknicy.

Przed oczyma rozkołysanej wyobraźni stanęła wysniona postać ubóstwianej matki, i skwapliwie wchłaniałem w siebie zwodnicze, niestety, słowa serdecznych przepowiedni, wypowiedzianych kiedyś w dniu wigilijnym.

„Ty, Loni, będziesz w życiu szczęśliwy... Zobaczysz..., no, przekonasz się“...

„A dla czego, mamusiu, ja będę szczęśliwy?“ — pytałem w naiwności dziecięcej duszyczki.

„Dla tego, widzisz, żeś dobry, pocciwy dzieciak, a dobre mi dziećmi Bozia się opiekuje“... —

Na wspomnienie pobożnych przepowiedni, smutny półuśmiech mimowoli wykrzywił mi usta...

A tam z poza kamiennej ściany coraz potężniejszym echem rozpływała się w przestrzeni pieśń:

„Anioł pasterzom mówił”

.

Czesław Ostrowski

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Skrupulatnie zapełniony sumienną naracją o nieoczekiwanem otrzymaniu znacznej garści złota, dającego możliwość odbycia kilkunastu krótszych, oraz kilku dłuższych galopów próbnych w szlachetnym celu zdobycia najędzniejszej bodaj posady, której — jako życiowa pouczająca praktyka — nie otrzymuje się pono bez poparcia. W danym wypadku nieznaną została zroszeniem kawalerskiego siennika łzami próżno tajonej rozpacz.

Zdarzają się jednak na tym padole prawowitego ucisku wypadki, o których nietylko Dalaj Lamom ultra-kapłanicznej wiedzy, lecz bodajby nawet i czcigodnemu Ben Akibie prawdopodobnie przenigdy się nie przyśniły.

Do takich prawie że bajecznych wydarzeń zaliczyć należy moje niedawne spotkanie z opatrznosciowym zaiste duchem społecznego dobra.

Legenda miała miejsce na jednej z oddalonych ulic Warszawy, gdzie omdlałe kroki zawlokły mnie pod plugawe szeregi siedzib zamrożonego lumpierproletariatu.

Uwagę moją zwróciła parokonna dorożka, rozturkotana głuchym warczeniem kół gumowych wśród zbrukanej dzielnicy.

Odwrociwszy bezwiednie głowę, omal nie krzyknąłem ze zdumienia:

Rozparty na granatowych poduszkach powozu, otulony w bogate futro, jechał nie kto inny, jeno pan Stanisław Wiercieński, jedyny przyjaciel z czasów pobytu mojego w niezbyt gościnnym domu ciotki Grzebulskiej.

W pierwszej chwili, opanowany przez wstyd fałszywy, starałem się nie być poznanym, lecz Wiercieński, prawie że na miejscu osadziwszy dorożkę, podszedł ku mnie szybkim krokiem z przyjaznym na ustach uśmiechem.

— No i jakże tam? — zarzucił mnie gładem zapytań, gdyśmy przystanęli w bramie jakiejś wstrętnej spelunki. — Widzę żeście jakoś nie tego?... Coś krucho koło was, panie Leonie!...

Mizernyś strasznie!.. Co wam jest u licha, żeście tak spasowali?

— Wzięło mnie, panie Stanisławie! kadcześnie mnie wzięło! — dorzuciłem z głębokim westchnieniem, a będąc nagłony o treściwą narację, jałem bezładnie rozsnuwać przed życzliwym indagatorem krwawą kronikę nędzy młodocianego żywota, i byłbym nie pominął żadnego szczegółu, gdyby nie łzawe jakoweś skowyty, co — czepiwszy się gardła mojego, zdławiły całkowity epilog dni ostatnich; ale też i wdzięczny słuchacz nie oparł się głębokiemu wzruszeniu, bowiem, o ile mogłem zauważyć, końcem glansownej rękawiczki nie-

znacznie dotknął parę razy rozbłyskujących
łzawym odblaskiem źrenic.

— Słuchajcie-no, panie Leonie, — pod-
chwycił wreszcie żywo a serdecznie, — stryj
mój, ów słynny na całą dzielnicę harpagon,
zamknął nagle strudzone powieki.

Jestem dzisiaj co prawda człowiekiem bo-
gatym, lecz nie milionerem, a przytem pełną
mózgownicę mam przeróżnych planów, tyczą-
cych się szerszej nieco działalności w kierunku
niesienia zbiorowej a stałej pomocy pozbawio-
nym pracy. No, ale-ć przecież co do was, to
bis dat qui cito dat; wy nie możecie czekać
na fundację wymarzonych dopiero, a niepew-
nych jeszcze instytucji. Wam trzeba pomódz
na gorąco—tu zaraz—na miejscu! Toż to do
djabła nie ma żartów!..

Chłopisko poprostu bez koszuli!.. Skandal,
paniel...!

A nie drożcie-ż się do licha, bo ja nie
ustąpię!... Proszę przyjąć!...

I przy tych słowach wcisnął mi w rękę
grubą paczkę szeleszczących papierków. —
Weźcie, panie Leonie, — nalegał, — ja na czas
dłuższy wyjeżdżam z Warszawy, a po powro-
cie, kto wie jak tam wszystko się ułoży. Jeśli
dobrze pójdzie, to być może że już was zasta-
nę w jakim biurze? Wszakże znacie języki,
chłop z was inteligenty, ale przecież w takim

stanie nie moglibyście się pokazać między
ludźmi!..

No, no, nie róbcie próżnych ceregielów!
To tylko wreszcie bezterminowa pożyczka...
Będziecie mieli—zwróćcie; nie będziecie mieli,
któżby tam miał do was pretensję!

Ta sumka miała w tej chwili dojść rąk
innych, ale wasze są najpilniejsze, a innym by-
najmniej nie przepadnie, — więc bierzcie, pa-
nie Leonie.

I zanim zdołałem ochłonać nieco z pod-
wartkiego napływu kaskady słów przeznacznych,
padających z zawrotnym poszumem na oszo-
łomioną głowę moją, Wiercieński mknął już
w stronę rogatek miejskich. —

(Dowiedziałem się później nieco, że wizy-
ta byłego współlokatora w tej dzielnicy mia-
sta miała na celu odszukanie jego dawnej pia-
stunki, zajmującej czarny kąt przy wiecznie
głodnej rodzinie notorycznych nędzarzy).—

Odwrocony do ściany, błyskawicznym
przerzutem palców przeliczyłem papierki.

Było ich ośm, a wszystkie różane, jak list-
ki spłoniętego kwiecica, jako przebłoga przy-
szłość najszcześliwszej z istot słonecznego
świata.

Ośm dziesiątek wszystkodajnej tkaniny,
niezaprzeczony kurs w kraju posiadającej.
A zresztą, co tu dużo rozprawiać: miałem

w garści ni mniej ni więcej, tylko... osiemdziesiąt rubli!! O-s-i-e-m-d-z-i-e-s-i-ą-t rubli!

Co się ze mną działo! co się działo, tego chyba złociste pióro mocarza świetlanych opowieści odnaleźć nie byłoby wstanie!

W jednej chwili uczułem całą błogość ciepła, rozlewającego się po żyłach moich, a oczyma rozradowanej aż do krzyku duszy, ujrzawszy mojego gwałciiciela — głód — zmykającego milczkiem ode mnie, posłałem mu na pożegnanie serdeczne życzenie połamania wszystkich członków razem wziętych i każdego z osobna, i skierowawszy kroki w przeciwnym kierunku, pocieszałem się znaną mi maksymą: nullum violentum perpetuum!...

Pierwszą czynnością świeżo upieczonego miliardera było naturalnie zaspokojenie za wiele już sobie dotychczas pozwalającego głodu.

Wstydząc się łachmanów, okrywających doczesność chudeusza, skierowałem kroki aż na Piwną ulicę, gdzie w jednej z dziesięciorzędnych gargotek po czterynastu skrupulatnie zamieniałem pustą na pełną wazkę flaków gospodarskich z garniturem.

Sześć łakomych kromek rodzimego chlebusia dopełniło obrazu gastronomicznego nabicia żołądka, a że-m potem nie wyzionął lekomyślnego ducha, to już bezsprzecznie cud, za który winienem dziękować niebu.

Najpilniejszą rzeczą naturalnie było, (po

odszukaniu zapomnianego na śmierć kwitu), wykupienie letniego paltota, zastawionego w krytycznym momencie w lombardzie na Nowogrodzkiej ulicy. Tym sposobem, ubiegłszy zaledwie o jedną dobę licytację, stawałem się dumnym posiadaczem zapasowej szaty. Następnie, na ruchliwej „wołówce“ zaopatryłem się w bajecznie zakratowane „żuawy“, jako też w niemniej udatny, najszczerzej kamgarnowy surdut, oraz w palto zimowe, z kasztankowym, budzącym ogólny podziw kołnierzem.

Nieznacznie używane lakiery i ciemnozielony, omal że nie pluszowy tyrolczyk,—wszystko to, razem wzięte, dopełniło galanteryjno-efektownej całości.

Znalazłszy niezbyt kosztowny bynajmniej, a wysoce miłuchny przytułek w okolicach Kruczej i Wspólnej, na huczącym czwartaku kawalerskim, zamieszkałem tam u dawnego współtowarzysza, niejakiego Julka Piotrowskiego, obywatela, — jak sam o sobie głosił, całkowitych czterech pór roku zwykłego.

Był to co prawda goljat przerażający, ale że notoryczne pasywa kompensował wybuchowym zaiste humorem i przeobfitą dozą dowcipu, więc też mile bywał widywany w towarzystwach mniej, lub więcej zasobnej młodzieży wielkomięskiej.

Po uroczystem ułożeniu siennika na go-

ścinnej podłodze nowej siedziby, zaprosiłem wesołego pasażera na skromną przekąskę do znanej już restauracyjki, gdzie królowała blada wierzycielka moja.

Zwróciwszy nienadobnej loretce (wraz z setnym procentem) dług, niedawno zaciągnięty, powróciłem do domu w licznej gronie jaknajlepszych na przyszłość nadziei.

Nauczony wszakże krwawem doświadczeniem, postanowiłem z całą energią zająć się poszukiwaniem jakiejkolwiek pracy; przedewszystkiem zatem zabrałem się skrupulatnie do sumiennego studjowania ogłoszeń we wszystkich niemal pismach codziennych i tygodniowych; następnie rozpoczęły się najprawdziwsze biegi maratońskie po najróżnorodniejszych zarządach, sekretarjatch rządowych i prywatnych, przeróżnych kantorach i kantorkach fabrycznych; poza tem znów lunął obfity deszcz podań, prośb, „dokładnych zapisek“, oraz błagalnych listów, a rezultatem całej biegająco-papierowej gerylasowki łakomego na pracę aspiranta było... mogilne milczenie atakowanych instytucji, lub w najlepszym razie jedna i taż sama bliźniaczo-stereotypowa odpowiedź niepokojonych zwierzętników: „Niema miejsc wolnych“.

Zawzięłem się jednak szalenie!

Cóż u licha!—wtłaczałem sobie pod znużoną nadwyrąz czaszkę przykre a uparte pyta-

nia: — Czyż ja rzeczywiście nigdy już w tem pokutniczym życiu mojem nie dojdę do kawałka godziwie zapracowanego chleba?! Czy wreszcie podobna przypuścić, aby nieubłagane ananke mnie tylko, z pośród setek tysięcy ludzi szarego bytu, obrało sobie za cel piekielnej igraszki?!! Czyż ostatecznie należałoby już sądzić, że rozszały młstrom musi mnie wchłonąć w czarne głębiny wiru swojego, obym już przenigdy nie ujrzął jasnych, życiodajnych promieni ukochanego słońca!

Wszak od ślepego losu nie wymagałem zbyt wielkich rzeczy;—przeciwnie, jak wszystko-wiedzący Fagon, z całego serca i z całej duszy mojej przebaczałem zawziętemu prześladowcy gorące łzy i srogie cierpienia moje, ale ostatecznie wszystko na tym świecie ma swoje granice.

Tajemne źródło cichej rezygnacji chwila-mi zniknęło z mojej duszy, i wtedy to cała natura torturowanego delikwenta burzyła się, jak skłębione dymy zbudzonego do dzieła zniszczenia krateru i wybuchał wonczas rozpętany do szaleństwa człowiek pożogą niepo-hamowanej rozpacz. Padały dokoła strzępy męczeńskiej duszy pełzającego w krwawym krzyku skazańca.

Wzerając się palającymi źrenicami w niezbadaną przyszłość nędzarza, zaciskałem kurczowo drżące rozpacznie ręce, a przez zacięte

do spazmu zęby syczały złowróżbne klątwy, bo i jakżeto! — tam, na huczącym gościńcu świata, legjony zwyrodniałych nikczemników, tłumy wyrzutków społecznych, zastępy płazów, tuczających się potem niewolników pracy i cała ta niezliczona zgraja samurajów (o których Voltaire z sarkazmem powiada, iż rodzą się z ostrogami, aby mogli jeździć na karkach niewolników, przychodzących na świat zsiodłem na grzbiecie) — wszystko to pławi się w błyszczącym odmęcie rozkosznego użycia! gdy ja, który nigdy nie myślałem nawet o wyrażeniu komukolwiek najłżejszej bodaj krzywdy, zmuszony jestem żyć w wiecznym podnieceniu wylęknionej myśli o jutrzejszym głodzie.

Chwilami zdało mi się, że gdybym chociaż potrafił otumanić samego siebie, wówczas dziecięco-naiwna wiara w zapewnioną nagrodę przyszłego żywota, być może iż w pewnej części osładzałaby mi nawet doczesny ból ciała i ducha; lecz — niestety — zbyt byłem daleki od fałszu, skutecznie zazwyczaj umierzającego wdzięczną niwę golonych owiec.

Cierpiałem więc srodze, a jednak ukrzyżowanego bólu ducha mojego nie oddałbym za najzarliwsze bodaj wierzenia, bijące otumanionemi pokłonami w zimne głazy przybytku, tuczającego nieprzeliczoną barbarję spasionych siewców nocy.

Światła pożądała dusza moja! i bogdajby poczęte w najtajniejszych głębinach tego ducha, gorące umiłowanie prawdy, sączyło same jeno gorycze; to jednak piołun ich byłby jeszcze milejszym dla szukającego wiedzy umysłu, niżli represyjne nakazy bezkrytycznej myśli, podawanej w jadowitych dawkach rozpróżnianiem rękami wrogów słońca.

Po ciężkich wszakże momentach zwątpień i rozpaczy, przyływały na szczęście srebrzyste fale ukojenia i wtedy to z zasobem świeżych sił młodzieńczych rzucałem się znów w zawrotny odmet gorączkowych poszukiwań najmarniejszego bodaj zajęcia.

Pewnego dnia wyczytawszy w kurjerze ogłoszenie, zachęcające młodych inteligentów (znających miejscowe stosunki), do sprzedaży nadzwyczaj jakoby ważnego produktu codziennego użytku, udałem się pod wskazany adres, gdzie objaśniono mnie, że owym tak niezbędnym w życiu przeciętnego mieszczucha produktem jest... znakomicie ulepszona pasta do butów, za skrzynkę której pomyślny wynalazca kazał płacić sobie tylko ośm rubli, monetą kurs w kraju mającą!

Innym znów razem anons kurjerowy głosił, iż poszukiwani są komiwojażerowie, mogący wyjechać na prowincję, w celu rozpowszechnienia koniaków i likierów miejscowej fabrykacji; a gdym się zgłosił do kantoru, zo-

stałem obrzucony gradem złośliwych docinków i satyrycznych uwag, jedynie tylko za to, że, jako nie specjalista w branży alkoholycznej, ośmielił się tak poważnej firmie zajmować czas, dla niej zbyt drogi!

Fatalnie zawiedziony w nadziejach, szedłem jednak dalej w obranym kierunku, lecz brnąłem chyba po to jedynie, aby z bliźniaczem wprost niepowodzeniem zawracać od niegościnnych, lub w najlepszym razie zajętych już progów wątpliwych częstokroć przedsięwzięciom.

Nareszcie ugruntuwało się we mnie tem smutniejsze, że niezbite przekonanie, iż drogą pośrednictwa kurjerowego nie dojdę do celu i od tej to przełomowej chwili, ze zdwojoną pasją począłem kołatać o udzielenie mi konkretnych odpowiedzi na moje liczne prośby pisemne,—„dokładnyja zapiski“ i kwieciste podania.

Rezultat był taki, że odpowiedzi w końcu nadchodziły, lecz odmowne!

Pozostały tylko jeszcze dwa bezduszne sfinksy, dwie zakłète bryły, których nie byłem w stanie zmusić do dania mi stanowczej rezolucji.

Tak nie etycznie względem mnie postępował właśnie magistrat, oraz zarząd jednej z tutejszych dróg żelaznych.

Postanowiłem kolejno zaatakować obiedwie zagwożdżone reduty.

Ubrany skromnie, lecz schludnie i chędogo, w najbliższym dniu przyjąć magistrackich udałem się wprost do sali prezydyjalnej, gdzie już liczny poczet interesantów oczekiwał na przybycie prezydenta.

Urzędnik tak zwany „do szczególnych poleceń“ dość uprzejmie, niemniej jednak z lekkim zdziwieniem w głosie zapewniał mnie że nic absolutnie nie wie o jakimkolwiek bądź złożonem przeze mnie podaniu. Nie zbity bynajmniej z tropu, wręczyłem mu nową prośbę, opatrzoną odpowiednią ilością marek stempłowych.

— Nnnu-s, ładno, młodoj czełowiek, — wycedził zwolna przez zęby, — a swidietielstwa kakija libo u was jest’?

— Ja, proszę pana naczelnika, — odparłem drżącym nieco głosem — kształciłem się w domu, ale znam i francuski i niemiecki; ładnie piszę...

— Da, nie w tom dieło! — przerwał mi już jakby nieco zniecierpliwiony dygnitarz. Domasznieje wospitanie tak nic nie znaczy-t!, a potrzebne nam jakieniebądź świadectwo, ot, choćby iz gorodzkowo ucziliszcza, — panimajetie?

A gdym się zaciął w lęklivem milczeniu, rzucił mi jeszcze pytanie.

— A kto wasz protiektor,—a?

Coraz bardziej onieśmielony, cichym i dygoczącym głosem zapewniłem go, że nie mam protekcji.

Pan radca, zlekka rozchyliwszy dłonie, z wzniesionemi jakby litosnem jakimś zdziwieniem brwiami stał tak przez chwilę, poczem, zwracając mi prośbę, suchym tonem poleciał:

— Proszu ot—tam i czekać oczeredi, poka nie zbliży się do was jeha prewoshoditielstwo, takda można predłozit' proszenie. I w tymże samym momencie, zwróciwszy się do jakiejś młodej, czarno ubranej damy, zażądał dołączenia brakującej marki stemplowej.

Stanąwszy na samym ogonie długiego węża interesantów, podziwiałem wspaniałe, wiszące w złocistych ramach portrety cywilnych i wojskowych opiekunów miasta, poważnym wzrokiem spozierających z martwych piedestałów przebrzmiałej działalności, gdy naraz bez szelestu rozwarły się białe lakierowane podwoje i w progu sali stanęła wyniosła szczapowata postać sędziwego męża.

Rzucał on dokoła surowe wejrzenia, a jednak, pomimo pozornego chłodu pergaminowego oblicza, pogodny wzrok starca tlił łagodnością nieszkodliwego osobnika.

Był to dość popularny i wyjątkowo szanowany prezydent Warszawy, generał B.

Przyjmując z rąk petentów podania, lub zażalenia na piśmie, zagadywał niejednego, dopytując o pewne szczegóły danej sprawy, a otrzymawszy wyjaśnienie, szedł dalej, aż wreszcie, zbliżywszy się do mnie, najczystsza polszczyzną zapytał:

— A pan co powie?

— Ja, proszę waszej...,—zacząłem się płatać,—proszę waszej mości... z prośbą o posadę...

— O jaką panu idzie posadę?

— Chciałem właśnie prosić szanownego pana generała o byle co, aby tylko u czcigodnego mości prezydenta... właściwie tu, w magistracie... I w tejże chwili jednym tchem wyrzuciłem z siebie całą lawinę niewinnej zresztą samoprotekcji, powtarzając szybko: Proszę wielmożnego pana generała, ja doskonale znam i francuski i niemiecki i ładnie piszę...

— Bardzo to pięknie, mój młodzieńcze,—powtórzył prezydent,—ale kiedy to u mnie w nieszczęsnym magistracie toż wprost palca nie wciśniesz, taki nawał kandydatów...

Żał mi pana, ale nie chcę go łudzić obietnicami, których spełnić wprost nie mogę... Cóż na to poradzić!

— To może wasza ekscelencja raczy chociaż przyjąć podanie?.. Może też kiedyś... w przyszłości... I nieśmiało wyciągnąłem rękę z papierem.

— Przyjąć, to i coś z tego!.. Ha, daj pan wreszcie.

I wręczywszy papiery swojemu sekretarzowi, opuścił zwolna audiencjonalną salę, a ja, zawiedziony w przelubych mirażach otrzymania posady skromniutkiego bodaj skrybenta, wyszedłem jak błędny, bogatszy wprawdzie o jedno jeszcze doświadczenie życiowe, lecz zarazem uboższy o calusienkie dwanaście złotych polskich, zdaje się zbyt wyprzedzonych na marki stemplowe, wręczone panu sekretarzowi-filatelisście poto, (jak mi mówiono), aby utonęły w jego ekspropriacyjnej kieszeni...

Ha, trudno! — persadowałem sobie — toż podobno taki nieczcigodny „stołonaczelnik“, gdyby nie kradł, — należałby do białych kraków pomiędzy dygnitarstwem magistrackiem, a przecież ten rodzaj ptaków, toż istna legenda! — —.

Następnym etapem uporczywych poszukiwań kawałka twardego chleba była wspomniana już kolej żelazna, gdzie kierownikiem jednego z większych wydziałów był znany w szerokich kołach miasta, niezbyt coprawda popularny pomiędzy pracownikami, lecz za to bogato ustosunkowany naczelnik Y.

Nie wiedząc o tem, że wszechmożny szef przybywa do podwładnego sobie biura dopiero około jedenastej, a nawet nierzadko i pół-

zniej pono, — przez całe dwie przebrzydłe dennerwujące godziny, trusiowato oczekiwałem w szarym jak dola urzędnicza kurytarzu, aż wreszcie oszklone kolorowymi kwadracikami drzwi, wiodące wprost ze schodów, zlekka błysnęły, na korytarz szybkim, pewnym krokiem wszedł wysoki mężczyzna, a ukazanie się jego przygięło ku ziemi kilka elastycznych karków, jako też wywołało ruch gorączkowy pomiędzy liczną zgrają woźnych, z których jeden zwłaszcza, ostemplowany przybrukanym nieco szychem, biegnącym wokół czarnego kołnierza, runął bawolim impetem na kłamkę uprzywilejowanego gabinetu; gdy drugi, napół zgięty, łasił się, zabiegając około futra i wykwiintnej teki możnego śnać przybysza.

Przez chwilę jeszcze wrzała ubikacja urzędowego gmachu lękliwą jakąś, jakby febryczną drżączką, poczem wysoki jegomość majestatycznym krokiem wszedł do swojego biura, był to bowiem nie kto inny, jeno we własnej a przepysnej osobie pan naczelnik Y.

Zebrawszy resztki rozpraszaającej się po zakamarkach wylekniętego ducha odwagi, poprosiłem o zameldowanie mnie wszechwładnemu kierownikowi wydziału, lecz nie była to tak znów zbyt łatwa, jakby się komuś mogło zdawać sprawa.

Dopiero zacna dwuzłotówka, wciśnięta serdecznym ruchem w zgrubiałą, lecz mimo

to wprawna dłoń szychowego jegomościa i skwapliwe zapewnienie, że interes mój należy do kategorii czysto osobistych, przechyliło kwestję na właściwą stronę!

— Niech pan poczeka — o, tutaj. Ma pan sofę, można sobie usiąść, a jak panowie sekcyjne załatwią pierwsze sprawy, to już znaczy — kolej na pana.

I przy tych słowach życzliwy mąż pochylił się dyskretnie do dziurki od naczelnikowskiego klucza, a ja, usłuchawszy naturalnie tak zbawiennej rady, usiadłem skromnie na brzeżku ceratowej sofy i w chwilę potem miałem sposobność obserwowania owych funkcjonariuszów, napływających do poczekalnej sali, poza którą już błyszczał protekcyjny ołtarz kolejowej ich kariery.

Słyszając półgłosem prowadzone dialogi, dotyczące się kwestji służbowych, równocześnie podziwiałem sprawność niektórych panów w szufladkowej robocie kolejowego wślizgiwania się na palcach do gabinetu naczelnika, jakby, doprawdy, tej tak elementarnej czynności nie można już było skutecznie w bardziej ułatwiony, a godniejszy przecież istoty ludzkiej sposób.

Niemile też dotknął mnie zakulisowy obrazek, jaskrawo malujący niezbyt, jak się mogłem jednak naocznie przekonać idylliczne stosunki owego biura, gdy jeden z panów, nale-

żących do starszyny biurowej i to ten właśnie, który kłaniał się najniżej, wchodząc do gabinetu szefa, w chwilę potem, zainterpelowany o coś przez podwładnego mu urzędnika, tonem wyniosłej nonszalacji burknął nań ostro i w sposób tak szorstki, że się odwrócił od biedaka, aby nie zauważył mimowolnego świadka tej afery, lecz ten krokiem szybkim, zdradzającym zdenerwowanie, zbliżywszy się do sofy, na której siedziałem, stanął tuż obok mnie.

Był to mały, mizerny, o pomarszczonej twarzy i bardzo chudy człeczyzna.

Po pewnym znów czasie, zwróciwszy się w moją stronę, najniespodziewaniej zagadnął mnie:

— Przepraszam za śmiałość... Czy pan także do naczelnika?

— Tak — objaśniłem, — tylko że muszę poczekać, aż panowie sekcjni załatwią swoje sprawy, dodałem, rad wielce będąc iż w tym tak obcym dla mnie świecie mam jedną istotę, z którą mogę zamienić słów parę.

Stary wyga biurowy zdawał się być tem mojem wyjaśnieniem nieco zaambarasowany, co widząc, skwapliwie zapytałem go:

— A może panu zależy na tem, aby być prędzej przyjętym przez naczelnika?

— Hm, — dmuchnął przez nos, zależy, nie zależy, tylko widzisz pan, obawiam się, że jak

mu reklamanci zbakierują humor, to będzie potem kwaśny, niczem zwietrzała musztarda, a wtedy nie podchodź doń bez kija!

— Jacy, proszę pana reklamanci? — zapytałem, nie wiedząc o jaki właściwie rodzaj interesantów mu idzie.

— No, przedewszystkiem — pan?

— Ja... o nic nie reklamuję!

— Ah, tak? W takim razie przepraszam pana za moją niedyskrecję. Sądziłem...

— Ja — proszę pana, — przerwałem mu, — dawno już temu... chyba będzie ze dwa miesiące, a może i więcej, jak podałem prośbę...

— Prośbę?

— Tak, prośbę o posadę i teraz właśnie przyszedłem po odpowiedź.

— To pan niby, że się tak wyrażę, kandydat do katorgi?!

Zaśmiał się, ukazując duże, żółte, poszczerbione zęby.

Nie winszuję i nie zazdroszczę, zakonkludował, poważniejąc nagle.

— Cóż robić, proszę pana, szepnąłem z mimowolnem westchnieniem. Dałby Bóg żebym się tylko mógł dostać do tej, jak pan mówi — katorgi. Już doprawdy nie wiem jakbym był szczęśliwy!

— Jakto — dostać? — zapytał z kolei, robiąc przytem duże oczy.

— Skoroś pan tu przyszedł, toż przecież chyba już nie z pustymi rękami!

— Nie wiem, — bąknąłem, jak to właściwie mam rozumieć?..

— No, musisz pan przecież mieć przy sobie list od jakiejś najjaśniej postawionej jasności: dajmy na to, od króla wszechportugalji, albo bilet wizytowy papieża, a już co najmniej, woniejące różane piśmko popularnej divy z Nowości?

Teraz ja znów wybałuszyłem zdumione oczy, co widząc stary zrzęda, roześmiał mi się znowu w sam nos, a pohamowawszy wreszcie chwilowy wybuch zgryźliwego humoru, począł mi cicho, lecz dobitnie tłumaczyć.

— Widzisz pan, wyjaśniał sprawę z sarkastycznym na ustach uśmiechem; — jak kolej koleją — nikt się tak prosto z ulicy nie dostał jeszcze do żadnego biura.

W służbie konduktorskiej — wydziale ruchu, ekspedycji — łapówka; — u nas, no u nas — dajmy na to — plus — Europa!

— To cóż to znaczy?..

— A no to, że nasza kochana władza przyjmie dajmy na to — obiecujący liścik byczo zbudowanej artysi, — nie odrzuci świątobliwego biletu arcypasterza, — wywdzięczającego się pisma dygnitarza państwowego, bo to, widzisz pan, w takich wypadkach rączka... tego... rączkę... rozumiesz pan?.. Ależ znów nigdy nie można przychodzić z gołą, za pozwolenia.

niem — ręką?!.. A wreszcie patrz pan, co tam napisano:

Pomknąwszy wzrokiem we wskazanym kierunku, ujrzałem białą tabliczkę, przylepioną na ścianie, tuż przy samych drzwiach, wiodących z korytarza, opiewającą, iż:

„Wszystkie miejsca zajęte. Nie przyjmuje się żadnych próśb o posady“.

— A przytem — ciągnął dalej zgryźliwy nieco pesymista — choćby dajmy na to i stał się cud nad cudami, czyli mówiąc innemi słowy — dostajesz się, młody paniczku — i to nawet bez protekcji do naszej katorgi. I cóż cię czeka! Rozgoryczenie do świata i ludzi. Jako nieprotegowany, a więc pozbawiony jakichkolwiek bądź wpływów, przedewszystkiem będziesz obciążony pracą, przerastającą wprost twoje siły, boć przecież za synekurzystów biurowych musisz odwalać robotę. Następnie, za każdym razem, gdy tobie młodzieńcze pracowitość a cichy, będzie się należała podwyżka pensji, — zagrabi ci ją bezceremonialnie jeden z „tancerzy Lukrecjusza“, tak bowiem u nas nazywają się indywidua, należące do silnie zwartej, a kajdaniarsko zorganizowanej kliki karjerowiczów biurowych, froterujących zawsze, ot tak jak pan obecnie widzisz, błyszczącą posadzkę poczekalni pana naczelnika.

Biada ci przytem, jeśli broń Chryste Pańskie zdolnościami przerastać ich będziesz

o całą głowę! wówczas bowiem sroga obawa iż z pominięciem którego z nich może ci się udać przypadkiem zająć wyższe w hierarchii biurowej, a tem samem i lepiej płatne stanowisko, zwróci przeciwko tobie żądla zatrutych pocisków. I wyćwiczona w szkole konspiracyjnych nikczemnostek zamaskowana gierlasówka biurowych intrygantów, misternie będzie bagatelizowała w oczach władzy uzdolnienie i mrówczą pracę twoją, — skutecznie omaluje cię brunatną sepią niby to mimochodnych oskarżeń, — gadzinowo omota cię niewidzialną nicią intrygi, że w rezultacie, jako jednostka prawa, a tem samem pogardzająca tą samą bronią skrytej podłości, będziesz się musiał dobrowolnie usunąć od wszelkiej inicjatywy i pozostaniesz chcąc nie chcąc pionkiem, na którego nie zwraca się najmniejszej uwagi i którego się nawet nie pozdrowia słowami obowiązującego powitania, przechodząc przez pokój, w którym taki, stale ignorowany parjas siedzi pochylony częstokroć nad formowaniem (za protegowanych próżniaków) zaległych rachunków.

Poza tem nikt i nigdy, prócz naturalnie towarzyszków niedoli, nie uzna słuszności spraw twoich. Widząc wreszcie że nie pracą, lecz ostatecznie zakulisową jedynie intrygą zdobywa się dobrobyt i uznanie u oszukiwanej władzy, — zwieszysz nos na kwintę, opuścisz

haniebnie uszy, albo w najlepszym razie staniesz się tak zgorzkniałym mizantropem, że sobie i innym obrzydzisz życie.

Tak, tak—zakończył już jakby do siebie—lasciate ogni speranza voi ch'entrate.

Przepraszam cię, młody paniczku, za ten mój wylew nieszczonego humoru, lecz kto w życiu potrafi być przygotowanym na wszystko co najgorsze, — wtedy, wierząc mi pan, nawet znośne smakować mu będzie jakby coś najlepszego. — —

Wpadłem w srogą zadumę.

Smutek ogarnął mię przeogromny, a zarazem i żal bezbrzeżny do wyznawców zabójczego systemu, gdyż — rzeczywiście — chociażbyś był zdolną i chętną do najcięższej nawet pracy jednostką, musisz, niestety, odejść od drzwi każdej z naszych instytucji, albo — wiem nie uczciwością — zasługą — pracą, — jeno przemożną protekcją zdobywa się pono kawał tłustego ścierwa; gdy dla wydziedziczonych zostają nędzne ochłapy. Demoralizuje to zapewne całe rzesze szaraków krwawego trudu, — natomiast nadmiernie otluszcza protegowanych wybrańców jasnej pani, więc też nic dziwnego, że w samym sercu warsztatów pracy panuje wieczysty rozdzźwięk pomiędzy wrogimi sobie obozami protegowanych i pozbawionych protekcji. — —

Zadumę moją przerwał woźny, oznajmie-

niem, iż teraz właśnie można wejść do naczelnika.

Spojrzałem na biurowego hipochondryka, lecz tenże, wskazując wzrokiem przymknięte za ledwie drzwi, parokrotnie powtórzył:

— Proszę... proszę..., ja zaraz po panu.

Serce załopotało mi w piersi jak ptak ze snu spłoszony, jednak, pohamowawszy nieco wzruszenie, cichutko i nieśmiało wszedłem do wspaniale urządzonego gabinetu.

Przy jasnym dębowym biurze, literalnie zawałonym stosami bibuły, zwrócony twarzą ku wejściu, siedział poważnych lat mężczyzna. Nad zlekka sfałdowanym czołem rysowało się równe półkole srebrzystych, misternie na skrońce zaczesanych włosów. Niemniej starannie rozczesane siwe wąsy i böcklinowska broda, białością swoją charakterystycznie odrzynała się od czarnego tła surduta, nadając niemało surowej powagi jej posiadaczowi.

Pan naczelnik, obrzuciwszy mnie mroźnym wejrzeniem, zdawał się wzrokiem zniecierpliwienia pytać o powód wizyty.

Wyłuszczywszy cel mojego przybycia, zauważyłem w przyblakłych oczach dygnitarza już nie podziw dla nagannej przedsiębiorczości niefortunnego petenta, lecz wprost ogarniające go zdumienie.

— Ależ mój panie, — wycedził przez zęby tonem twardym, — przyznam się otwarcie, że dziwi mnie pańska propozycja!

— Przepraszam stokrotnie pana dyrektora,—zacząłem,—ale...

Tenże jednak przerwał mi bezceremonialnie zapewnieniem, że nikt absolutnie nie może być przyjęty na kolej bez bardzo poważnych referencji, a tych ja — nie tylko iż nie posiadam, lecz—przeciwnie—nie mam się nawet na kogo powołać. A przytem — dodał z niemaskowanym poirytowaniem w głosie,—gdybyś pan był uważniejszy nieco i przeczytał kartę, wywieszoną na drzwiach instytucji,—zapewne oszczędziłbyś sobie i komus marnowania drogiego czasu,—zakończył tonem stanowczo wykluczającym wszelką możliwość dalszej rozmowy.

Lecz w tymże samym momencie stało się ze mną coś nawet dla mnie niepojętego. W uszach ozwał się ostry jakiś i przykry szum, mózg spłonął błyskiem krwi gorejącej, młodzieńczą pierś rozparł nagle przeogromny żal i obrzydzenie do tej całej czeredy fałszywych epikurejów, zażywających aż do przeżarcia się wszelakich uciech doczesnych,—brutalnie wyrzucających za drzwi biedaków, którym głód bezlitośny wyssał już połowę sił, niezbędnych w dzikiej walce o kęs czarnego chleba; więc też, zamiast zawrócić ku wyjściu, wrażliem w sytego moralizatora wzrok piorunujący i głosem podniesionym, w którym dy-

gotał ból niepohamowany, prawie że krzyczęć począłem:

— Panie... posłuchaj pan, co ci powiem... panie... — wołałem coraz bardziej własnymi słowy podniecony. — Ja-m nie żebrak, ażebyś mi tu urągał!.. Przyszedłem prosić o pracę!.. Wolno jej nie dać... wolno odmówić wszystkiego! wszystkiego! rozumiesz pan, ale nie masz prawa naigrawania się z ludzkiego bólu i nędzy!... To niegodne człowieka honoru!.. niegodne, panie!.. rozumiesz pan?!... a widząc że srogi dygnitarz drżącą od gniewu ręką sięga po dzwonek, stojący na biurku, — cisnąłem mu jeszcze ostatni epitet:—To... nędzne! I minąwszy w progu gabinetu przerażoną gębę wygalonowanego oficjalisty, a w poczekalni zagadkowo jakoś uśmiechniętą postać poznanego przed kilkun minutami starego śledziennika, zbiegłem jak wichra po schodach.

Znalazłszy się wreszcie w czterech ścianach biednego pokoiku mojego, nie bacząc na odświeżone a uroczyście odprasowane szaty, zdobiące chudziźnę moją, rzuciłem się jak długi na twarde posłanie ze słomy i wtuliwszy stroskaną głowę w rozpalone gorączkowo dłonie, ryknąłem płaczem, zdającym się literalnie wrywać wnętrzości ze mnie.—

Mimo jednak stanowczych niepowodzeń, przez czas jeszcze pewien, z mdlejącą już wprawdzie energią, rozwijałem wciąż starania

w niewdzięcznym kierunku poszukiwania byle jakiego zajęcia, zwłaszcza, że fundusze moje nie mogły być przecież wieczystymi. A jednak wszelakie wysiłki kierowane w tę stronę, rozbijały się kaducznie o stereotypowe, sentencyjonalne, a bezduszne określenie okrutnej biurokracji, opiewające wszem wobec i każdemu z osobna, iż: „nie ma miejsc wolnych.“

W rezultacie, doprowadzony do ostatecznych granic zniechęcenia, straciwszy ostatnie promyki nadziei, beładnie już opuściłem ręce.

Niechaj się stanie, co się ma stać! ja na to już nic nie poradzę! — —

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Dostępny bodaj nawet i dla milusińskich obojga płci, o ile potrafią się wylegitymować ze skończenia okresu powijakowej nieświadomości pokus tego świata; albowiem w barokowe ramy naracji, gwałtem wtłoczono dość ryzykowny fragment z życia tabetycznych baronów, oraz rwącej się do użycia młodzi, — zakończony nadprogramowo załamaniem się niewinności piętnastoletniej dziewczyny.

O warszawskim przeciętnym czwartaku kawalerskim figlarny rymopis nuci:

Hej! z czwartaka od rana
Zwawa pionka w świat płynie!...
„Szwajcarowa“ zaspana—
Ogień nieci w kominie.

„Szwajcar“ (prosto z Karczewa!), czyszcząc stare lakiery, nawpół sennie też ziewa, jakby nie spał lat cztery! — A tu dzwonki dokoła dźwięczą nutą fałszywą. „Piąty“ (numer) wciąż woła o herbatę — co żywo! — Zośka (córka „szwajcara“), już przyniosłszy bułeczki, wszystkim służyć się stara jednakowo — bez sprzeczki... —

„Trzeci“ nuci wesoło, powtarzając: „oj, dana!“ i kujawiak wokoło echem płynie od rana!

„Dziwiętnasty“ — niestety! — będąc w lekkim nastroju, secesyjne kuplety wrzeszczy w swoim pokoju.

Przed „dwunastym“ znów wzdycha „kombinator“ brodaty, bowiem facet — do licha — jeszcze nie dał mu raty!

— „Ha, — powiada — w tym względzie, jeśli nic się nie zmieni, no — to z panem źle będzie! ja mam wyrok w kieszeni!“

Facet więc się zaklina, że dług spłacić... zamierza... Wtem dziewiąta godzina na zegarze uderza!

Sfruwa wszystko — do kata!
Jak rój pszczołek skrzydlaty,
Jeno Zośka zamiata
Kawalerskie komnaty.

Czwartak, na którym obecnie spędzałem dni gorzkich rozczarowań (na szczęście — tłu-

mionych jaśniejszemi chwilami zapomnienia o przykrościach gnębiącego żywota) nie wiele co prawda różnił się od innych tego rodzaju przybytków kawalerskiej bryndzy; jednak trzeba przyznać, iż kamieniczna lista jego pensjonarzy obejmowała w owym czasie kilka bynajmniej nie przeciętnych jednostek, co w każdym razie gotowa była poświadczyć przemila nasza szwajcarowa, pani Michalina Kunegunda, dwóch imion, z Kurczaków — Rypalska.

W sąsiedztwie zajmowanej przeze mnie i Julka Piotrowskiego stancyjki mieszkało dwóch wesołych pasażerów, z których — gdy jeden (bez posady) uporczywie konał z głodu; — drugi („bez miejsca“) stale mu w tem pomagał. Widocznie jednak iż „zajęcia“ umierających kandydatów nie przeszkadzały im wcale w zbyt nawet nie raz głośnem ironizowaniu prześladowającego ich losu, gdyż w takich to właśnie chwilach tryskała kaskada pikantnej piosenki kabaretowej. I gdy jeden wcale sympatycznym barytonem obwieszczał:

Wesoło było Jadwidze,—
Poszła do lasu na rydze!...

Drugi, tremolującym tenorem, kończył:

Oj ry, oj ry, oj rydzu mój
Jak słodki bywa owoc twój!... —

Poza wokalną dwójką niezdecydowanych nieboszczyków czwartakowych, najbliższymi sąsiadami naszymi byli dwaj zawodowi muzycy: Niedoceniony klarnecista, omal że nie zacny pan Polikarp Piernikiewicz, oraz zapoznany mistrz restauracyjnego pianina, odpowiednio znów niedoszanowany Imć Tomasz Wzdulski, mąż pełen nie symbolicznej wiary w życiodajną jakoby moc oryginalnego pilznera. Nie wiadomo jednak na czem opierał tę swoją wiarę, gdyż zdrowie jego nazbyt wiele pozostawiało do życzenia.

Co innego pan Polikarp: ten na pierwszy rzut oka robił wrażenie zdeklarowanego suchotnika, a jednak — zadając kłam pesymistycznym przypuszczeniom bezmyślnego tłumu, od lat przeszło trzydziestu z młodzieńczą zaiste siłą dmuchał w ciasną dziurkę czarnego instrumentu, budząc ogólny podziw dla tej swojej energii i niekłamanego zapału.

Tymczasem biedny pan Tomasz, (którego porowate, wieczyście spocone cielsko, ważyło sto trzydzieści kilo z ogonom), po każdonocnem osuszeniu zbyt wielkiej ilości pilznera, walił się na urzędowo kute łoże starokawalerskiej boleści, jęcząc i sapiąc, jak stary hipopotam.

Pozostałe liczne towarzystwo awiatyków ósmej kondygnacji składało się z młodych handlowców, uczęszczających na kursa far-

maków, a przede wszystkim studentów, odznaczających się wielkim zasobem humoru, przy chronicznym braku monety.

Nie wszystkich wszakże zaliczyłyby należało do zbyt licznego, niestety, stowarzyszenia łaknących, niektórzy bowiem z mieszkańców gołego podniebia otrzymywali wynagrodzenie wystarczające na łagodne odpieranie ataków codziennego niedostatku; czyli mówiąc innemi słowy — posiadając za mało aby żyć — za wiele aby nie skonać z głodu, — wegetowali, jako przymuszeni ochotnicy młodocianego poboru życia. Całej jednak rzeszy młodych lokatorów wysokiego piętra niezartem imponował nabab czwartakowy, niejaki baron F., osobistość znana na bruku warszawskim.

Była to zasuszona mumia, stary, bogaty kawaler, któremu ptasie oblicze, zeszepeczone egzemą, nie przeszkadzało bynajmniej w wieczystem uganianiu się za płcią nadobną.

Nie tylko jednak na samym naszym czwartaku znany był pan baron z tego, że wyróżniał przeważnie dziewczątka do lat piętnastu. Wiedzieli bowiem o tem dość liczni jego znajomi;—lecz ponieważ pugilares mitrowego satyra wypełniony był obrzędno, więc też brutalną czeredę opiekunów nieletniego światka, umiał on zazwyczaj tak jakoś ułagodzić, że wszczęty skandalicznie alarm, już w samym zarodku umiejętnie tłumiony był zrzę-

cznem wsunięciem pewnej ilości monet w zaściśnięte groźnie dłonie. —

Baron, zajmując w narożniku domu dwa obszerne, dość pretensjonalnie umeblowane pokoje, zdawał się czuć tutaj bardziej niż gdzie indziej swobodnym; nie krępował się też zbyt w urządzaniu rajszych igraszek i krzykliwych częstokroć pikników, które na niższych piętrach, ze względu na bardziej statyczne otoczenie, niepotrzebnie mogłyby mącić spokój czasem nawet zupełnie czcigodnym matronom, wrażliwym na podobne herezje ze względu bodajby już tylko na dorastające, a szatańsko ciekawe podloty.

Pewnego wieczoru, leżąc na swoim kawalerskim śmietniku, puściłem wodze uskrzydłonym tęsknotom moim. I leciały te biedne, pogiębione zazwyczaj, a teraz rozparte na przejrzystych lotach fantazji rozwiane myśli moje, w jakoweś zaczarowane krainy, kędy nie było ni nędzy, ni cierpień, ani też krwawych łez ludzkich, jeno szczęście panowało wielkie, niepodzielne, promieniste, a w onej szczęśliwości pławiły się, jak w słonecznej kąpieli zaziemskie dumy moje.

Roztaczały się dokoła mnie olbrzymie kręgi światła błękitnego i oczyma zatopionej w nadziemskiej ekstazie duszy samotnika, widziałem szeroki gościniec, obramowany z dwóch stron sinawym szeregiem smagłej drzewiny,

o zwieszających się ku ziemi dziwnie wydłużonych liściach, które za każdym oddechem ciepłego wiatru zdawały się prowadzić pomiędzy sobą tajemnicze rozhowy. I rozumiał je najmizerniejszy twór, żyjący na łonie niezbadanej natury; jedynie tylko ja, nieszczęsny, niezdolny byłem pojąć ich szemrzącej mowy.

Należąc do istot splugawionych odwiecznym grzechem nędznego bytu, nie godzien snąć byłem przeniknięcia balsamicznej spowiedzi świętych drzew zakłętogo sezamu.

Widząc mknącą w marzycielską nieskończoność złocistą drogę niezbadanej tajemnicy błękitnej krainy, postanowiłem iść dalej, kędy mnie niosły wabione przepychem niezwykłego krajobrazu oczy.

I szedłem tak długo, bardzo długo, podziwiając zmieniający się dokoła kolejdoskop przepysznych kobierców łąk, usianych mnogością bajecznie kolorowych kwiatów.

Zdumienie budziły we mnie krystaliczne przezrocze rzek, przerzucających srebrzyste wstęgi swoje przez wonne pola i cieniste gąszcze lasów.

Zatrzymawszy się pod tajemniczem urwiskiem głębin, wzrok rozmarzony ułożyłem na samem dnie cudownej rzeki i widziałem połyskujące tęczowym odbłaskiem perły królewskie, po których cichutko przepluskiwało źródlane wnętrze orzeźwiającej wody, a podpły-

wające tuż do stóp moich maleńkie ogniste rybki, patrzyły na mnie mądrymi oczyma i otwierając łakome pyszczki, zdawały się z przedziwną śmiałością domagać się należytej im daniny.

Nie posiadając przy sobie żadnego zgoła pożywienia, rwałem nadbrzeżne kwiaty i rzucałem bezcelowo ich aksamitne listki na gładką powierzchnię brylantowej tafli, a złociste mrowisko skłębionych rybiąt, gwoli mojemu zdumieniu, wchłaniało w siebie pachnący pokarm słonecznej łąki.

A potem znów szedłem powoli przed siebie, nie czując żadnego zgoła znużenia, ni też głodu, bom się napawał widokiem cudów, o jakich zapewne nigdy nie marzyła najśmielsza bodaj wyobraźnia poety.

Lecz oto rozkołysane widzenia moje przerwał nagle zgiełk dziwny, — jakaś niezwykła bieranina i przytłumione głosy, dolatujące mnie z zewnątrz. Zaciekawiony skoczyłem ku drzwiom i w tymże momencie oczom moim przedstawiał się niebyle jaki widok: oto baron, nawpół zaledwie ubrany, w dyskretnych filcowych pantoflach biegał za jakimś młodzieńcem dziewczątkiem, nawołując je przyciszonym, a błagalnym głosem do powrotu; nic to wszakże nie pomagało, — dziewczynka, przekonawszy się, iż drzwi oszklone, wiodące na schody frontowe są na klucz zamknięte,

sarnim rzutem skierowawszy się w stronę mojego pokoju, wpadła nagle na mnie, wołając:

— Drzwi, drzwi!.. na klucz!.. oh, tak!..

Baron, cisnąwszy teraz pod wspólnym naszym adresem parę zbelkotanych zmęczeniem wyrzutów, powlókł się ociężale do opuszczonego przez rozkoszne pisklę gniazdka; gdy ją, zwróciwszy się do nieznanego mi, a jakby z obłoków spadłego dziewczęcia, tonem pełnym szarmanckiej galanterji wyjawilem nawpół chętną gotowość rozpalenia symbolicznego ogniska, czyli — wyraźniej mówiąc, potłuczonej lampy kawalerskiej.

— Kiedy ja już muszę iść, — wymówiła szybko głosem, w którym drgał jeszcze odcień przemijającego wprawdzie przestachu.

— Ależ, nie myślę — bynajmniej — zatrzymywać pani! — zapewniłem, nieco urażony szarą niewdzięcznością podlota; tylko pozwolę sobie zwrócić pani uwagę, iż wejście frontowe zamknięte, a droga prowadzi akurat około mieszkania barona, a wątpię, czy w tej chwili udałoby się przejść bezkarnie tuż pod jego drzwiami.

Parsknęła jakby cokolwiek wymuszonym śmiechem.

— A pan-by na to pozwolił?

— Ja? a toż z jakiego powodu mam się mieszać do pani interesów?!

— Ładny obrońca! — wyironizowała pod moim adresem.

Nic nie odpowiedziałem, co snadź jeszcze bardziej podrażniło młodą dziewczkę, gdyż tonem gorączkowym zaproponowała mi, abym zapalił lampę.

Gdy zapłonęło czerwone, migotliwe światło, — łakomym ciekawością wzrokiem chciwie objawszy mojego gościa, ku niemałemu zdumieniu przekonałem się, iż była to w całym znaczeniu tego wyrazu piękna blondynka, mogąca mieć niespełna lat szesnaście.

Szczupłutka była i zgrabna, jak młode sarnię, chociaż, bynajmniej, nie nikła, bo nawet dziewicza pierś dziewczęcia uwydatniała się już kusząco pod lekką osłoną podniszczonej bluzki.

Zato pod rozwianą nad białem czołem wichurką złocistych włosów, czarne jak dwa wielkie paciory precudowne oczy, świeciły blaskiem budzącego się już pragnienia...

Z poza wilgotnych warg karminowych, podobnych do dwóch płatków rosą poranną sperlonej róży, co chwila połyskiwały dwa rzędy równych, białych, jakby wyrzeźbionych z kości słoniowej zębów.

Ubrana jednak była prawie ubogo; pomimo to wszystko skromna odzież dziewczyny niezdolna była osłabić we mnie potęgującego się co chwila zachwyty; ale i ja zdaje się

dodatnie musiałem wyrzucić na niej wrażenie, gdyż — obrzuciwszy mnie zdziwionem nieco wejrzeniem, uśmiechnęła się życzliwie.

Zauważywszy następnie, iż nadobne zjawisko z tymże samym przyjaznym półuśmiechem rozgląda się dokoła, — cokolwiek zażenowany doprowadzonym do absurdu brakiem elementarnym przedmiotów codziennego użytku, zauważyłem:

— U barona cokolwiek ładniej, prawda?

— Proszę nic nie mówić nawet o tym starym łotrzel — zawołała z nietajonem oburzeniem w głosie.

— Musiał pani jednak bardzo dokuczyć? ale możemy nie mówić o tem.

— Tak... tak.. nie potrzeba, — zaczęła, lecz po chwili, jakby świadomie gubiąc wątek rozmowy o baronie, nagle zwróciła się wprost do mnie z pytaniem:

— Jak panu na imię?

— Leon.

— Leon..., owszem to zupełnie przyzwoite imię! — a wyciągnąwszy rękę, dorzuciła:

— A ja—Hela.

— Stokroć piękniejsze! — zaśmiałem się wesoło.

— Najpierw dziękuję, że mnie pan tak świetnie obronił... — mówiła z rosnącym widocznie z każdą chwilą zaufaniem...—Ale... fe!.. jakże ta lampa śmierdzi!... O, jak to sadze

fruwają!... Niechże pan coś poradzi na ten kopeć!

Porwałem się uradowany, a przytłumiwszy nieco płomyk, zaproponowałem:

— Zbiegnę na dół po kinkiet; ale żeby panna Helcia nie pogardziła, tobym zarządził coś... tego... skromną przegryzkę!.. Co?... dobrze?...

Przez parę sekund zdawała się jeszcze coś ważyć w myśli, lecz natychmiast zdecydowała:

— A, no... było—nie było... ee, co tam—zostaje!..

I przy tych słowach zdjęła z siebie żakiet, a ja z przyspieszonym biciem młodzieńczego serca zbiegłem ze schodów. Zapomniawszy o całym bożym świecie i o wszelakich ciągach zawziętego losu, nie licząc się w danej chwili z funduszami, owiany jedynie tylko myślą spędzenia kilku niebiańskich chwil w towarzystwie rozkosznej dziewczyny, zakupiłem całe fury bułek, stosy wędlin, pudła sardynek, a obładowawszy kieszenie pękataą flaszkaą wyborowej wódki i dwoma flakonami piwa, rozpromieniony powróciłem na górę.

Hela, zajęta rozpalaniem maszynki naftowej, przyjęła mnie oznakami wcale nietajonego ukontentowania.

Z rozrzutnością klasztorного kanaparza,—gracją landlorda, — wprawą królewskiego

ochmistra, zakrzętnawszy się około gościnnego stolca, wdzięcznie rozrzuciłem dary boże, dostarczone mi przez usługowego kupca, poczem dopiero rozpoczęło się właściwe spustoszenie, dokonywane wśród apetycznych zakąsek, zakrapianych niezbyt łagodną wódeczką, po wypiciu której Hela stała się zupełnie inną i niepodobną do poprzedniej istoty.

Twarzyczka jej zarumieniła się jak świeży pączek róży; szelmoskie, przepaściste oczy błyszczały jak dwa czarne djamenty.

Ale przyznać się również muszę, że i mnie te kilka kieliszków zbyt tęgiego na moją słabą głowę trunku wzięło niezartem.

Czując się całkowicie pod błędnym znakiem alkoholu, wpadłem naraz w istną orgię wesela i dowcipu, a rezultat był tak błogi, iż nadobna Helunia formalnie pokładała się z niepohamowanego chichotu.

Wybuchaliśmy też co moment wprost szmatycznym śmiechem, aż rozjaśnione pogodą oczy nieklamanych łez były pełne. — —

Hela, napełniwszy swoją szlankę przezroczym płynem, stanęła przede mną w pełnej krasie dziewiczego uroku, a ja — bez namysłu już — podsunąwszy zlekka pod jej gorące podramię swoją rękę, utopiłem przepojony ukochaniem wzrok w jej bezdennych, kruczo-czarnych oczach.

— No i co?...—zapytała, z wzniesioną co-

kolwiek głową, polyskując w uśmiechu perłowym sznurem olśniewająco białych zębów.

W tym momencie była tak zawrotnie kusząca i ponętna, że byłbym się poprostu dał rąbać na ćwierci za jeden, jedyny bodaj przelotny pocałunek, zwłaszcza, że rozkosznie rozchylone karminowe usta dziewczęcia przyprawiały mię o utratę ostatnich resztek panowaniu nad sobą.

— Wipijmy bruderschaft!—zaproponowałem głosem, w którym drgało utajone pragnienie czegoś, czego mi jeszcze świat nie dał, a co mi się z prawa bezlitośnie tłumionej siły męskiej i niezaspokojonych snów młodości słusznie należało...

— A cóż to za zwierz, taki ten pan bruderschaft?—pytała, rozbawiona już samą propozycją moją.

— To jest pan, który nie pozwala mówić do siebie inaczej, jak tylko po imieniu.

— Aaahaa! to on taki spryciarz?!

— A taki!

— Czyli, iż my tutaj obecni i nawpół przytomni, mamy być ze sobą tak niby per ty?

— Oczywiście.

— No... to... zgoda!! — zawołała wśród głośnego śmiechu, coraz bardziej rozpromieniona Hela.

— Ale to trzeba razem i jednym haustem, aż do dna.

— Do dna!

— A więc, uwaga: zaczynamy!

— Zaczynamy! —

Przez kilka sekund trwał usilny trud przełknięcia zbyt wielkiej, (jak na nasze niewprawne gardła), zawartości trunku, — lecz gdy szklanki zostały wreszcie osuszone — stało się naraz coś wprost dla mnie niepojętego.....

Jakby na umówiony znak rozwarły się nam palce i prysnęły na ziemi różbite kawałki szkła, a nazbyt już zda się długo tłumione pragnienia, złączyły mnie z dygoczącą wzruszeniem dziewczyną jednym długim uściskiem.

I oto żarliwe usta wpiły się w wilgotne wargi dziewczęcia i zwarła się pierś wzburzona z elastyczną piersią dziewczą... Od zawrotnego uścisku młodości leciało jakoweś rozpalone do szaleństwa mrowie i pełno było owego mrowiska w rozżarzonych żyłach dwóch ciał, złączonych jednym przeciągłym, furjackim pocałunkiem...

Przekrwiona namiętnością nieokiełznana moc pchnęła nas w rozpętany galop serc, wezbranych pożądaniem cudu wiośnianych narodzin niebiańskiej słodyczy...

I zatopiony tak ustami w szkarłatach przytłóconego do mojego łona dziewczęcia, pod czarownym wpływem nieprzepartej potęgi uskrzydłonej do lotu ekstazy, warjowa-

łem wraz z oszalałą dziewczyną w konwulsjach rozhukanej żądz...

I nie wiem — nie chciała, czy też nie była już zdolną do najslabszego bodaj oporu, bo czułem iż omdlewała coraz bardziej i bardziej w moich ramionach, aż wkońcu, jakby podcięta nagle roślina, z zamkniętymi oczyma, z rozchylonemi do zmysłowych pocałunków ustami zwolna osunęła się na pościel, aby w omdleniu onem dać mi pierwszą chwilę rozkosznego szału.....

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Opiewającym niekłamaną historję zaangażowania mnie do trupy dramatycznej, gdzie nestor prowincjonalnych aktorów — złotousty Karaś — odsłoniwszy przede mną rąbek pewnej tajemnicy, serce moje zatruwa jadem zwątpienia. Polowanie na gapy, zakończone niefortunem spotkaniem, rezultatem którego było złamanie dwóch i wybicie kilku zbytecznych co prawda w mojej głodówce zębów.

Wszystko na świecie przemija: Osiemdziesiąt rubli otrzymanych od Wiercieńskiego dawno już, niestety, powędrowało do ludzi, ja zaś po raz już nie wiem który pozostałem znowu bez żadnych absolutnie środków do życia.

Do życia! — ileż mimowolnej a gryzącej

ironii zamyka w sobie to określenie ciernistej wędrówki doczesnej, czyż bowiem życiem nazwać się godzi to potworne zmaganie się z nędzą, zwalczającą swojego przeciwnika wszystkimi dozwolonymi sposobami.

Oh, jakżebym radbył z całą kurtuazją ustąpić tej pani z drogi, aby już raz nareszcie raczyła wspaniałomyślnie wypuścić mnie z mroźnych uścisków swoich!

Pragnienia te wszakże okazywały się wprost niedoścignionemi. Złośliwa jędrza podcinała co chwila omdlałe nogi delikwenta, — przygniatała suchemi kolanami dyszącą pierś nędzarza, — wciskała powoli — jakby lubując się przerażeniem jego — kościste palce w nawpół zdławioną grdykę zgłodniałego włóczęgi; — słowem, pastwiła się nade mną bez najlżejszego cienia litości.

Pomimo wszakże węzowej wściekłości podstępnej Gorgony, zdołałem wreszcie — już jeśli nie pożegnać ją na zawsze, to przynajmniej uspić jej czujność, a korzystając z chwilowego omdlenia wiedźmy, wymknąłem się szczęśliwie w zaczarowany świat szminki, oraz przybrukanego szychu trzeciorzędnej sceny.

Innemi słowy mówiąc: dzięki moźnej protekcji pewnego reportera, piszącego wzmianki teatralne, zostałem przyjęty do teatru, i tej to właśnie szczęśliwej okoliczności, zawdzięczałem w danym momencie wyslizgnięcie się

z tajemniczych uścisków głodowej śmierci. Jakkolwiek umowa moja została zawarta jedynie ustnie w pewnej cukierni, (znajdującej się w okolicach Nowego Świata), to jednak musiała posiadać moc zadziwiającą, skoro pan dyrektor, bez żadnych zgoda pokwitowań, wspaniałomyślnie wręczył mi dwa ruble tak zwanego forszusu; od tej więc chwili zostałem stałym członkiem koczującej trupy dramatycznej znanego w szerokich kołach prowincjonalnych pana Kazimierza Rajewicza, dla którego kipiałem obecnie silnie wezbraną dozą nieklamanej wdzięczności i to tak dalece, iż byłbym się nazwał najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem, gdyby mi wolno było z całą poufałością porwać go w spragnione objęcia i uściskać bodaj do zdechu! — —

Po niejakiem czasie towarzystwo nasze, skompletowane już całkowicie, wyruszyło wreszcie do Płocka. —

Było nas dziewięciu przeważnie wykołajonych panów i akurat pół tuzina przybłąkanych nieco piękności, z których niejedna zapewne mogłaby wydać kilkusetstronicową księgę własnych parypetyi życiowych, gdyby nie ta nieszczęsna okoliczność, że pono nie wszystkie posiadały tajemnicę władania piórem, księgi te zatem przenigdy nie mogły wyłonić się na światło dzienne.

Nikt na tem co prawda nie tracił, bowiem

panie artystki prowincjonalne, otoczone pewnego rodzaju osłoną tajemnicy, tem ponętniejszemi zdawały się być w łąpczywych oczach małomiasteczkowej szarmanteryi; gdy bowiem w Warszawie dość trudno było o „bębenka“, stawiającego lichą szklankę białej z babką śmietankową; — tam w zacisznym Płońsku — Ciechanowie, lub Pułtusk, młody pomocnik referenta powiatowego, za ostatni bodaj grosz, wydebiony od miejscowego dobroczyńcy ludzkości, potrafił rujnować się na świeże pęki róż woniejących, — oryginalne śledzie pocztowe, lub tym podobne frykasy, którymi szafująca dłoń wrzącego protektora sztuki darzyła przybyłe ze stolicy prymadonny wędrującej muzy. — —

Płock ze swojemi urwiskami, malowniczo ugrupowanemi tuż ponad błyszczącą wstęgą czarodziejskiej Wisły, strzelający ku chmurom wspaniałemi wieżycami odwiecznego Tumu, wywarł na mnie jaknajkorzystniejsze wrażenie; cóż jednak z tego, gdy powodzenie naszego teatru nie było zbyt świetne! Zato cyrk niemiecki, bawiący podówczas w grodzie biskupim, bywał codziennie poprostu nabity publicznością! I gdyby jeszcze w dodatku lichy nie przyniosło jakiegoś owrzeszczanego kabaretu „literackiego“ z pod najciemniejszej gwiazdy — bylibyśmy chociaż przekwékali bodaj z parę pół-głodnych tygodni, — lecz

wobec druzgoczącej przewagi pieprznego kupletu nad nudną sztuką dramatyczną — stanowczo nie mogliśmy się ostać, — to też chcąc nie chcąc, jak nie pyszni, wycofaliśmy się z chybionej imprezy.

Cóż było robić! Zebrawszy skromne lary i penaty, postanowiliśmy jechać do Płońska.

Pan Sylwin Traczyk, lekki amant naszej sceny, pełniący również ciężką funkcję sekretarza pozbawionego powodzenia teatru, zamówiwszy jeszcze dnia poprzedniego trzy wozy drabiniaste, wzorowo wywiązał się z zadania. — —

Skromne tobołki mężczyzn niewiele co prawda zajęły miejsca; za to imponujący bagaż płci nadobnej utworzył potężne piramidy, pomiędzy którymi jak mogła usadowiła się wędrująca dziatwa Melpomeny.

Mnie osobiście przypadł w udziale zaszczyt towarzyszenia jednemu z najstarszych pono aktorów prowincjonalnych; siedziałem bowiem ni mniej ni więcej, jeno przy boku „samego pana“ Surewicza, jak zwykł mówić o sobie jeden ze zdolniejszych w swoim czasie odtwórców, przytem osobnik obdarzony bajeczną pamięcią, jako też pierwszorzędną erudycją w kierunku naracyjny o bezpowrotnie minionych dziejach polskiego teatru, jako też i o tem co się działo obecnie.

Jak wieść fachowa niosła—imć Surewicz, popularniej Karasiem zwany, grywał pono przed laty na pierwszorzędnej scenie rzeczy wcale nawet niezgorsze, ale że miał kark piekielnie twardy i zabiegać o role za pomocą przydkich intryg nie umiał, więc go ingorowano stale, lekceważono i poniewierano kaduczo; od chwili wszakże, gdy w dodatku (pod wpływem kropielek) oblicze jego stało się raczej podobniejsze do olbrzymiej dyni, aniżeli do twarzy ludzkiej i kiedy już wreszcie nos naszego bohatera zabarwił się na kolor nieklamanej fioleto, — Karaś zaczął powoli staczać się po przykłej pochyłości, aż wkońcu dawano mu na scenie grywać jedynie tak zwane „ogony“.

Truł się i gryzł wewnętrznie stary aktor, nigdy wszakże nie zdradził się z tem swoim strapieniem przed nikim.

Poteranie aspiracji odtwórczych zdawało się nie dotyczyć jego, bynajmniej, — przerażował się wszakże w walce tej okrutnie, bo oto — przybywszy kiedyś na próbę generalną nowej sztuki w stanie budzącym ogólną sensację, — z niczego ni z owego wyładował z siebie istny grad najcięższych obelg pod adresem obecnego na scenie prezesa teatrów, senatora M.

Następstwem impetycznej napaści była

dymisja, udzielona Surewiczowi jaknajurzędowniej, to jest—na piśmie.

Podarłszy przedewszystkiem na drobne kawałki papier dyrekcyjny, — ruszył burzliwy Karaś od miasta do miasta, a gdzie jeno ukazała się jego opuchnięta, jakby nalana persona, tam wnet tryskał strumień prawdziwego monopolu.

Innemi słowy wyjaśniwszy, filozof Karaś pił jak smok; ponieważ jednak posiadał czarodziejski dar zjednywania sobie sympatji prowincjonalnych „bębenków“, fama przeto niosła że nigdy prawie nie ułaknął umiłowanych trunków.

Znany był jeszcze i z tego ogólnie, że gdy stanął przy bufecie, to już nie odszedł ani na chwilę, dopóki nie wychylił jednej czystej — jednej gorzkiej — dwóch z kropelkami i trzech strzemiennych „tak“.

Razem wcale nie kabalistycznych sztuk siedm.

Takim mniej więcej był zapoznany satyryk-aktor-filozof, imć Surewicz — Karaś, a obecny mój towarzysz podróży.

Trzy arki drabiniaste, upstrzone po bokach dekoracjami, ruszyły wreszcie w drogę.

Oprócz mnie i Karasia — na okrytych słomą i staremi derkami siedzeniach sterczało jeszcze kilka niedożywionych członków naszej wędrowniej trupy.

Było nas razem na kupie sześcioro: jedno prawowite małżeństwo; gapiowaty, piejący nieco z litewska rekwizytor Ośmiałowicz, z młodą, podobno że nawet prawdziwą żoną, która jeśli w czym go przerastała, to tylko jedynie w pretensjonalnym stylu, upstrzonym zdumiewającą kwiecistością przenośni i bajecznych porównań, co było zwykle powodem zagadkowych półuśmiechów ze strony złośliwego zazwyczaj względem pani Rozalji Karasia.

Tuż poza oryginalnem stadłem, — osłonięci od wiatru dekoracją wolnej okolicy, przycupnęli dwaj aktorzy: bezlitośnie brzydkie, o szerokich, wywiniętych jak u murzyna i wieczystie spękanych wargach, inspicjent naszej sceny, Zalcman i ospowaty długi komik, Skrobek, występujący pod bezczelnym pseudonimem jako Fenkiel.

Zaledwie zdążyliśmy oddalić się nieco od niegościnnego grodu, gdy milczący dotychczas Karaś, sięgnąwszy do starej walizy płóciennej, wydobył wysmukłą flaszkę wódki i kilka soczystych serdelków.

Przez czas jakiś zmrużonem okiem znawcy mierzył przezyste szkło butelki, jakby dla przekonania się azaliż zawartość ulubionego trunku nie uległa jakiemu wypadkowi; poczem, zwróciwszy się ku mnie, głośno prztyknął wskazującym palcem w wątpliwej czystości

„mariland“, co miało u niego oznaczać zaproszenie do kompanii.

Fatalny chłód prześwidrował mnie do szpiku kości, to też skwapliwie przyjąłem poczęstunek starszego kolegi.

Po pewnym czasie, zamotany dotychczas w czarnej zadumie Karaś, rozpląawszy jakoś milczący swój język, z niczego ni z owego najniespodziewaniej zaskoczył mnie pytaniem:

— Powiedz-no mi, mój błady bohaterze, po jaką cholere wstąpiłeś pan do teatru?

— Widzi pan, panie Karaś,—bąkałem niezdecydowanie, — przedewszystkiem to ja pasjami lubię teatr, no a powtóre to...

— Jeżeli nie możesz się obejść bez niego, przerwał mi, jakby nie słysząc dalszych wyjaśnień, — to kup sobie od czasu do czasu bilet na paradę, ale od sceny to lepiej trzymaj się zdaleka, jak od morowej zarazy.

— Eh, co też pan mówi.

— A tak, mówię, mówię! i powiem ci jeszcze więcej! Za młodyś jeszcze na takie draństwo!

— Proszę pana, — podchwyciła dotknięta snadź do żywego Ośmiałowiczowa,—lepiej-byś pilnował swojej butelki! Lepiej pasuje ona do pana, niż pan do teatru.

— Jeżeli mię słuch nie myli, to łaskawa pani raczyłaś wyszeptać jakąś zawrotnie głęboką sentencję,—ironizował stary wyga, prze-

krzywiąc grymasnie głowę i mrużąc cynicznie oczy.

— Nie wiem, zaiste, sentencja to, czy nie sentencja, ale to pewna, że nędzny to ptak, co pluje w swoje własne gniazdo!

Karaś, zmarszczywszy komicznie brew, wycedził przez zęby:

— A czy pani spicjentowa widziała kiedy plującego ptaka?

— Także ruszenie martwocielęcym ogonem!

— Gdzież mi tam, proszę łaskawej pani do ruszania ogonem! Zaciężki-m i zastary-m na to!

Ot, małżonek nieocenionej koleżanki, ten to co innego... prawda? co? i zanim zdążyła coś na to odpowiedzieć, Karaś, zwracając się do Osmiałowicza, przytknął palcem w grdykę,

Inspicjent spojrzał pytająco na żonę i... odmówił przyjęcia flaszki z wódką; następnie, jakby urażony nieco docinkami kolegi, odwrócił się od niego, zaś pani Rozalja, wydawszy pogardliwie dolną wargę, zacięła się w milczeniu, co widząc Karaś zwrócił się znów do mnie.

Bo to widzisz pan, — cedził teraz zwolna a dobitnie, zniżając nieco głos, aby już widocznie nie drażnić dalszych słuchaczy, — scena to taki sobie mały, nikły światek szucho-

wego życia — na którym się odwalają najprawdziwsze świństwa.

— Ależ nigdzie ich nie brak, — zauważyłem nieśmiało.

— Słusznie-ś rzekł; zapewne że tak jest, — niestety, — ale w teatrze to już kwitnie wprost świństwo, niczem w oranżerii kwiaty! Jak Boga jedyne go Kocham.

— Eh, doprawdy — przesadza pan Karaś.

— Pal sześć! niech i tak będzie.

I przytknął już nie wiem po raz który palcem w papierowy kołnierzyk, przypięty do brudnej koszuli. Podziękowawszy uprzejmie za poczęstunek, odmówiłem wszakże dalszego dotrzymywania placu w ostatecznym osuszeniu butelki.

— Olaboga, jakież to chart angielski! — Już non possumus? po dwóch kilonkach! no, no!... i przy tych słowach wychylił resztę wódki, a otarłszy usta zbrukaną chustką od nosa, poklepał mnie po przyjacielsku po plecach.

— Tak, tak, młody gilu, na prowincji goły głód płodzi kudłate świństwo; ale tam!... i przy tych słowach wstrząsnął wzniesioną groźnie pięścią w stronę wielkiego miasta... — Tam specjalnie uprawia się łajdactwo dla łajdactwa, ot tak sobie dla lubego sportu!

Tam jeden drugiego utopiłby w łyżce wo-

dy, aby tylko wycygnąć dla siebie jakąkolwiek rolę. A już te piękne damy! nnnno!...

Tu aż uniósł się na siedzeniu.

— Udowodnij mi że na najpierwszej naszej polskiej scenie jest w danej chwili tyle uczciwych kobiet, ile ja tutaj obecny i przytomny mam palców u tych oto rąk, to ci, kwilący trznadlu, gotów jestem na pierwszym lepszym popasie zafundować łokieć juchowego salcesonu i tuzin dziurawych obwarzanków, aby ci chociaż jedna kropla krwi cieplej mogła strzyknąć pod papierowe policzki.

— Cóż znowu! jakże-bo tak można! I zacząłem wymieniać jedno po drugim nazwiska znanych artystek.

Stary aktor zatrząsł się od wewnętrznego śmiechu.

— He, co ty robaku skrzeczysz? Lesicka! — zawołał — była pomywaczka z kawiarni, co jej, mówiąc nawiasem, nie uchybiało, dopóki nie wstąpiła na scenę. Tam bieda mogła ją pchnąć nieraz na szare bezdroża błędów, ale dzisiaj — tfy! — dama, psia jej mać! Brylantów posiada więcej może niż ty, zuchu, masz w tej chwili wszów za koszulą, a za dobrą kolację z szampitrem i setkę marnych rubeljansów uprawia sport tak obrzydliwy, że wprost dusza się wzdryga na wspomnienie tego wyuzdania zdartej nadużyciem kokoty!

Kuperkiewiczowa ex-éma nocna, co ją po-

części usprawiedliwiało ongi, ze względu na jej nędzę i opuszczenie w najpierwszych dniach młodości; zapisana potem w księdze sanitarnej syreniego grodu, posiadająca obecnie dziesiątki tysięcy rubli i moc precjozów w opancerzonej kasie Wawelberga; — najwyuzdańsza specjalistka od fabrykowania — za grube rozumie się pieniądze — tabetyków i kandydatów do szpitala świętego...

Witczak! nikła na pozór i cicha niewiasta, godna w rzeczywistości niekłamanego podziwu. Ta, mając męża ze sfery nieteatralnej, sypiała z utytułowanym kretynem do chwili wydebienia od zidiociałego panicza dwunastu tysięcy rubli. — W życiu jednak udaje niewiniątko, spuszczaające figlarne ślepka przy łada okazji. Istna sakramentka!

Bachor — Korzybska, nieodrodna, a raczej wyrodna córka kelnera. Żyjąc ongi przed laty z dochodów ciemnego zaułka, — była poniekąd wytłomaczoną przez głód, chłód i oddalone domowe ognisko..., — dziś jednak, wyciągnawszy od wielkomiejskiego gracza co się tylko dało wyciągnąć, — za kubany sypane nienasytkowi zakulisowemu..., — z nędznej i wulgarnej krowientury teatralnej — wyrasta naraż na damę pełną prerafinowanej ambicji. To już nie byle co!

I gdybym miał chęć i większą może nieco dozę cierpliwości, mógłbym ci tak, młody

paniczu, uformować cały legion samiec teatralnych, wspaniałych cielesnie heter, wysysających do ostatniego dobytku swoje ofiary; potrafiłbym ci też przedstawić niejedną z przebiegłych aferzystek, tych, które w chwilach podniety zmysłowej — pod nieświadomą prawię oszołomonionego samca podsuwają czysty blankiet wekslowy, aby następnie sprocesować słabo rozwiniętą istotę bodajby do koszu!

Cóż zatem dziwnego że sfera uczciwych kobiet lęka się wprost desek scenicznych, jak ognia!

Nie jeden krystaliczny talent — niejedna najczystszej wody perła, któraby mogła być ozdobą polskiej sceny, — wprost zaryglowany ma wstęp, wiodący do splugawionych przez nierządnicę stóp bogini piękna.

A jednak scena to wielka, szczytna rzecz!!

Czemu jednak wpośród jej desek, przy lśniącem blasku kinkietów — szerokiem korytem płynie cuchnący brud, — niechaj ci odpowie kto inny; ja tylko wiem tyle, że jedyny przybytek, gdzie najcudniejsza z mów świata, dźwięczna mowa polska, ma jeszcze, chwała Bogu, nieograniczoną władzę panowania nad duszą i sercem łakącego tłumu — nie powinien być plugawiony przez kohorty rozwydrzonych kurtyzan.

— Jakże to, — zawołałem wprost zdumio-

ny rewelacjami wzburzonego aktora, — czyżby na naszej scenie nie było już wcale uczciwych kobiet?! Czyż to być może?

Karaś, puściwszy kłęb dymu z zapalonego przed chwilą papierosa:

— Są, — odparł, — owszem, nawet jaknajuczciwsze. Znajdują się tam zacne żony, — poświęcające się matki, a nawet są także i czyste jak błękit letniego poranku dziewczęta...

— Więc nie jest jeszcze tak źle jak pan utrzymuje?

— Tak, tak, nie jest, — cedził znacząco Karaś, — tylko że tych jest wiesz, śmieciuchu, ile?...

— No?...

— Zaraz... czekaj... I zaczął liczyć na palcach lewej ręki.

— W danej chwili — sześć... może ośm... no, może dziesięć najwyżej!

— Czy i mężczyźni są tak niedobrzy? — zapytałem naiwnie, aż stary Karaś parsknął mi prosto w nos wulgarnym jak i cała jego naracja śmiechem.

O gnieździe wzajemnej kabotynierji powiem ci innym razem; na teraz dość gdy będziesz pan wiedział, że tam przeważnie brudną intrygą i niską podłostką zdobywa się powodzenie.

Nie przeczę że i między aktorami pierwszej w kraju sceny znajdują się ludzie godni najgłębszego bodaj a szczerzego szacunku. Ot, bodajby na przykład...

I wymienił kilka głośnych i kilkanaście mniej uznanych firm aktorskich.

— Reszta — wierzaj mi wycieńczony kochanku — moralne zgręży!

I nie opowiadał-bym ci tych wszystkich historii, gdyby nie ta okoliczność, że przeczuwam w tobie, naiwny dzieciaku, praviczą jeszcze duszę.

Szkoda cię do tego przybytku skażonych obyczajów!

— Pomimo wszystko szczerze i otwarcie przyznam się że trudno mi poprostu uwierzyć w to co pan mówisz, panie Karaś, — zawołałem przejęty do głębi rozczarowanej duszy inwektywami ciskanem na głowy pracowników sceny z zaciętością zacierzewanego ordynka.

Wszędzie chyba znajdziesz pan indywidua złe i ludzi dobrych; wszędzie znajdziesz kobiety zacne i nierządnicę najnikczemniejszej kategorii, — dla czegożby jedynie scena miała być takim kanałem, przez który przeciekają wszystkie brudy ludzkiego życia!

— Ha, kiedyś już taki ciekawy, kochasiu, no to wreszcie spróbuję ci wytłumaczyć, bo-

daj tylko z grubsza — dla czego to jest właściwie tak a nie inaczej.

Otóż dla tego przewszystkiem, że na korupcję duchową tych w najlepszym razie perwersyjczyków składa się wiele, bardzo wiele ujemnych czynników.

Zwróć naprzód na to uwagę, że z niezbyt licznymi wyjątkami jest to stek najróżnorodniejszych wykolejeńców życiowych.

Temu obrzydła praca około murowania gmachów, — sięgnął więc po sławę odtwórcy i został miernym, ale za to stale reklamowanym aktorem. Tamtemu uprzykrzyło się uczciwe napychanie kiełbas serdelowych, — wstał na deski teatralne i jest dzisiaj jedną z bardziej okrzyczanych przez usługą zgraję nie bezinteresownych wzmiankarzy wielkości. Owe-mu, gdy nazbyt dokuczyło czyszczenie włosów perukowego, — cisnął się z całym rozmachem niepohamowanego intruza na scenę, — obrabował, a nawet pono i gdzieś bardzo daleko wyprawił uperloną kochankę... i dzisiaj niepodzielnie dzierżąc berło suto opłacanej gdzie należy sławy, trymfuje przed oszołomioną jego kuglarstwem scenicznem publicznością.

Większość wszechchciwych kierowników repertuarowych proteguje znów cacy lupanarek, gdyż dajmy na to płowa Maniusia, mając protektora w osobie rozwydrzonego ku jej rozkwitłym wdziękom grafa, płaci za ka-

żdą rolę prawdziwie po pańsku... Czarna Klarcia, zdobywszy opiekę urzędowego kamandora przybytku muz..., — za pomocą transmisyjnej — że się tak wyrażę — wdzięczności, zapewnia panu kierownikowi sceny bezkarne absolutyzm w przeciąganiu drogocennej, a brzęczącej struny w stronę wieczystości dziurawego worka prowodyra zachwaszczonego repertuaru...

Jednem słowem, jedna — jak z obfitego rogu Amaltei — sypie mu dźwięczące luidory; druga — z głębi roztkliwionego serduszka zapewnia książęcą protekcję; trzecia w upajającym rozgwarze różowego gabinetu czyni z siebie ofiarę bogini Mildy..., ale cóż u starego czorta miałyby scena z uczciwych kobiet? powiedz — co?! Uczciwa, czyli innemi słowy mówiąc — goła — toż to w najlepszym razie chwast bezużyteczny, — zawalidroga na zbrukanym gościńcu scenicznej kariery! A niechajże szyje sobie po całych nocach kalessony męskie do żydowskiego składu tandety! — niech sterczy do siódmego udaru przekrwionego mózgu w zamkniętem na cztery spusty pudle sklepowej kasy! Za marną kromkę suchego chleba niechaj niańczy rachityczne bękarty zbogaconego śledziarza! Nasza scena domaga się bezprzykładnej kurtyzaniady, — gotowe więc już gałgaństwo tłoczy się w jej zbyt gościnne a bezkrytyczne progi, a resztę

paskudztwa dopełnia deprawujący system protekcyjny, — wynoszenie miernot kosztem istotnych a zdeptanych talentów. — Powiadam ci, młody człowieku, — wołowa skóra nie pomieściłaby wszystkich łotrów popełnianych za kulisami tej niby świątyni sztuki!

Co do mnie osobiście, to jedynie dla tego jestem wprost wściekły na te padlinowe stosunki, że jakkolwiek nigdy nie byłem być może istotnym farysem, alem kochał sztukę nad życie!

Miłowałem ją szczerze gorąco, — byłem najwierniejszym z jej synów! a oni obrzydzili mi wogóle teatr.

I wydarli wreszcie z rozkochanego serca tę resztkę płomienistej żądy ubóstwianej pracy na wyśnionej w snach najpierwszej młodości niwie.

Nie umiałem, a nadewszystko nie chciałem być nędznym, jak oni! gardziłem podlizywaniem, intrygą i podłością aż nareszcie — zdeptany jak płaz najszkodliwszy, — krwawe krzywdy moje począłem topić w kieliszku.

Wkońcu gruchnąłem jakąś urzędową małpę w pysk i oto — siedząc tuż około rozgapionego amanta — pytam, czy nie ma on przypadkiem ognia do papierosa?

W milczeniu podałem mu paczkę zapalek. Karaś zapalił nowego groszociąga, a ja — opu-

ściwszy na piersi stroskaną głowę, popadłem w niezwykłą zadumę.

.

.

Nareszcie przywlokłszy się do zapadłego Płońska, członkowie połączonej nieustającym chłodem i głodem drużyny artystycznej, roz-tasowali się jak tam kto zdołał i mógł — po rozmaitych dziurach i dziuplach maleńkiej miejsciny.

Ja potrafiłem jakoś szczęśliwie wtulić się pod opiekuńcze skrzydła Osmiałowiczów, gdzie wyznaczono mi cichy kącik, dyskretnie osłonięty rozwieszonym na drucie, srodze podar-tem prześcieradłem.

Byłem z tego wszakże niezmiernie zado-wolony.

Przy usilnych zabiegach i nużącej nad-wyraz bieganinie od policyjnego Annasza do powiatowego Kajfasza, usunięto z murowanej szopy narzędzia ogniowe miejscowej straży.

Scenę oczyszczono z gruzu i śmieci, — wydobyto przytem z zatęchłego kąta parę przepojonych wilgocią zmian dekoracyjnych. Znalazło się jednak na szczęście wewnątrz ja-kiejs pod zdechłym zajacem malowanej cha-ty, — część wolnej okolicy i coś tam jeszcze w rodzaju wielkomiejskiego rynku, z nieod-

łącznym pośrodku gmachem, strojnym w zę-batą basztę.

Doprowadziwszy potłuczone bezlitośnie lampki naftowe do nawpół bodaj możliwego stanu używalności—oddano nam wkońcu sce-nę do niepodzielnego użytku.

Nasz zapobiegliwy dyrektor, pragnąc oka-zać kulturę artystyczną świeżo przybyłego to-warzystwa, wystąpił jak przystało na kiero-wnika nie bylejakiego przybytku sztuki.

Na pierwszy więc ogień poszły „Śluby panińskie“, Fredry; cóż z tego jednak, gdy publiczność, obojętna nawet na czar rozgło-śnego imienia twórcy — nie dopisała!

Na drugi wieczór dano „Śnieg“, Przyby-szewskiego, — z tymże samym co i poprzednio rezultatem kasowym, co niektórych z naszych kolegów doprowadziło do krańcowej pasji; in-nych zaś ogarnęła nieklamana rozpacz, bo-wiem ścigające nas przez dłuższy czas niepowo-dzenie materialne groziło już wreszcie całko-witem rozbiciem naszej trupy dramatycznej.

— Słuchaj-no, Kazik, — zacharczał wów-czas nawpół pijany Karaś.

Nie rozrzucaj do jasnej cholery pereł po brudnych śmietnikach!

W gęby im pluć! plugawcom!.. panie tego... i basta!

Tutaj trzeba dać... uważasz...

I wpośród chwytającej go co moment czkawki: *Trzydzieści lat życia szulera!* — wybełkotał wreszcie wśród męczącego kaszlu.

Rajewicz, rozjaśniony zasępienie dotychczas oblicze:

— Może i masz ty rację, zacny Karaju! — zawołał.

Może to i bycza myśl?!

Po chwili jednak posmutniał nanowo.

— Tak, widzisz, dobre-by to było, ale — coś z tego, kiedy na to wszystko to nas ja-koś trochę przymało! W tem sęk!

— Tere fere!, — syczał wśród kaszlu stary aktor, — mało! mało! a dużo nas było w Łomży, jakieśmy to w dwanaście głodomorów łupili „Madame Sans Gêne“, aż wióry leciały.

Rada w radę stanęło wreszcie na tem, że po czterech, wyraźnie czterech gorączkowo odbytych próbach, byliśmy gotowi do skandalicznego odfuszerowania rozgłośniej bomby.

Tym razem długoletnie doświadczenie zacnego Karasia nie zawiodło: teatr do ostatniego miejsca był wyprzedany.

Walczono formalnie o bilety, krzesła zaś zdobywano szturmem.

Od bezwstydných oklasków trzęsła się w posadach swoich buda teatralna; jedynie tylko stary Karaś, ilekroć razy spojrział na zbitą a rozwrzeszczaną czerń głów ludzkich,

syczał pod nosem przez zjadliwie zaciśniętę zębę:

— W gęby płuć! w gęby płuć! w gęby płuć!..

Jednakże pozorna poprawa interesów finansowych naszej dyrekcji w niczem prawie nie zmieniła krytycznego położenia aktorów, bowiem Rajewicz lwiał część dochodu strącał stale na kosztą przejazdu; reszta zaś, rozdzielona na tak zwane „działy“, nie mogła wystarczyć (jak mnie przynajmniej!) na odpędzenie natrętnego głodu.

Załatawszy niedyskretne dziury w znużonych kamaszach kosztem ostatniego grosza, pozostałem w całym znaczeniu tego wyrazu goły, jak przysłowiowy bizun.

A tu stary znajomy, szelmoski głód, nanowo począł gryźć i szarpać puste kiszki, aż rozpacz krańcowa chwyciła się zdławionego tłumionem łkaniem gardła nędzarza. — Trzeba więc było działać radykalnie i z nieugiętą zaiste stanowczością, aby nie skonać śmiercią głodową.

Na szczęście stanęło przede mną błogosławione widmo; — przyszła myśl zbawienna!

Postanowiłem pójść ni mniej ni więcej, jak tylko na polowanie!

Wdziawszy na wychudzone plecy okrutnie wytarte paletko, — nasunawszy na oczy wyrudziałą czapkę ze sztucznego baranka,

zbrojny w kilkanaście okrągłych kamyków, wybrałem się za miasto w celu wytropienia jakiegokolwiek zwierzyny, słyszałem bowiem że w zimie nierzadko możesz spotkać gdzieś w polu pod krzakiem, lub w zasypanej śniegiem bródzie oszołomonionego mrozem zająca, lub w najgorszym razie nawpół zmarznętego ptaka.

I gdyby mi się przypadkiem udało upolować bodaj starą jakąś srokę—byłbym cichaczem upiekł ją w mieszkaniu podczas niebytności Ośmiałowiczów; lecz —niestety— wrony zbyt były szczwane i przezorne, — zające, nie straciwszy przytomności, umiały także we właściwej porze czmychać gdzie pieprz rośnie; słowem, zmęczony, zły i głodny bezprzykładnie, zawróciłem wprędce do domu.

Dzień omdlewał już na dobre, gdy naraz mroźny wicher północny, porwawszy się na równe nogi, uniósł nagle tumany sypkiego śniegu ponad białe bajecznie pola i zdradliwie wyrównane groźną zadymką wertepy.

Przebijałem się przez tę szaloną wichurę krok za krokiem, złamany mrozem i trwogą. Łzy jak grad ciekły mi po zziębniętych policzkach.—Wsunąłem obiedwie ręce w kieszenie podszytego wiatrem palta; czapkę jak mogłem nacisnąłem jeszcze mocniej na uszy, lecz wściekłe mrozisko chwyciło mnie za palce rąk i nóg z zawziętością podjudzonego brytana,

ażem począł wreszcie na serjo obawiać się o całość kończyn mojej doczesnej mizerji.

I zadygotałem spazmatycznym płaczem.

A mogłem pozwolić sobie! bodaj ryczeć, wyć nawet jak dzikie zwierzę, bo mnie tu już nikt chyba z bliźnich nie był wstanie usłyszeć, ani też nie mógłby wyszydzić głębokiego bólu przygnębionej duszy.

Byłem już blizki omdlenia, a tam na przydrożnem wzgórzu, zarośniętem kępą rozwichrzonego głogu, rozcietrzewiona do bezmyślnego szału wichura wyprawiała piekielne zaiste harce.

Czułem że jedyną osłoną przed szalejącą zamiecią, mogła dla mnie być stara kapliczka drewniana, stojąca, — a właściwie chyląca się do upadku—tuż pod zawałonym śniegiem pagórkciem.

Z przeciwnej strony samotnego budyneczku mogło być znacznie ciszej i przytulniej,—tak przynajmniej sądziłem, zbliżając się z ciężkim trudem do upatrzonego punktu,—gdy naraz przed oszołomionemi przerażeniem oczyma mojemu wyrosła jakby z pod ziemi tajemnicza postać, zaledwie że podobna do człowieka.

Był to drab obszarpany od nawpół nagich stóp, do skudłaczanego cudacznie łba. — Sina, opuchnięta gęba i zaczerwienione jak u królika ślepie, mogły przejąć grozą najbardziej

odważne serce samotnika; cóż dopiero mówić o mnie — pełnym trwogi o całość — już jeśli nie ciała, — to przynajmniej z takim trudem zdobytego kubraczka.

Z wyciągniętymi bezwiednie przed siebie rękami, instynktownie jakoś uskokczyłem w tył; po chwili wszakże, opamiętawszy się nieco, powziąłem momentalnie postanowienie nie okazywania ani cienia bodaj obawy, przekonany bowiem byłem iż wstrętne drabisko, widząc przed sobą młodego samotnika, drżącego z trwogi, tem silniej może rzucić się na mnie.

Obdartus, zbliżywszy się zwolna, wyciągnął czerwoną jak burak rękę.

— Servus, kolego! — zachrypiał głosem, od którego mrowie przejęło mnie wskroś całej istoty.

— Dobry wieczór panu, — odrzekłem jednak uprzejmie i w tejże samej chwili wciśnąłem rękę do kieszeni, w której na moje szczęście pozostał jeszcze jeden dość znacznych rozmiarów kamień — świeżutka pamiątka po niefortunnym polowaniu na gapy.

— No i cóż, kawalerze gładki, nie raczysz nawet podać wypieszczonej łapki?...

I jeszcze bliżej podszedłszy ku mnie, powtórzył z odcieniem szatańskiej ironii w zaplajonym głosie.

— Servus, kolego!

— Powiedziałem już: dobry wieczór! czego więc chcesz pan więcej ode mnie?!

— Czego?... A czy wiesz ty, spacerujący hrabiczu, że jak gość dobrze wychowany przychodzi do cudzego salonu, to w przedpokoju zostawia... palto?...

Pomimo tumanów śniegu, uporczywie zasypujących mi oczy, — błyskawica przemknęła mi przez mózg oszołomiony, — po chwili zaś piorun trząś w drżącą pierś moją.

Wiedziałem już doskonale, że tu się nie obejdzie bez walki zaciętej, i czułem to aż nadto dobrze, że życia nie żał mi wcale! Jeśli już jednak mam je utracić tak nędznie, to przynajmniej łotr, który beczelnie godzi na nie — niechaj się przekona, że nie tak być może łatwo przyjdzie mu zdobyć cokolwiek na doprowadzonym do rozpaczki biedaku.

— Palto..., — odparłem z udanym pozorem spokojem i flegmą w głosie., — moje palto, uważasz, nie dla takich jak ty zbójów...

I z temi słowy, chcąc uprzedzić pierwsze uderzenie zbira, jak huragan rzuciłem się na niego.

Furja, jaka ogarnęła mnie w danym momencie psychicznym zbudzonego nagle ducha samoobrony, rozpętała też i siły wprost nadludzkie, jakichby zapewne nikt nie mógł spodziewać się po takim jak ja nędzarzu.

Pomimo wszakże niespodzianego ataku z mojej strony,—zaprawny snadź do ręcznego zmagania się bandyta,—opamiętawszy się w jednej chwili, począł się bronić z zaciekłością dzikiego zwierza.

Błyskawicznym ruchem urodzonego rabusia, wraziwszy zimne jak lód palce za pasek od koszuli, twardymi knykiami starał mi się zmiażdżyć grdykę. Na szczęście kołnierzyk—nie strzymawszy ucisku żyłastej łapy—pękł i naraz szyja moja została najniespodziewaniej uwolniona od drapieżnych uścisków oprawcy.

Wtedy już bez cienia namysłu—ze zwinnością zawodowego boksera—gruchnąłem go między oczy z taką zaiste siłą, że krew ziu-gnęła mu nosem, zalewając dolną część twarzy.

Nawykły snadź był on jednak do wytrzymywania ciosów nierównie być może nawet cięższych, niż otrzymany przed chwilą, bowiem, zachwiawszy się zaledwie na nogach, odparował powtórne moje natarcie w ten sposób, że omal nie zwałił mnie z nóg, jak podcięte drzewo.

Za pierwszym uderzeniem poszło drugie i trzecie, a każde z nich było stanowczo coraz bardziej dla mnie niebezpieczne.

Włóczęga, z pozycji obronnej przeszedł-

szy do zaczepnej, okazywał się mistrzem w walce na pięści.

Zdwoiłem zatem szybkość ruchów,—co mówię!—dziesięćkroć zda się sprężyściej niż przedtem waliłem przed siebie kurczowo zaciśniętymi kułakami,—i to tak dalece, że pomimo zbrodniczej ofensywy, obdartus chwilami zdawał się jakby omdlewać i opadać z sił; co widząc—lamparcim susem rzuciłem się na niego, chcąc ostatecznie grzmotnąć go na ziemię, ale szatańsko przebiegły łotr, zdradliwym ruchem, uskoczywszy w bok—runął z tyłu na mnie całym swym ciężarem i zanim zdołałem zorjentować się w groźnym położeniu,—leżałem już jak długi pod jego kolanami.

Teraz wszakże dopiero zaczęła się walka na śmierć i życie.

Wszystkiemi pięcioma nerwowo, spazmatycznie skurczonemi palcami, chwyciwszy twarzą szczecinę bandyty, wyrwałem mu pełną garść brudnych kołtunów; domacawszy się następnie twarzy i wpiwszy paznogie tuż przy skroniach zięjącego pianą wroga,—z zjadłością rozjuszonego wilka szarpnąłem okropnie ucho raz i drugi, aż fala krwi ciepłej bluzgnęła mi za rękaw koszuli...

Ucho, nawpół oberwane, zwisło na jednej zda się chrząstce...

Bandyta zawył z bólu i wściekłości; zwa-

lił pierś swoją na moją pierś, usiłując równocześnie uchwycić mnie za gardło; zdołałem jednak ukąsić go w rękę z taką zaciętością, że kawał mięsa ciepłego został w zębach moich...

I rzecz dziwna—zdawało mi się że siły, zamiast ubywać, przybywają mi z każdą niemal sekundą; to też broniąc się od napaści zapamiętałe, ani na jedno mgnienie oka nie straciłem przytomności umysłu.

Walka na skopanym nogami śniegu, przeciągała się złowroźnie...

Dwa ciała ludzkie zbite ze sobą w śmiertelnym uścisku, tłukły się po zaśnieżonej grudzie. Z zięjących płomieniem nienawiści ust, wraz z kłębiącymi oparami ulatywały krótkie zgrzyty, jakby niedopowiedzianych złorzeczeń i urywane zmęczeniem oddechy.

Raz ja, leżąc na nim, szukałem skrwawionymi palcami jego zięjących ogniem oczu, aby mu je wylupić pazurami na wierzch przekrwionych szaleństwem orbit... — to znów on walił się na mnie z rozbewstwieniem ranionego byka...

Tuman sypkiego śniegu fruwał nad nami, jak stado spłoszonych gołębi,—gruda twardej jak granit ziemi padała wzdłuż krwawego pagórka,—drewniane ściany kapliczki jęczały złowieszczco, jakby przerażone zmaganiem dwóch mordujących się ludzi.

Wicher, jak zgłodniały szakal, wył tuż nad spotniałymi czuprynami, a myśmy się tarzali po ziemi jak dwa psy rozżarte.

Czuliśmy to zda się obadwaj aż nadto dobrze, że jeden z nas musi stanowczo zostać na placu...

Naraz, uczulem ból przejmujący w boku... jakby luna olbrzymiego pożaru padła mi na oczy... Rozległ się dojmujący szum w uszach... a potem ciemność układała się na mózgu... Rozkurczone, omdlałe palce szukały jeszcze przez krótką chwilę obłędnej twarzy przeciwnika, ale już jej znaleźć nie mogły!.....

.....

Trzy miesiące i dni jedenaście przeleżawszy w płońskim szpitalu, zostałem wreszcie wypuszczony wspaniałomyślnie na wolność.

Dwa zębra, złamane w ciężkiej walce z rabusiem, zrosły mi się dzięki jedynie — jak zapewniał miejscowy lekarz — mojej sielskiej anielskiej młodości. Ale wybite sromotnie cztery zęby przednie bynajmniej nie przyczyniły się do upiększenia wybladłej twarzy mojej. — —

A jednak w nieszczęściu ludzkim nierzadko błyskają chwile jaśniejsze, bo chociaż smutek przejął mnie nieklamany, gdy...



rzał porzuconym przez niewdzięczną teatralną drużynę, która w czasie mojej choroby, (nie zostawiwszy mi ani grosza), opuściła mury mizernego Płońsk; to wszakże rozradowałem się za to serdecznie, ujrzawszy upragnione promienie słońca!

Bajeczna zaiste wiosna rozpyliła już pierwsze aromaty po świecie, gdy ograbiony wprawdzie z palta, lecz z duszą przepełnioną wdzięcznością, dziękowałem pocziwej naturze za jej pierwsze promienie!

O bo jakże ja cię kocham i podziwiam! — powtarzałem sobie, idąc piechotą w stronę Warszawy, — słońce ty moje ubóstwiane!

Czy ty wiesz — przedziwne — że pod wpływem twojego ciepła, zawsze gotów byłem — bodaj do oślepienia — pić spragnionemi oczyma przejasny czar twoich złocistych promieni.

Oh, bądź błogosławione — życiotwórcze słońce!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Wyjaśniający przyczynę czarciego uporu zdefigurowanych kamaszy. — Wpływ akustycznego żołądka na nieprawidłowy bieg myśli mdlejącego piechura. — Głodowa gorączka jako przyczyna moralnego upadku ducha. — Wreszcie z rozdziału tego łaskawy czytelnik dowie się za co filisterski głodomór piał hymny dziękczynne na cześć szarego kundysa: —

Już drugi dzień jestem w drodze. Iść prędko nie mogę, bo mnie jeszcze coś dolega w prawym boku, a i oddech do najdłuższych bynajmniej nie należy.

Czasem to mnie tak nawet dziwnie jakoś a znienacka zaprze naraz w sobie, że choć skonaj, a powietrza złapać ani rusz — nie mogę!

A i cóż robić! W rezultacie zawsze tak źle może nie będzie! Musi się do licha ciężkiego obrócić chyba na lepsze. Tylko że siły fizyczne opadły mnie do tego stopnia, że w ciągu dnia całego nie jestem w stanie więcej ująć ponad jakieś marne pięć do sześciu wiorst.

Co to znaczy wobec czyhającej na mnie tak jeszcze długiej a uciążliwej podróży.

I żeby to bodaj buty były całe, ale gdzie tam!

Rozrzedzone wiosenne błotko, wsączyw-
szy się z uporem, godnym lepszej sprawy
przez szpary podartych zelówek wewnątrz
uciekających z nóg kamaszy, rozgościło się
już tam na dobre!

Nie ponawiałem zatem niefortunnych prób
zdejmniania na noc obuwia; gdy bowiem ra-
zu pewnego niebacznie ściągnąłem przesią-
kniętą zimną wodą buty — z przerażeniem
przekonałem się rano, że chyba nie będę już
wstanie wcisnąć je na obrzękłe chorobliwie
stopy.

Z nadmiernym wszakże wysiłkiem fizycz-
nym zdołałem wkońcu wtłoczyć uparte kama-
sze, alem też i poprzysiągł sobie równocze-
śnie że ich już zostawię na przyszłość w ab-
solutnym spokoju.

Wszak lepiej nie drażnić licha!

Omdlałymi krokami, wśród ulewnych
deszczów i poświstu wiosennej wichury po-
suwałem się bardzo a bardzo wolno naprzód,
z nadzieją jednak w duszy, lecz za to bez
jednego już literalnie grosza w kieszeni,—
z niezłomnem jedynie postanowieniem dotar-
cia za jakąbądź bodaj cenę do upragnionej
Warszawy.

Stanąwszy wreszcie w Nowym-Dworze,
uczulem tak silny napad głodu, że już popro-
stu tortur takich dłużej wytrzymać nie byłem
wstanie.

Wreszcie doszedłem do niewesołego prze-
świadczenia, że w podobnych warunkach
o dojściu do wymarzonego celu mowy być
nawet nie może.

Bo i jakież ten nieokiełznany spragniony
żołądek wyprawiał ze mną hece, to już zaiste
przechodziło wszelkie dozwolone granice!

Pod wpływem szarpiącego puste kiszki
głodu, opadały mnie całe roje złych myśli...
i coś niebezpiecznie szeptało mi do ucha,
abym raz już wreszcie porzucił głupie senty-
menty i zdobył się na czyn jakiś najbardziej
bodaj ryzykowny, aby tylko dać spragnione-
mu żołądkowi niezbędne do jego egzystencji
zatrudnienie, bez którego i tak już osłabiony
do ostatnich granic organizm musi wreszcie
przestać funkcjonować, czyli—inności mówiąc
słowy — czekała mnie najformalniejsza śmierć
głodowa i to w dodatku gdzieś tam pod zgni-
łymi opłótkami, okalającymi brudne zabudo-
wania śmierdzącej mieściny.

Ale oto znowu porwała mnie boleść opę-
tana! Tyle już jednak razy rozpaczne łyła-
łem bez ulgi dla zbolełej duszy, że — zastano-
wiwszy się głębiej, — z zaciśniętymi złośliwie
ustami, z bezgranicznym żalem do świata ca-
łego, postanowiłem na złość ludziom i Bogu
samemu nawet — nie uронić ani jednego west-
chnienia!..

I cóż z tego! gdy potem znów chwyciło

mnie takie jakieś szaleństwo rozpetane, że byłbym się gotów rzucić z pazurami na każdego, ktoby mi wszedł w drogę!

Krótko to jednak trwało:

Gorączka głodowa spadała nagle do zera,—oczy, przeżarte ogniem pragnienia, gasły jak gwiazdy przed cichym rozświetem; zaróżowione nienaturalną spiekotą policzki, stawały się naraz przezroczyście białe, jak u trupa i pomimo zawziętych postanowień wytrwania, nanowo cichy strumień łez przezczystych spływał do kąćków boleśnie wykrzywionych ust.

I połykając kwaskowato-gorzkie łzawe perły moje,—wzdychałem:

O gdybyż można zdobyć skąd kawałek chleba!

Cóż z tego, gdy próżne to były miraż! Chleb się nie zjawiał na zawołanie, a sił żywotnych ubywało z każdą nieomal chwilą coraz bardziej, aż wkońcu wstać już z przydrożnego kamienia nie mogłem!

O — źle! źle z tobą, niedołęgo! — czyniłem sobie jeszcze gryząco-humorystyczne wyrzuty: — żebra masz połamane, — zęby wybite, — buty dziurawe, — żołądek pusty, — głowinę skolataną!, i cóż z takiego na tym najlepszym ze światów!..

Ot—durniu — rozdyndaj się ostatkiem ulatującej energii, — pochyl zbrózdzone przedwcześnie czoło ku zacnej matce ziemi, potem

wyrwij z pod drżących kolan przesiąknięte błotem stopy, — wyrznij czerepem o ten głaz pocziwie leżący przy drodze i... finita la comedia!, a przynajmniej skończysz nie jak pierwszy lepszy idjota — śmiercią głodową, jeno na obraz i podobieństwo nieprzeciętnego szaleńca, na którego zgonie—łasy na sensację reporterus zarobi jeszcze z kilkadziesiąt, kurs w tym nieszczęśliwym kraju mających kopiejek.

Dalej więc, niemrawo, niechaj wytryśnie chory mózg z obłądnej czaszki nędzarza!

I przyjdzie karmna świnka i zećpa soczysty owoc zwoju jedynej duszy twojej, człowiecze.., a potem — powłokłszy zróżowiony kałdun pod przegniły płot śmierdzącej nory—odda z procentem twoje *ja* doczesne wszechgościnniej matce ziemi...

Ale pociesz się tem, matki swojej synu, coś w walce upiornej o byt powszedni przegrał ostatnią stawkę niecennego żywota, — że w marzycielskim czasie wiośnianego poranku, w niebiańskie przestworza uniosą się miradowe atomy przegniłej już do cna materji twojej, a potem, opadłszy ciepłym dżdżem na spragnioną glebę, zapłodnią przeżłociste kłosa życiodajnych zbóż i wonczas, gdy sądzićby należało żeś się, taki oto synu, uwolnił już na wieków wieki od najmilejszych współbraci swoich; to oni wtedy właśnie dopiero

w upragnionym w tej chwili przez ciebie gło-
nie białego chleburnia... gryźć cię będą sma-
kowicie; a gdy już rozproszona cząsteczka
twojego *ja* strawioną po raz wtóry zostanie—
i legnie pod zmurszałym opłotkiem cuchnącej
siedziby—przyjdzie sprośna świnią....

I przed oczyma rozwichrzonej wyobraźni
przewalał się teraz galaretowato-oślizgły mózg
istoty, co się mieniać wodzem świata, w tych
oto lepkich zwojach cuchnącej madźgi pokła-
da cały panlogizm wierzeń nieugiętych.

I wazywszy na skrawionej dłoni plugawie
zgniłą masę, z grymaśnym gościem obłąkane-
go filozofa wyrzucałem z siebie lawinę słów
bezlądnych:

.....Otoś jest właśnie — myśli promie-
nista, co w dniach najśłodsze go zarania, na
tęczowych skrzydłach precudnych marzeń
wznosisz się ku niebosiężnym szczytom...

.....Otoś—wiedza, przebijająca kirowe
zasłony tajemnicy wszechbytu...

.....Wola, ujarzmiająca srogość i bar-
barzyństwo natury wrzekomo dzikiego pier-
wowzoru...

.....Wiara w nieśmiertelność ducha
ludzkiego....

.....Miłość, wiodąca ku szczytom he-
roicznych poświęceń....

.....Moc i treść wieczystego istnie-
nia....

Wreszcie amalgamat zła i dobra — zbro-
dni i altruizmu — rozigranych chuci i dzierżo-
nej na smyczy wstrzemięźliwości....

I jesteś potęgą potęg tak długo, dopóki
z przegniłego czerepa, przez czarne oczodoły
nie wyżre cię robactwo kłębiste, wraz z two-
ją myślą promienną,— wiedzą głęboką — wolą
potężną—wiarą nieśmiertelną i pełną heroicz-
nych poświęceń miłością....

I z omdlewającym gościem znużonej za-
dumy opuściłem ku ziemi galaretowatą bryłę...

.
.
.
.
.

Podniesiono mnie z wilgotnej ziemi po
to chyba, aby po raz trzeci w niezbyt dłu-
giem życiu ułożyć osłabione nikczemnie ciało
głodomora na twardem łożu miejscowego
szpitala.

Niedługo jednak przebywałem w nim,
bowiem dbały o dobro instytucji intendent,
wykreślił z listy chorych zawałodrogę-darmo-
zjada, skoro jeno mógł on ustać o własnych,
aczkolwiek wątpliwych jeszcze co prawda si-
łach.

Gdy wszakże zdawało mi się, że chcąc
nie chcąc — muszę znów rozporządzać sobą
według własnego uznania,—wówczas jak deus

ex machina—stał przed moimi oczyma sam starszy strażnik i oznajmił poważnie, że jako indywiduum pozbawione paszportu i wszelkich dokumentów, bez których niema najmniejszej zasady do egzystencji żaden prawomyślny mieszkaniec „priwislinia”—będę niezwłocznie odstawiony do gminy, a potem—tak zwanym etapem—do Warszawy.

— A zatem jestem najformalniej aresztowany!—przemknęła mi w tym momencie przez głowę myśl... radosna...

Aresztowany, czyli zabezpieczony od okrucieństw głodu!!...

I zanim surowy przedstawiciel niebezpieczeństwa publicznego mógłby opanować zdziwienie, — nie wiedząc zaprawdę co czynię, — przejęty jedynie jakąś dziwną, niczem nie dającą się umotywić wdzięcznością, rzuciłem mu się ze łzami rozczulenia na szyję...

Dygnitarz gminny, zdumiony nieoczekiwanym wylewem jedynych w swoim rodzaju uczuć sympatji, zwracając się do swojego kolegi w mundurze, zawyrokował:

— Znacził — sumaszedszij..., a tak jemu sju minutu nado otwiesti w uprawnienie.

— Nnnu-s i ładno,—potwierdził młodszy przedstawiciel wątpliwego bezpieczeństwa danej okolicy i rzeczywiście wkrótce potem siedziałem już pod kluczem.

Optymizm mój, wyrażony w jaskrawy zwłaszcza sposób zbratania się z pozbawiającym mnie wolności starszym przedstawicielem straży, okazał się wszakże w praktyce niezbyt uzasadnionym, bowiem areszt powiatowy, zaciężył młyńskim zaiste kamieniem na wyssanym przez długotrwałą chorobę organizmie moim.

W odrapanym budynku, gdzie zamknięto mnie wraz z aresztantami, którzy nie potrafili zaskarbić sobie gdzie należy odpowiednich względów..., — wilgoć wprost lała się ze ścian, — pożywienie zaś wołało o pomstę do nieba!

A przytem pierwsza wizyta moja w powiatowym areszcie nie przez wszystkich lokatorów przyjęta została z jednakowem uznaniem; zaledwie bowiem ciężkie drzwi, okute żelazem, zatrzaśnięto za mną,—tuż nad oszłomioną głową moją rozległ się gwizd przeźrliwy i równocześnie posypał się pod moim adresem istny grad przezwisk przeróżnego rodzaju:

— Motyl! psia twoja niebieska w krateczki! — kwiczał jakiś siny obywatel małomiasteczkowej turmy.

A gdy-m się mimowoli odwrócił w stronę złorzeczącego wyjca — jakaś niekoniecznie gościnną pięść grzmotnęła mnie z tyłu w kark

z takim animuszem, że w jednej chwili jak długi padł na ziemię.

Nieludzki ryk śmiechu był całą odpowiedzią na mój jęk bolesny i ciche łzy moje.

Nie chcąc wszakże dawać tematu do dalszej szykany, porwałem się jak mogłem najszybciej na nogi; cóż z tego jednak, gdy w tymże samym prawie momencie ciężki jakiś przedmiot drewniany padł z piekielnym łoskotem tuż na moje zbolące stopy, zwałając mnie po raz drugi na ziemię.

— Nie nauczyła cię matka skakać! — zachichotał mi znów nad uchem rozwydrzony śmiech pijacki.

I nie wiem jak długo trwało-by to pastwienie się nad nowym, a bezbronnym przybyszem, gdyby nie gromki huk, który się rozległ w tej chwili:

— Hej! psu-braty, toć widzicie że to jakieś rozlizane szczenię, a oni go, ścierwa, leją jak zdrowego frajera! Ha-no, jazda do luzu!

I atletycznym rzutem potężnych ramion roztrącił czerń wyjąca, aż twarde łby stuknęły o zimne ściany więzienia, a ja — potłuczony boleśnie i przerażony srodze, zapłakanemi oczyma wodziłem błędnie dokoła.

Po kilku dniach ciężkiego pobytu w areszcie, zostałem wraz z kilkoma włóczęgami odesłany ciupasem do Warszawy.

Na szczęście podróż całą odbyliśmy koleją w specjalnie na ten cel przeznaczonym, mocno okratowanym wagonie, inaczej bowiem — kto wie czy byłbym zdolny do zwalczania wiosennych podmuchów wiatru, zwłaszcza że i leciuchna marynarka zbyt słabo chroniła ciało moje od przejmującego zimna.

Nie wielki pokazuje się pożytek władzom rządowym przyniosło aresztowanie nic nieznaczącej istoty mojej, skoro w parę zaledwie dni po przybyciu na miejsce przeznaczenia zostałem niespodzianie wypuszczony na wolność. Zawiadomiono mnie jedynie, że nałożona na moją mizerotę kara administracyjna za opuszczenie murów miasta bez paszportu i nie wymeldowanie się z pod właściwego numeru, wynosi skromną (jak dla nich chyba!) sumkę dwunastu rubli!

Boże! — pomyślałem sobie, — gdybym-ż posiadał taki majątek — to czyżbym był o tyle naiwny, abym go miał oddawać policji?!

To też sformowany odpowiednio protokół skasował następnie karę, na tej jednak tylko zasadzie, że jako „liczność“ bez zajęcia i rozpaczliwie goła, nie mogę tem samem zasilić bezdennej kasy...

A zatem znów się znajduję na bruku huczącego miasta, pozbawiony pracy i najelementarniejszych środków do życia!

Wlokąc się ze zwieszoną smutnie głową drugorzędnymi ulicami gwarnej dzielnicy, wstąpiłem do jednego z gęsto zaludnionych domów, gdzie powoływała mnie sprawa nie cierpiąca zbyt długiej zwłoki...

Przechodząc przez obrzydliwy podwórzec, zauważyłem jakiś niezwykle ruch w śmietniku. Wiedziony bezmyślną co prawda ciekawością, zajrzałem do wnętrza odrażającego pudła, gdy w tejże samej chwili—(wystraszone snadź moim widokiem)—wyskoczyło duże kudłate psisko, a uderzywszy łbem o drewnianą krawędź śmietnika, wypuściło z pyska olbrzymi piszczel czerwony, który, niewiadomo nawet jakim sposobem, znalazł się momentalnie w rękach moich...

Ukrywszy przypadkową a tak nieoczekiwaną zdobycz pod ubraniem, szybko wszedłem do ustępu i tam—gwooli niehamowanej radości mojej—przekonałem się, że była to—ni mniej ni więcej jak tylko kilkofuntowa kość od szynki, zdobna w ponętne kawałki mięsiwa.

Pomimo dokuczliwego uczucia głodu, nie odważyłem się jednak na spożycie psich darów w tak nieodpowiednim miejscu; to też gorączkowym krokiem wybiegłem za bramę.

W kilka minut później, osłonięty wysoką szychtą budulcu, złożonego na pustym placu, obok wznoszącego się gmachu, z zajądłością

i apetytem wyголоzonego wilka, rzuciłem się na błogosławiony ochłap, obgryzając go (pomimo braku kilku przednich zębów) z wprawą urodzonego brytana.

Ach, jakież ja się czułem w tej chwili szczęśliwy i zadowolony z losu, że pozwolił mi dzisiaj bez żadnych już zgół przeszkód zajaść przysmak soczysty!

Cała moja istota była teraz poprostu wchłonięta w szalony wir jedynej w swoim rodzaju, a nieopisanej wprost rozkoszy cielesnej!

A gdy zdawało mi się już wreszcie, że szacowna część goleni opracowana skrupulatnie została, — naraz — gwooli nowej a nieoczekiwanej radości — dokonałem nielada kapitałnego odkrycia: Oto, przełamawszy gnát na połowę, ujrzałem pomiędzy chrząsteczkami kilka świeżych a starannie dotychczas przed okiem mojem ukrywających się włókien łykowatej co prawda, lecz za to niewypowiedzianej w smaku golonki!

Po jaknajtroskliwszem ogryzieniu, położyłem następnie cudowną kość na kawałku płaskiego kamienia, a rozbiwszy drugim większym nieco kamieniem całe gnacisko na miazgę, wyssałem absolutnie wszystko co się tylko wyssać ostatecznie dało.

— No, to rozumiem śniadanko! — szepną-

łem sobie w głębi ducha, przerzucając przez płot suche drzazgi kościane.

Oto i oczy zaraz jaśniej jakoś patrzą przed siebie, — serce zda się szybciej w piersi uderzać, — krew o wiele żwawiej poczyną krążyć w żyłach, — mózg się jakoś nieźartem ożywił, a i świat cały przedstawia się w barwach o całe niebo piękniejszych!

A niechże ci, psie pocziwy, los szlachetny wynagrodzi twoją tchórzliwą naturę!

Gdyby nie twój niczem nieuzasadniony przestrah, byłbym teraz głodniejszy zapewne od ciebie, zacny kundlu!

Przeciagnąwszy zdrętwiąłe członki, aż w stawach trzasnęły, prawie że pewnym już krokiem opuściłem miejsce wspaniałej, omal że nie cesarowej uczt.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Spotkanie z „czarnoksiężniczką”, zmieniającą sposób i „tryb” mojego życia do niepoznania.—Ciężka zależność w stosunku do „lekkiej karjery” nadobnej hurysy.—Szał młodości i koniec odysei.

Włóczęc się pewnego popołudnia po zgiełkliwych zaułkach miasta, spotkałem się nie spodzianie z Barwinkiem, artystą nie tyle „z łaski bożej” o ile zdecydowanym amatorem „na czterdzieści” z migdałkiem.

Szedł w towarzystwie niejakiego Hilczmana, którego znalazłem nieco stąd, że jako przyjaciel i kompanion nie malującego malarza — odwiedzał go dość nawet często w sławetnym pensjonacie ciotki Grzebulskiej, gdzie potrafili wstawiać nieraz do rana.

Przywitawszy mnie dość uprzejmie, Barwinek pytał o przyczynę tak rażącego wymizerowania, jako też i o brak zębów.

Wstyd mi co prawda było przyznawać się tak znów znowu otwarciu i zbyt może szczerze do nieodstępnej mojej towarzyski — nędzy; napomknąłem wszakże o chorobie, a nade wszystko skarżyłem się, że z powodu zapłacenia znacznego długu za leczenie, zabrakło mi teraz akurat na wynajęcie mieszkania.

— Jakto, więc nie masz pan gdzie nawet nocować?—zapytał troskliwie malarz.

— A no, niby coś około tego..,—odparłem, spuszczać mimowoli oczy.

— A to ci dziki frajer z pana! — zaśmiał się ordynarnie Hilczman, — żeby się nie postarać o apartament!

A widząc, że poczerwieniałem jakoś ze wstydu i czując że mi przykrość zrobił, szybko się poprawiłem:

— No, to w rezultacie chodź-że pan do mnie! Jest sklep, jest warsztat, jest mieszkanie. Możesz czas jakiś spać gdzie ci się tam wreszcie będzie podobało?

Barwinek zaś podchwycił:

— Smoczy myśl ojca Hilczmana! Korzystaj pan, panie Leonie i grzmij na noc jak do siebie!

Ja-bo zawsze u ciotki Grzebulskiej, więc choćbym i rad-był bardzo, ale przecież znasz wściekłą na grosze babę?

Od samego Belzebuba wydrapałaby za noc pół rubla!

I zachichotał głośnym śmiechem, buchając na mnie odorem „czterdziestki“ z migdałkiem.

Nie mając innego wyjścia, podziękowałem za dobre serce i zanotowawszy w pamięci adres, postanowiłem przed wieczorem pójść na Nowogrodzką do fabryki kapeluszy.

A jednak nie przeznaczono mi snadź było nocować dzisiaj w domu lekkomyślnego fabrykanta, bowiem okazało się, iż jegomość ten, zbyt pochopnie otworzywszy swój dom przede mną, zapomniał następnie o zaproszeniu, i nie zjawił się wcale.

Do pierwszej w nocy oczekiwałem przed bramą, widząc wszakże bezowocność błędnych zabiegów, machnąłem wkońcu ręką na całą tę niefortunną aferę i ze smutkiem w sercu, a ciężką troską w duszy wszyłem się w mroczną noc miasta.

Wlokąc za sobą omdlałe ze znużenia no-

gi, przemyślałem nad znikomością życia doczesnego.

Przedewszystkiem zadawałem sam sobie pytania: po co ja właściwie tułam się po tym niewdzięcznym świecie!..

Czyż po to tylko, aby być nieustannie szarpanym rozwścieczonymi kłami nędzy?!..

I co-m ja właściwie zawinił na tym padole niesprawiedliwości, że mnie jakieś fatum surowe, bezlitosne Ananke — karze tak bezprzykładnie!

A toż chyba rudy pies nie wytrzymał-by takiej męczarni!

Jednak piekielny zaiste zapas sił i zdrowia musi tkwić we mnie,—myślałem,—skoro, pomimo tylu furjackich ataków głodu—chłodu i stałego braku dachu nad stroskaną wieczyscie głową — jeszcze kołaczę się po świecie!

Pokazuje się jednak że marna istota ludzka znacznie więcej może udźwignąć ciężaru niedoli, niżby się to pozornie zdawać mogło.

Oh, życie! jakże ty nieubłaganem, bezlitosnem potrafisz być dla tych, którzy pod znakiem cierpienia wypełzli na ten glob gorzkich łez i gnębiącej niedoli!

A przytem czemuż tak niesprawiedliwy i ty—fatalistyczny losie,—rządzący wszechkapryśnie rzuconą na twoją molochową paszczę, istotę ludzką.

Wchłaniając w swoje zawrotne wiry skażników twoich, pograżasz ich jak męłstrom na dnie niezbadanych przeznaczeń.

A jednak, nie dla wszystkich zdajesz się być okrutnym. O, nie!...

Jednemu dajesz bowiem stawę sytą, a wyszukaną, od nadmiaru której, przeładowany srodze żołądek zda się że pęknie na dwoje; drugiego zaś ciskasz na pastwę głodu, wysysającego ostatek sił żywotnych.

Jednego darzysz przewspaniałą szatą, chroniącą wypieszczone członki od najłżejszego bodaj podmuchu; drugiemu odmawiasz niezbędnego łachmana, koszułi na pochylony grzbiet delikwenta, przeznaczając go na ucztę wszów parzących spryszczone ciało.

Jednemu sypiesz przepełnionemi garściami złoto, zachęcając kusząco do zaspokojenia wyszukanych pożądań odżywionego ciała; drugiemu odmawiasz prawa do zwykłego rozwoju...

Jednego upieszczasz aksamitną dłonią rozmarzonej kochanki; drugiego zostawiasz w głuchej zgryzocie, przeżerającej pierś wezbraną bólem.

I gdyby-ż to ci, opływający we wszelakie nieomal dary twoje,—zbrodniarzu,—byli istotnie ludźmi prawymi, o szlachetnym wyrazie fizjognomji świetlanych duchów;—inni zaś,—łaknący ziemskiego dobra, — mieli należeć

do nikczemnego grona małych moralnych; — wówczas szczodre obdarowanie pierwszych miałoby za sobą jeszcze jakieś bodaj pozory usprawiedliwienia; poniewierka zaś drugich dawałaby się tłómaczyć karą za ich znikczemnienie!, lecz tak — niestety — nie bywa!

Nierzadko sprytny szalbierz, — układny rzezimieszek, — chytry lichwiarz, — krzywdziiciel bezbronnych, tyran, przywłaszczający sobie szumne miano chlebobdawcy, krwawiący serca, tłumiący poczucie godności ludzkiej, — samozwańczy namiestnik, obłudny pacholek czarnej władzy, gadzinowy owczarz, korzystający skwapliwie z chwili splonionego wyszeptania tajnych myśli niewinnego dziewictwa, aby je splugawić w zamtuzowem cieple własnej łóżnicy, — ci oto rosną w potęgę — rozwyrzając swoje wilcze apetyty do absurdu!, gdy pozbawione niezbędnej pokazuje się arogancji i czelności jednostki bywają sterane jako owe woły, upadające pod brzemieniem bata.

Ach — życie!

Gdzież błady niewolniku, pokrzywdzony wasalu, są twoje przynależne chwile szczęścia? Gdzie?!...

Dni twoje składają się z całego szeregu drobnych, częstokroć niedostrzegalnych prawie dla zbyt trzeźwego oka przykrości.

Odpierasz je, skazańcze, siłą zahartowanego w cierpieniu ducha.

Przychodzi wszakże jedno — za niem drugie i dziesiąte cierpienie, więc też po całym szeregu nikłych nawet z pozoru niepowodzeń i zawodów, spragniona dusza twoja mimowoli wyczekuje pogodniejszej nieco chwili wytchnienia.

Aleś ty już przyszedł na świat osądzony.

I po dziesiątym smutku zwała się na dyszącą pierś twoją stokroć od tamtych cięższy głąz zgryzoty duchowej; ale pociesz się wymagający synu tem bodaj, że granit zbyt ciężki zwał się dla tego tylko jedynie, aby następne znowu strapienia zdawały ci się lżejszemi i znośniejszemi do przetrwania...

I tak płyną minuty — godziny — dnie i lata, pełne krzyczących bólów; aż wreszcie w nędzne progi domostwa twojego, męczenniku, wnijdzie wybawczyni i odkupicielka żywota — Śmierć!.....

Idąc zwolna krokiem znużonym przez mroczne ulice miasta, wtuliłem wychudłą i przeziębioną szyję w podniesiony do góry kołnierz wytartej marynarki, — ręce wcisnąłem w kieszenie podartych spodni i tak, ciąpiąc z ulicy na ulicę, z zaułka w zaułek, oczekiwałem tylko chwili, gdy dobrzy ludzie otworzą drzwi pierwszego lepszego kościoła!

Słyszałem kiedyś, że niektóre świątynie warszawskie w czasie silniejszych chłódów bywają ogrzewane.

Ponieważ zaś dzisiejsza noc należy do wyjątkowo zimnych, może więc przyjdzie im ochota napalenia w piecach! Jakżeby to dobrze było!

I przypomniałem też sobie, że do kategorii świątyń opalanych należy zdaje się kościół Wizytkowski, do niego zatem skierowałem swoje powolne mdlejące kroki.

Przesuwając się jak cień męczącego smutku przez ulicę Chmielną, nieopodal Brackiej, spostrzegłem idącą naprzeciwko mnie młodzieńką dziewczynę, ustrojoną w krzyczący kapelusz i papuzie jakieś okrycie.

Nieznamąca, zbliżywszy się tuż do mnie zdawała się w pierwszej chwili zdradzać nieprzepartą chęć uczynienia mi znanej propozycji..., spostrzegłszy snadź jednak zbrukaną odzież nocnego włóczęgi, skrzyła się raptem jak fryga na pięcie, aż krótka spódnica około nóg się jej zawinęła — i — jak szybko podesała do mnie, tak też jeszcze prędzej sfrunęła w przeciwną stronę ulicy.

Usłyszałem jedynie głuche postukiwanie obcasów, jakby uciekającej przed moim wzrokiem dziewczyny.

Coś mnie jednak tknęło... Umalowana

twarzyczka młodej pyfki nie zdawała mi się być całkowicie obcą...

Byłem tego następnie nieomal pewny, że gdyby pozwoliła spojrzeć sobie uważniej nieco w podkreślone oczy—wyczytałbym w nich niechybnie starą jakąś, zażyłą bodaj nawet znajomość...

Bijąc się z podobnemi myślami, doszedłem wreszcie do jednej z latarni, pod którą niespodzianie zatrzymała się młoda prostytutka, i oto równocześnie prawie...

— ... Hela!... Leon!... — rozległy się wśród nocnej ciszy dwa urywane wykrzykniki...

Pierwszą moją myślą było — uciekać co nog jeno starczy przed siebie! Wstyd mnie bowiem ogarnął z powodu mojego wyglądu, mogącego jedynie budzić odrazę, a przytem niepomahowany jakiś lęk chwycił mnie za grdykę.

Przed wystraszonemi oczyma mojemu stało czarne widmo, ukazując mi biedną ofiarę mojej zbrodniczej wprost lekkomyślności...

— A ty co tu robisz?... Leon!.. — zapytała, ochłonawszy z pierwszego wrażenia.

— Co... — bąknąłem, zmieszany, — a no... nic...

Ale ty?... ty?!..

— A no niby jak widzisz... ja tak sobie od rożku do rożku i z powrotem...

Zal wielki padł mi na piersi, dławiąc głos w gardle.

Oh, tak — niestety! — nie trzeba było posiadać zbyt wiele przenikliwości, aby dokładnie widzieć, że młoda dziewczyna, — to dziecko jeszcze prawie — rzucona została na pastwę nocnej rozpusty.

— Ale co się to z tobą działo? — pytała szybko; chodziłam, szukałam... tam... wiesz — na czwartaku...

Wszystko napróżno! Ten baron, co to mnie wtedy tak ganiał... pamiętasz?... to ci już girami macha na prawo i lewo, — tabesu się nabawił przez te wyścigi z dziewczynami... ale niech go tam!.. Ale cóżes to ty, Leon, porabiał taki szmat czasu?... Nawet szwajcar nie wie co się z tobą stało!..

Leon... do cholery... gadaj-że! — zaśmiała się śmiechem, w który — oprócz szczerych jeszcze nut dziecięcej nieomal świeżości — wpływały się już wrzaskliwe dysonanse wyuzdania i tych specjalnych a znanych nawyków upadłych moralnie istot.

A gdym nie mógł się zdobyć na żadną odpowiedź, obrzuciła mnie nowym gradem pytań:

— Cóżes taki mortusowy?!.. A i futerał djabli wzięli!

Słuchaj-no, chłopie, przecie-ć to będzie

jakiś fuks, jeżeli ty nie dostaniesz kataru, albo innej jakiej ciężarnej słabości!

A obszedłszy mnie dokoła, wykrzyknęła:

O laboga—jak ty wyglądasz... Leon!..

Lecz tu się jej głos jakoś dziwnie załamał i znacznie już ciszej, z widocznym przytem wzruszeniem mówiła:

— Eh, to ja teraz dopiero widzę, żeś ty straszliwie biedny!..

O mój Boże! mój Boże! jakże mi cię żal serdecznie!!..

A pociągnawszy mnie za rękaw, z troskliwością godną szlachetnej kochanki, szepnęła:

— Chodź do mnie...

Czułem jednak że pójść tam w żaden sposób nie mogę i wreszcie nie powinienem, już bodaj dlatego tylko, że przyjęcie jakiegokolwiek pomocy, udzielonej chociażby tylko w formie gościny pod ciepłym dachem, w domu istoty kupczącej własnem ciałem, za którego wdzięki zapłacić biednemu dziewczęciu nie byłbym dzisiaj wstanie, nie zgadzało się z mojami pojęciami o honorze uczciwie myślącego człowieka.

Bo jeśli nieszczęsna niewolnica idealnego „porządku społecznego“ została już zmuszoną do upadającego duszę handlu wszystkim tem, czem wprowadzie inne (bezkarnie używające miana „uczciwych kobiet“...) a opływają-

ce w dostatki, nieraz dobrowolnie frymarczą; w takim razie tymbardziej nie mam prawa okradać ją z chwil, któreby pozwoliły jej zdobyć pieniądź niezbędny dla zaspokojenia głodu!..

Wreszcie gdybym nawet i wyzbył się wszelkich skrupułów moralnych, to i tak jeszcze nie zdobyłbym się na cywilną odwagę obdarowania kogoś robactwem...

To też miękkim ruchem wysunawszy rękaw marynarki z jej zziębniętych palców, cicho lecz dość stanowczo protestowałem:

— Nie... nie—dziękuję ci, Helu..., ale ja w żaden sposób nie mogę...

— Eh, tam znowu takie jakieś głupie przekomarzanie się! — przerwała. — Tu niema żadnych: — nie mogę!.. Ja nie chcę zresztą żebyś mógł, tylko żebyś się wyspał w ciepłej pościeli, a o reszcie to tam pogadamy w domu.

— Ależ — nie pójde! daję ci na to najświętsze słowo!...

— Leon!.. — tupnęła nogą przy tym wykrzykniku, — nie bądź-że warjat!.. Cóż to znów za jakieś idjotyczne certowania!

Dlaczego nie chcesz iść? Powiedz!

A gdy znów zaskoczony pytaniem, stałem bezradny i sromotnie zafrasowany, bez słowa nawet usprawiedliwienia niepojętego zdaje się dla niej i niemądrego przedewszystkiem upo-

ru,—Hela—nic już nie mówiąc, ujęła mnie silniej pod ramię i prowadzić poczęła w stronę swojego mieszkania.

Przez czas jeszcze jakiś usuwałem trzymającą mnie rękę, a zatrzymując się na trotuarze, próbowałem bronić się od tej wizyty, lecz stanowczość dziewczyny, wkońcu gorące jej nalegania i ostrzeżenia, że bardzo łatwo możemy się narazić na aresztowanie o tak późnej porze nocy, przekonały mnie nieco i bez wszelkiego już oporu poszedłem z nią w stronę Marszałkowskiej ulicy.

Hela mieszkała z drugą takąż samą jak i ona wykolejoną istotą, tylko że tamta przez dłuższe znacznie lata ciągnęła już tę taczkę sponiewierania wszystkich praw człowieka.

Mańka Bełkot była od niej o wiele starszą i doświadczeńszą w kierunku prowadzenia wzgardzonego procederu.

Zajmowały nieopodal Zielnej dwa aż do śmieszności małeńkie pokoiczki, znajdujące się w mansardach na trzecim piętrze brudnej jakiejś budy wielkomiejskiej.

W każdej z niskich stancyjek stało pod ścianą sporych rozmiarów łóżko blaszane, z nikłowemi gałami, strojne przytem w pejzarsz „popołniony“ ręką zwyrodniałego mordercy piękna.

Drugie miejsce zajmowały umywalki żelazne z dużemi miskami, na dnie których stały

dzbanki, napełnione wodą... Ściany pstrzyły się formalnie od bajecznie kolorowych wachlarzy i wachlarzyków, z pomiędzy których wyzierało mnóstwo fotografii. Dominowały mundury, nie brakło wszakże i cywilusów o fizjognomiach mniej nawet niż ciekawych.

W pierwszej ciupie dopełniał niezbędnego umeblowania parawan, oblepiony tapetą, osłaniający w pewnych krytycznych chwilach łóżko pani Marji Bełkot... Pozatem we wnękach małych okienek wisiały dyskretne zazdrostki...

W zakamarku Heli ciepło było i dostatecznie duszno, a nadewszystko łóżko jej pojętnie wabiło większością prawie że czystej pościeli.

Od ostatniego spotkania naszego zmieniła się nieco. Polyskujące dawniej przedziwnym tonem dojrzałych kłósów, złociste jej sploty, nie wiadomo czemu,—ale utlenione obecnie na spłowieły kolor lnu, nadawały fizjonomii wyraz prawie że wyzywający. Usta, niegdyś podobne do dwóch pąsowych płatków róży spłonionej, nosiły na sobie widoczne ślady karmionowej pomadki.

Znużona nieco twarz młodziutkiej prostytutki, podmalowana niezręcznie, jak również brwi i oczy, podczernione kredką, wszystko to budziło przykre refleksje.

Jedynie tylko blask dużych czarnych jak otchłań tajemna oczu pozornie nic zda się nie

stracił na swojej sile; po baczniejszej wszakże obserwacji niezbyt trudno dawało się zauważyć, iż pogodny i słoneczny czar pierwszej młodości, gasiły już zwolna męczące podniecie nocnego życia..., lecz zato dwa rzędy zębów białych jak alabaster, równych jako misternie nanizane sznurki najcudniejszych pereł, oparły się stanowczo jakiegokolwiekbądź zmianie.

Pomimo zatem pewnego stuszowania pojętnych form dziewiczych, Hela śmiało mogłaby jeszcze uchodzić za pierwszorzędną piękność; ale ona sama zdawała się jakby świadomie osłabiać dodatnie wrażenia, a przysięgając jej kapelusze, ze skandalicznym piórem i nieestetyczną odzież znacznie obniżały urok abnegacyjnej bogińki. Korzystając z całonocnej niebytności współlokatorki swojej, Hela skwapliwie zakrzętała się około przygotowań kąpielowych, poczem pozostawiając mnie samego w pierwszym pokoiku, kazała mi się uczciwie wyszorować w gorącej wodzie. Po skutecznieniu niezbędnej pono w podobnym wypadku czynności, musiałem się zgodzić na włożenie na siebie świeżej bielizny męskiej, znajdującej się dziwnym zbiegiem okoliczności w kuferku troskliwej o moją czystość dziewczyny... Odzież przesiąkniętą wilgocią i koszulę rojącą się od robactwa wcisnąłem w kąt wskazanej mi przez Helę maleńkiej komóreczki; rozczochraną czu-

pryję doprowadziłem do porządku za pomocą gęstego grzebienia, — poczem, ułożony w miękkiej pościeli, mogłem już dowoli rozkoszować się ciepłem rozlewającym się łagodnie po wszystkich członkach zziębniętego ciała.

Hela tymczasem przygotowywała magnackie zaiste przyjęcie. To też wkrótce na stole zastawionym apetycznymi przekąskami znalazła się spora karafeczka czerwonej jak krew zdrowej dziewczki wódki. W głębi na oknie szumiała maszynka, zapach zaś gorącej herbaty i podniecający aromat rumu, oszołomiały poprostu zmysły moje. Hela, przysunawszy stół tuż do samego łóżka, zachęcała do jada.

Nie dawszy się dwa razy prosić, wydałem walną bitwę przekąskom i trunkom. Najbardziej pastwiłem się na świeżutkiej jak malina szynce, której spalażowałem bezwzględnie conajmniej z pół funta; następnie, rozgrzany trunkami i gorącą herbatą z arakiem, w jednej zda się precudownej chwili odzyskałem zdrowie i siły młodego gryfa... Hela, patrząc roziskrzonym wzrokiem na mnie, zdawała się być bardzo z takiego obrotu rzeczy zadowolona... Po skończonej uczcie rozebrana do koszuli, w szale rozkosznego upojenia padła mi na piersi, okrywając twarz moją gorącymi pocałunkami.

Czesław Ostrowski

Pomimo całej sympatji i silnie rozbudzonych uczuć wdzięczności, czując w tej chwili na ustach moich silnie karminowane wargi dziewczęcia, zlekka odsunąłem jej rozpaloną głowę.

— Heluś... mam do ciebie prośbę... szepnąłem — zrobisz?..

— Leon... zrobię, co tylko chcesz, zrobię... co tylko chcesz!...

— Nie o to idzie... tylko... widzisz... zetrzyj ten przebrzydły karmin z ust... To takie jakieś nieprzyjemne!..

Dziewczyna wybuchnęła głośnym śmiechem i w kilka już chwil potem powróciła z sąsiedniej izdebki ze świeżym zapachem mydła wrzosowego, a tuląc się do mnie miłośnie, drżącym od szczerego wzruszenia głosem szeptała.

— No, masz... brzydału... jestem umyta... Nie wierzysz?... I z temi słowy błyskawicznym ruchem zróżowionych rąk, zrzucawszy z siebie koszulę, wpełzła cichutko pod kołdrę...

A później gorącemi jak ogień wargami wpiła się w spragnione usta moje, — oplotła mi około szyi palące ramiona rozpętanej w ogniu bachicznym kochanki i tak zwarta oszalałym uciskiem ze mną, odrywała na króciółkie tyl-

ko chwile wilgotne usta, aby przez zaciśnięte w konwulsyjnem zacięciu zęby syczeć:

— Ach... jej...

Leon!... toż to jest coś boskiego!!...

I z zamkniętymi nawpół oczyma, z włosami rozsypanemi w bujnej kaskadzie po całej poduszce, z rozchyłonemi od nadmiaru rozkoszy ustami, spocona i dysząca, legła wreszcie przy mnie w lubem omdleniu...

A potem już gwarzyliśmy długo w noc pełną zmysłowych roztoczy jak miłosne dwa duchy, co się po świetle zbyt długo szukały, aby wreszcie przeżyć z sobą bodaj jedną chwilę nieklamane szczęścia...

Nie wiem czy to z powodu sromotnych przejść moralnych, — czy też — fizycznych cierpień i otrzymywanych w ostatnich zwłaszcza czasach gwałtownych ciosów, z błyskawiczną szybkością spadających na moje wątłe barki, lub też być może z braku zdrowia i osłabienia nerwów, — dość że z apatją, godną zaiste szlachetniejszej nieco sprawy, poddawałem się jakoś bez głośniejszych szemrań pod absolutną komendę młodzietkiej dziewczyny, posiadającej obecnie nade mną jakąś nieopisaną władzę, sygnalizującą moją osłabioną wolę.

Hela wynajęła wolną akurat facjatę w sąsiedniej kamienicy, — rozstawiła nieco wziętych na lichwiarską wypłatę najniezbędniej-

szych gratów i umieściwszy mnie w nowem locum, z poświęceniem szczerze kochającej kobiety i najczulszą troskliwością oddała się całkowicie dziełu wyrwania mnie z zazdrosnych uścisków nędzy.

Z jakich pozatem jeszcze źródeł poczęła czerpać dość stosunkowo znaczne fundusze, trudno mi się było dowiedzieć, bowiem oplakane życie przeciętnej prostytutki nie mogło chyba zapewnić nienajgorszych dochodów, wystarczających na dostatnie nieomal opędzanie codziennych potrzeb dwojga ludzi. A wreszcie, co prawda to i nie dociekałem tak znów zanadto serjo, ani też nazbyt szczerze do jądra finansowej tajemnicy wiernej mojej kochanki.

Jakiś szelmoski leń umysłowy, otuliwszy uśpioną duszę moją jedwabną dłonią cichej pieczy, zabijał we mnie najelementarniejsze poczucia obowiązków człowieka honoru i wogóle stłumił w schorzałym mózgu wszelki samokrytycyzm czynów, niezbędny w życiu każdej bez wyjątku jednostki.

Niedługo jednakże trwał stan takiej abnegacji duchowej i upadku sił intelektualnych.

Powoli zacząłem się otrząsać z narzuconej mi siłą niemiłych wydarzeń opieki.

Jakiś tajemny głos począł mi wszeptywać w uszy pełne życzliwości przestrogi, przepo-

wiadając ponurą i czarną jak noc otuloną ołowiem chmur jesiennych przyszość.

Cienka i czysta bielizka zda się gorzej paliła skórę moją, aniżeli wczorajsza, pełna rojącego się robactwa koszula. Wykwintny garnitur szewiotowy napawał mnie nieraz takim jakimś bezbrzeżnym smutkiem, iż w chwilach reakcji wewnętrznej rad byłbym — zerwawszy z siebie upokarzające szaty — wdziac na grzbiet łachmany, porzucone w kącie ciemnego przygórka.

Wprawione u dentysty zęby częstokroć pragnąłem wypluć z jamy ustnej i cisnąć zdaleka od siebie; słowem cierpiałem prawdziwe męki, z których w dodatku nie mogłem się wyskarżyć rzetelnie przed nikim. Hela naturalnie, nie dzielając ani odrobiny moich skrupułów w tym względzie, wpadała w dodatku w gniew nieklamany, ilekroć razy próbowałem zlekka bodajby napomknąć o moim niedwuznacznym wcale stosunku materialnym, jako też i o smutnej pozycji społecznej, zajmowanej obecnie przeze mnie.

A mnie serce wreszcie poczynalo boleć co raz dokuczliwiej. Dusza nadobrze zaczęła się napełniać krwawym wyrzutem sumienia i posmutniałe oczy coraz częściej osłaniało łzawe rozmyślanie nad tak wstrętnym upadkiem.

Hela — skarżące się usta zamykała co raz płomienniejszymi pocałunkami, darząc roz-

palonem w ogniu namiętności drgającym pożądliwie ciałem rozkochanej dziewczyny z taką jakąś przerafinowaną do obłędu płciowego finezją, iż buntownicze myśli zwracały się zwolna w inną stronę, aż wreszcie na czas pewien zanikało uczucie wstydu i ambicji, wsiąkając w mgłę chwilowego zapomnienia.

I płynęły tak godziny walki wewnętrznej— tłumionych sztucznem ukojeniem porywów; co raz wszakże słabszy wywierały na mnie skutek perswazje, gniewy i nieklamane dąsy kochanki.

Kropla po kropli spadały na rozognioną czaszkę myśli zimne jak lód, aż wreszcie — wyżłobiwszy otwór dostateczny, wpłynęły pomiędzy zwoje mózgowe, rozsadzając je przeżajającym wyrzutem sumienia.

I porwała mnie znowu rozpacz, której wielkość porównać bym chyba mógł do świeżego upadku szlachetnych ambicji i szczerych do niedawna, a splugawionych dzisiaj przekonań moich o honorze uczciwego człowieka. A Hela oddawała mi się wprost bezprzytomnie. Pytana skąd czerpie tak olbrzymią moc podniety cielesnej,—dziwna rzecz, — odpowiadała, — boć rzeczywiście czego jak czego, ale tej jednej rzeczy zdawałoby się że nie powinienam być spragniona...

Mężczyźni wchodzą do mnie jak się wchodzi przypuśćmy do pierwszej lepszej knajpy:

Tak tu jak i tam płacą za kawał mięsa, — ale jeżeli myślisz że bodaj jeden jedyny nerw zadrga mi w chwilach sprzedawania swojego towaru, to się grubo mylisz. Ja w takich chwilach, — wierzaj mi, Leon, — jestem, jakby ci tu wytłumaczyć, — no, poprostu — bezduszną bryłą gliny, rzucona pod pijanego najczęściej bydlaka.

Czasem — przyznam się — ktoś tam może i potrafi zyskać coś w rodzaju przelotnej sympatji. Wtedy obdarza go się cokolwiek cieplejszym uściskiem..., ale to się tak rzadko zdarza, że i mówić o tem nie warto. Najczęściej wstręt przejmuję mnie tak wielki, że liczę z upragnieniem chwile, aby się tylko pozbyć obrzydliwego samca.

A gdy już wyjdzie taki sympatyczny „gość“, to wtedy dopiero jestem prawie że szczęśliwa.

Szkoda tylko że to „szczęście“ trwa tak krótko!

Są noce w czasie których muszę przyjąć kilku, a czasem i kilkunastu pijanych gości!

Oj żebyś ty wiedział, Leon, jakie to jest straszne takie życie! jakie to straszne!

Dolicz do tego — w dodatku całą masę innych rozkoszy: ot, choćby na przykład — rewizje sanitarne w komitecie, napady alfonsów, opłacanie się policyi, i wiele, wiele innych

jeszcze przyjemności. Po chwili wszakże milczenia, dorzuciła z głębokim westchnieniem:

A przytem już trzy razy byłam w szpitalu!...

Widząc jednak przestraszoną minę moją, szybko się poprawiła:

Oh nie bójże się, Leon; ty głupi, czyż ja bym tobie coś złego zrobiła! Teraz jestem chwała Bogu zdrowa!.. Nie bój się!...

A ze mną masz taką przyjemność? — pytałem przejęty do żywego jej opowiadaniem.

Ach, Leon, Leon, gdy jestem z tobą, wtedy coś się ze mną naraz robi niepojętego! Prostu doznaję takiej jakiejś nieopisanej rozkoszy, że wierzyć mi się wprost nie chce że to jestem ja, tak zwykle aż do szpiku здаwałoby się znieczulona istota.

Bo widzisz, Leon, ty to co innego — ty od pierwszego wejrzenia wpadłeś mi dziwnie w oko. Wreszcie byłeś pierwszy... Uległam ci dobrowolnie, gdy od innego uciekłam przecież jak opętana!.. Pamiętasz?..

A powtóre to są — uważasz — rzeczy wprost nieuchwytnie, bo-ć — muszę ci się szczerze przyznać — że w ostatnich czasach już zapomniałam powoli o tobie i przy spotkaniu chciałam udać nawet że cię nie znam wcale, ale zaciekawiona twoim nędznym wyglądem, pragnęłam się czegoś dowiedzieć o tobie, a później już to mnie porwała litość więc wzięłam cię do siebie, uważasz Leon, przez

litość tylko!, no a z tej litości — patrz co to się teraz zrobiło.

I padła z — jękiem na moje piersi.

Leon... Leon... — łkała — nie rzucaj mnie! Ja sobie gotowa-m coś złego zrobić., bo widzisz ja cię bardzo, ale to bardzo kocham!! kocham cię nad życie!!..

— No, toż przecież nie rzucam cię..., — zapewniałem ją, ale widocznie słowa powyższe były wypowiedziane niezbyt przekonująco, bowiem Hela, obrzuciwszy mnie niespokojnem wejrzeniem, nic już nie odpowiedziałszy, parę razy tylko ciężko westchnęła.

Żal mi się robiło dziewczyny.

— No, widzisz, Hela, — począłem pocieszać, — jabym tak rad był chociażby i przez całe życie być razem z tobą, boś ty pocziwa, dobra jak nikt na świecie, ale...

Tu, nie mogąc się jednakże wstrzymać dłużej, nagle krzyknąłem: Ależ ja nie mogę przecie być u ciebie na utrzymaniu!

Dziewczyna, przełęczniona, chwyciła mnie za obiedwie ręce.

— Ejże, Leon... nie gadaj tak, bo mnie to boli!

Przecież ty nie jesteś na żadnem utrzymaniu!.. Także gadanie!.. A któż to ci powiedział?!.

— Jakto — kto! — wołałem, podrażniony srodze; — a któż to płaci za mój lokal, kto

mi sprawia ubranie, — kto żreć daje!.. kto!.. kto?!..

— Oj — jej, wielkie tam znów opłacanie! cały apartament — siedm rubli nā miesiąc! — okropny rarytas! Myślałby kto że nie wiem co!., — bagatalizowała Hela.

Dostaniesz posadę, to i oddasz tę parę marnych rubli. Jest też o co robić piekło! phi!.. także też i co!!

Zresztą pożyczać, a brać to chyba jeszcze różnica?, a ty tylko pożyczasz! — paplała z łaszącym się uśmiechem przymilenia. A potem jeszcze, strojąc się w togę sztucznej a napuszonej powagi, dorzuciła.

Jakbyś nie chciał oddać, to Hela zaraz kropi do sądu aż będzie trzeszczeć w niebie! a potem znów Hela przyśle komorniarza — zaaresztuje pana Leona i ściągnie do ciupsk; tylko że nie do takiej zimnej, kamiennej kozy, a schowa wiesz gdzie?...

— Nie, nie wiem.

Pod ciepłą pierzynkę!..

A widząc że chce, jej widocznie przerwać, — naraz pochwyciła mnie niespodzianie wpół i zanim zdołałem się spostrzedz, — padła wraz ze mną na łóżko.

Poddając się biernie przemocy rozkochanej do szaleństwa dziewczyny, począłem w dodatku jeszcze drżącymi rękami pomagać jej

w rozbieraniu się; ona zaś równocześnie ściągała ze mnie ubranie.

Haftki jedwabnego stanika z tępym łopotem pękały. Sznurowadła gorsetu, zerwane nagle gorączkowem szarpnięciem moich rąk, z głuchym traskiem puściły, odsłaniając piers pełną i białą, bezlitośnie zaś zmięta spódnica i halka, jak bezwartościowe łachmany legły pod stojącym tuż przy łóżku krzesłem.

Nie lepszemu pono losowi uległa i moja nieszczęsna garderoba, Hela bowiem z gorącym rumieńcem na namiętnie drgającej twarzy, z oczami ciskającymi błyski niepohamowanej już żadną siłą żądy oddania się, — szarpiąc na mnie resztki bielizny, szeptała przytłumionym jakimś zgrzytem zębów.

— Prędej!.. do djabła... prędej!...

Za chwilę stos pomieszanej odzieży i bielizny zaścielał całą podłogę, my zaś bezprzytomni od widoku własnej nagości, w obłędem jakimś zda się, a blizkiem wybuchowi szaleństwa splątaniu dwóch ziejących żarem cielsk — oddaliśmy się rozkoszy, aż krwawy odblask chlusnął nam do oczu, a na wpół rozwarte wargi wypełził nieuchwytny dla ucha belkot...

Porywy wszakże młodzieńczego szału szybko przemijały, pozostawiając po sobie coraz częściej trujący niesmak upokorzenia.

W takich to momentach psychofizjologicznego nastroju ducha badałem sam siebie, zadając niepokojące pytania: czyliż powinienem dłużej pędzić dni życia w nędznym upodleniu i ciężkiej sromocie.

Wtedy głos nieuśpionego jeszcze na szczęście sumienia dawał niedwuznaczne bynajmniej odpowiedzi. Słyszałem więc jeden i ten sam zazwyczaj jednak brzmiący wyrok najsurowszego potępienia:

„Biada mężczyźnie wyludzającemu żebraczę daniny od nieszczęśliwej ofiary!..

„Przekleństwo procederzyscie, pławiącemu się w brudach wstrętnego szantażu!...

„Hańba bezwstydnikowi, żyjącemu z mętnych dochodów biednej nierządniczy!...

„Potrzykroć — hańba!“

I gdy ten głos straszliwy poczynął huczeć wewnątrz zbolącej duszy, — rwałem sobie włosy z głowy, — tarzałem się, jęcząc boleśnie wśród rozkopanej pościeli, lub wtuliwszy czoło w poduszki, dygotałem wśród wybuchów niepohamowanego płaczu, ci mi piers na krwawe strzępy rozrywać się zdawał. A mimo to wszystko nie umiałem zdobyć się na jakiś krok stanowczy, mogący przybliżyć niezbędną chwilę zerwania.

Nie tylko bowiem szło już w rezultacie o mnie samego, lecz szczerze żał mi było dziewczyny. Czułem to aż nadto jak mnie ko-

cha i widziałem co się z nią dzieje, gdy jeno czasem spostrzeże chociażby najsłabszy odciśnięcie smutku, osłaniający moje oczy.

Z początku trudno mi było uwierzyć w bezinteresowność publicznej dziewczyny, wkrótce się wszakże przekonałem iż miłość jej to był płomienny kwiat wyrosły na tajemniczym bagnisku.

Widząc coraz częściej rysy smutnej zadumy na posępnym czole, pocieszała mnie w miarę sił i zdolności krasomowczych, przedstawiając w naiwnych słowach wrzekomą bezzasadność obaw i skrupułów moich.

Intuicją rozkochanej do szaleństwa kobiety, przeczuwając nieraz moje znużenie fizyczne, nie powtarzała nawet zmysłowych prób wciągania mnie w zawrotne wiry namiętnych furjactw... Odchodziła wtedy cicha i pokorna jak trusia, jakby zda się w obawie uczynienia mi jakiegokolwiek bądź przykrości przez zbyt brutalne narzucanie łaknącego zmysłowych upojień ciała...

Pomimo to wszystko za cenę bodaj życia własnego postanowiłem za jednym bezwzględnym zamachem zwalić wszystkie mosty za sobą, niepodobieństwem mi bowiem było brnąć dalej wśród gnębiącego upodlenia.

W pierwszej chwili chciałem napisać do Heli list obszerny, sposób ten wszakże, ze względu na słabą zdaje się wprawę jej w od-

czytywaniu pisma ręcznego, uznałem za chybający cel.

Należało zatem chwycić się środka praktyczniejszego, jakkolwiek — jak dla mnie przynajmniej — niezmiernie przykrego.

Pozostała więc jedynie tylko jasna, treściwa rozmowa.

Okazja ku przeprowadzeniu powyższego planu nie dała zbyt długo czekać na siebie:

Pewnego popołudnia, gdy Hela dyskretnym ruchem podsunęła nieśmiało złotą monetę pod leżącą na stole papierośnicę, chwyciłem ją zlekka za rękę.

Dziewczę spojrzało na mnie wzrokiem pełnym zaniepokojenia.

— Tak jest... Heluś... nie mylisz się, — ja już dzisiaj nie wezmę...

— Jakto?... dla czego?... przecież ze mną nie potrzebujesz się chyba krępować!, a wreszcie sam kiedyś przyznałeś mi że to tylko najzwyklejsze pożyczki.

— Nie, nie..., oponowałem stanowczo, podkreślając przytem dobitnie wyrazy.

To nie żadne pożyczki, to jest najnikczemniejszy wyzysk i ja tego już dłużej zcierpieć nie mogę! w żaden sposób nie mogę! A wciśkając w jej kurczowo zaciśniętą dłoń złotą monetę, nalegałem:

Weź, Heluta, — weź z powrotem, moja droga!.. moja jedyna!.. proszę cię!.. Zre-

szta — nie chcesz nie — bierz, — ale daję ci najświętsze słowo honoru, że tych pieniędzy nawet nie ruszę!

— Co się to stało? — pytała ze wzrastającym zdumieniem. Taki byłeś dobry!.. Czy cię kto zbuntował, czy co?!

— Trudno, Heluś, musisz to zrozumieć że ciągnąć tak stale od ciebie ostatni grosz, na to jedynie aby — nic nie robiąc — żyć sobie jak jakiś nicpoń — leniwie a wygodnie, toż to chyba podłość nad podłościami! a jeszcze w dodatku, gdy sobie uprzytomnię ilu to tych swoich tak zwanych gości musisz obsłużyć, aby dla mnie nie zabrakło pieniędzy, to dusza mi się poprostu nicuje i bebechy przewracają ze wstytu i upokorzenia!

Dziewczyna naraz zlekka jakoś poczerwieniała; po chwili wszakże, odzyskawszy nieco pewności, szepnęła:

— Ja teraz mniej nawet przyjmuję niż przedtem, ale jeżeli jesteś zazdrosny, to ci powiem całą golusienką prawdę. Jak Boga kocham że powiem...

— Przecież same gołąbki nie fruną do gąbki—zauważyłem, patrząc z litościwą wyrozumiałością w jej czarne przepaściste oczy.

— Same nie idą, to prawda — odparła, — ale się je zręcznie z klatek wyławia...

— Jakto niby?...

— Bardzo prostym sposobem.

— Nic nie rozumiem...

— A jednak to takie jasne! Oto uważasz — facet wstawiony, na pewniaka naprzykład nie wie rano ile miał wieczorem floty w woreczku...

Wary na mnie buchnęły, aż Hela rozwarła ze zdziwienia usta.

— Cóż tak patrzysz na mnie, jakbyś mnie chciał połknąć! zaśmiała się nieszczerze. — Nie ja — weźmie inna, — nie inna, no toć taki bydlak w knajpie przepijel, a lepiej chyba że biedna dziewczyna coś ma za swój bolesny proceder, niżby miał przechlać w szynku taki pierwszy lepszy drań.

— Bój się Boga! — Helu — zawołałem, zalamując rozpacznie ręce, aż w palcach trzasnęły, — toś ty do tego już doszła?!..

— Czego krzyczysz, Leon! a coż to znów takiego?!

— A więc ty kradniesz?! i to w dodatku dla mnie!.. dla mnie!... ach, to coś potwornego!!..

Dziewczyna na dźwięk tych słów trwożliwie obejrzała się za siebie, a potem już łagodnie kładąc mi jedną rękę na ramieniu, drugą gładząc po twarzy, z czułością mówiła:

— Dla mojego bóstwa jabym nie tylko ukradła: — jabym za jednym zamachem świat

cały zdruzgotała żeby to było w mojej mocy, abys ty jedynie był szczęśliwy!

Oh, jakże ja cię kocham! jak ja cię kocham, to przechodzi ludzkie pojęcie!!

I z nagłym wybuchem spazmatycznego szlochu, opłotłszy mi ręce około szyi i patrząc z bezgranicznym uwielbieniem w moje zasnucone oczy, łkała:

— Leon.., ty się nie gniewaj na mnie!.. Przebacz!.. przebacz... jedyny!..

Ja bardzobym chciała pracować uczciwie i źle nie robić, ale przecież jak się raz zostanie *taką*, to już inną być nie można! sami ludzie nie pozwolą!..

Świat dla mnie to już na cztery spusty zaryglowany!

Ja już mam na czole wypalone piętno: *publiczna*!..

A zresztą któżby uwierzył w szczerą chęć moją do pracy!

Ludzie to ode mnie stronią jak od zapowietrzonej! Ale przecież ty — to nie jakiś tam zwyczajny człowiek! ty nie powinienes mną gardzić i brzydzić się jak parszywą owcą, bo-
daj już tylko dla tego, że cię kocham nad wszystko na świecie! ponad nędzne, krwawe życie moje!!.

Ujawszy jej rozpalone skronie w obie ręce i patrząc w otchłanne oczy rozmiłowane-
go dziewczęcia, jak mogłem i umiałem wedle

sił moich i zdolności krasomówczych starałem się ją pocieszać, lecz Hela nie zdawała się być słowami moimi uspokojoną, gdyż po pewnej chwili przerwała:

— Ty mi nie mów, Leon, ty mi nie mów! ja wiem wszystko...

Ależ, Helu, co ty tam wiesz!.. zdaje ci się — nic więcej.

— A tak, tak, zdaje się!.. I z głębokiem westchnieniem dorzuciła: Zdaje mi się! ale — niestety — dobrze mi się zdaje...

— Męczysz tylko siebie i mnie niepotrzebnie wcale.

Dziewczyna nagle wybuchnęła:

— Ty mnie chcesz rzucić!.. Ja wiem, wiem, wiem!

— Któż ci to powiedział?

— Twoje oczy mi to mówią! twoje usta! twoja twarz zasmucona, — wszystko, wszystko mi mówi!

A gdym milczał złowrogo, wówczas owionęła mnie podejrzliwem westchnieniem:

— Już zresztą teraz to — jestem zupełnie pewna...

Czując że sprzyjająca sposobność sama się jakoś szczęśliwie nawiązuje, postanowiłem bodajby kosztem śmiertelnego rozkrwawienia własnej duszy rozciąć wrzód bolesny, nurtujący wewnątrz zrozpaczonego serca; to też skwapliwie zawołałem:

— A gdyby i tak było, no toż chyba rzecz jasna jak słońce, że ja muszę iść wreszcie w świat! Trzeba-ż szukać uczciwej pracy, a tak znów żyć wieczyście z ciebie, to niegodziwość godna najzwyczajszego alfonsa!

Muszę cię wyrwać z tego bagniska. To mój obecnie najświętszy obowiązek!

Ty, co jesteś tak dobra i wyjątkowo rozsądna, Heluniu, powinnaś mnie odczuć i uszanować moje skrupuły.

Ona jednak, jakby nie słysząc słów moich, spytała:

— A gdybym ja cię tak naprzykład?... I zacięła się nagle.

— I cóżbyś ty Heluś mogła mi spociec?.. — nalegałem, party bezczelną jakąś ciekawością.

— A gdybym ja ci coś złego zrobiła?...

— Ha, może i byłbym za to wdzięczny... po śmierci.

— No, a gdybym tak na ten przykład sobie jaką krzywdę wyrządziła, czy także byłbyś wdzięczny?

— Nie zrobisz tego, Heluniu.

Lecz ona srodze się już zacięła:

— Zrobię! — zawołała z determinacją wzdławionym nieco głosem. Zrobię!

— Nie byłabyś taką...

— Będę!

— No, no, moja ty miluchna zbrodniarko,

idź teraz do domu, opamiętaj się nieco, a jak się uspokoisz zupełnie, wtedy już bardziej na chłodno pogadamy.

— Pieniędzy tych nie weźmiesz?

— Nie, Heluś, — nie wezmę.

— Stanowczo nie?

— Nie.

— Do widzenia!..

Chciałem ją ucałować na pożegnanie, lecz zrećźnie uchyliła ust i nagle wybiegła z pokoju.

Ryzykowny krok, zbyt co prawda śmiało postawiony na drodze stanowczego przerwania upokarzającej zależności materialnej, już tegoż samego wieczora rzucił mnie w spragnione uściski głodu.

Nie zwracając wszakże uwagi na pusty żołądek, postanowiłem za cenę bodajby najwyższych ofiar dzieła szlachetnego wyzwolenia doprowadzić do końca.

Nie wiedziałem jeszcze co prawda co mam robić z sobą i jak postępować w danej sytuacji; pomimo to wszystko byłem najmocniej przeświadczony, że smutna moja pozycja społeczna musi ulec radykalnej zmianie.

Dumania moje przerwało nagle dość energiczne pukanie do drzwi.

Poszedłem otworzyć.

W progu stał posłaniec, trzymając w rę-

ku niezbyt wielką paczkę, owiniętą w czystą białą serwetkę.

— Do kogo to? — zapytałem, mimowoli zasłaniając sobą wejście do pokoju.

— O, niechże też [pan puści. Ja tam nie mam czasu na gadanie! — rzekł podrażniony widocznie chwilowem wahaniem się mojem, — a odsunawszy mnie zlekka, lecz dość energicznie na stronę, postawił zawiniątko na stole.

Bezwiednym ruchem począłem przetrząsać puste kieszenie zakłada.

— Niech się pan nie fatyguje, — zaproponował — ja już zapłacony.

I z temi słowy opuścił progi mojego pokoju.

Niezmiernie zaintrygowany, szybko rozplątałem dwa supły zagadkowej przesyłki i w tejże samej chwili buchnęły na mnie oszalamiające opary gorącej jak łono dziewicze zupy pomidorowej, zapęnlającej emaljowaną menażkę.

W drugiej bliźniaczo podobnej miseczce, pławiła się rajska pieczeń wołowa, w niebiańskim sosie, którego odurzający zmysły zapach wiódł mnie w tym momencie na grzeszne zaiste pokuszenie.

Idąc za pierwszym popędem świeżo powziętego postanowienia, chciałem zawinąć przysłany przez Helę posiłek, i cały ten nabój

gastronomiczny odesłać z powrotem pod jej adresem; cóż z tego jednak, gdy posłańca już nie było, pieniędzy zaś na opłacenie drugiego, niestety — nie miałem.

Cicha a niebezpieczna walka przedłużała się niemożliwie, stwarzając sytuację, z której chwilami nie wiedziałem doprawdy jak wybrnąć, gdy oto genialna myśl jak błyskawica przemknęła mi przez głowę.

Rozpaczliwym ruchem drżących od wzruszenia rąk, zawiązawszy gwałtownie obiedwie, tak przedziwnie kuszące menażki, — jak strzała wybiegiem z komnaty.

Paczkę oddałem stróżowi sąsiedniego domu; wiedząc bowiem o tem, że zacny cerber sowsicie bywał prześlacany przez Helę i jej towarzyszkę, mogłem być spokojny, o to, że bez szemrania wręczy posyłkę według właściwego adresu.

Zaledwie wszakże zdążyłem powrócić do siebie, gdy nagle drzwi skrzypnęły i stanęła przede mną Hela.

Piers jej falowała wzruszeniem, usta drgały nerwowo, nienaturalny zaś blask oczu zdradzał silne zaniepokojenie.

Wbiegła tu do mnie okryta jedynie dużą wełnianą chustką, zarzuconą niedbale na plecy, a przypadłszy ku mnie gwałtownym, niepomowanym rzutem chwyciła mnie za rękę.

— Heluś, uspokój się... — począłem ją mi-

tygować, — jednak nie dała mi przyjść do słowa...

— Oj, nie!... Leon... nie!... to tak być w żaden sposób nie może...

Zabij!.. zamorduj! rób zresztą ze mną co chcesz, ale ja ci nie dam umrzeć z głodu!.. nie dam! psia krew — nie dam!.. żeby tam nie wiem co!!

Chcesz — powiadam — skop jak psa parzywego nogami, to i tak jeszcze ostatkiem sił przyczołgam ci się do nóg i całować te nogi będę! a tak i musisz, Leon, musisz, złotko moje jedyne, przyjąć od swojej Heli tę odrobinę pomocy!

I zanim się mogłem spostrzedz, rzuciła mi się do nóg, a uchwyciwszy je obiema rękami, tarzała się u stóp moich, pławiąc się w potokach łez serdecznych.

— Nie odtrącaj mnie! — szlochała — Leon, słyszysz — ja tego nie przeżyję!..

— Ależ... Helu!..

— Skarbie mój! zrobię co chcesz, co kazesz! tylko nie rzucaj swojej Heli, bo cię już nikt na świecie tak okropnie kochać nie będzie!...

— Heluś!.. Heluś!.. — uspokój się! do czegoż to podobne! — strofowałem ją łagodnie.

Boże drogi, co też ty robisz najlepszego!.. Zastanów się tylko

Zresztą—usiądź—o tak... Widzisz—ślicznie! Otóż i chusteczka do otarcia ocząt... Tak... o... dobrze., a teraz znów Leon przy tobie uklęknie... o widzisz — tak, koteczko... i cudownie prosić będzie Heli o jeden, jedy-ny uśmiezek.

A no... tak to rozumiem! uśmiechamy się, wprowadzie przez kryształowe łezki, ale i to już postęp nielada!

Uspokojona nieco nieudaną pieśczęcią, istotnie uśmiechnęła się przelotnie przez łzy rzewne, ale też prawie że jednocześnie linia ust dziewczęcia poczęła zarysowywać się w podkówkę i nowa fala płaczu spłynęła niepowstrzymaną kaskadą łez serdecznych.

— No i czegoż płaczesz? Heluta, czego, powiedz! — upominałem ją, nie wiedząc zaiste co robić w danym momencie.

— I ty się jeszcze pytasz... czego... ty?!

— Bo rzeczywiście nie masz znów tak wielkiego powodu do płaczu.

— A nie rzucisz mnie?..

Milczałem.

— Odpowiedz mi...

Głuche rozpaczne milczenie jedyną było odpowiedzią na lękliwe pytania.

— No to chociaż powiedz cośkolwiek, bo ja chyba zwaruję!

— Widzisz, Heluś, jak tylko otrzymam

jakąkolwiek bądź pracę, to wtedy wrócę, aby cię wyrwać z tego błota, ale teraz...

— Co? co teraz?!.. ciskała gorączkowym gradem pytań, rozszerzając mimowoli źrenice wylęknionych oczu.

Co teraz?!.

— Muszę iść...

— Dokąd?

— Szukać godziwego zarobku, bo tak żyć,—wprost niepodobienstwo! Zresztą ja tak w żaden żywy sposób żyć nie mogę!

Zrozum, to Heluta; przecież tyś wyjątkowo rozwinięta i taka nad podziw mądra dziewczyna!

— A dlaczegoś ty mnie tak okropnie rozkochał w sobie!..

— Czyż ja mogłem przypuszczać!..

— Tak, tak, — westchnęła — nie mogłeś! a teraz, gdy widzisz co się ze mną dzieje, to możesz tak z zimną krwią rzucić mnie jak psa!..

I zasłoniła twarz rękami.

— Heluś... pozwól mi...

Ale ona trzęsąc się cała jak w febrze, cicho powtarzała:

— Jak psa!.. jak tego psa, co się do nóg łąsi nielitościwemu panu...

Ha, to i kop mnie... kop ile ci się podobą!.. Wolno ci, boś ty mój nielitościwy pan.

Kop ile się zmieści! niechaj już raz człowieka cholera ciężka zabierze!..

I oderwawszy niespodzianie ręce od zapłakanej twarzy, dziwnie zdławionym głosem wołała:

— Jak-eś tylko mnie powiedział, to-m ja nie wiedziała w pierwszej chwili co robić: lałałam jak opętana po mieszkaniu, tłukłam łbem o ściany, rwałam włosy z głowy,—a potem... ale nie śmiej się ze mnie..., albo śmiej się zresztą ile tylko wlezie! śmiej...

— Helu, to nie jest śmieszne...

— Tak, tak, śmiej się z głupiej ladacznicy ulicznej,— śmiej!, bo-m ja później uklęka w oknie i patrząc w czarne, jakby kirem powleczone niebo, modliłam się do Boga, zupełnie jak porządna kobieta!.. A potem jeszcze to-m krzyżem leżała nie wiem sama jak długo!, a tam nade mną niebo było wciąż czarne i głuche jak sadze!..

I zaczęłam znów z niczego ni z owego kląć na czem świat stoil i sobaczyłam Bogu i ludziom!, a wszystko napróżno! napróżno!, bo to jest prawda, że nie ma sprawiedliwości na ziemi, ani w piekle, ani w niebie!, tylko trzeba być tutaj draniem i ostatnim szubrawcem, to ci dopiero sztydła golić będą na tym najlepszym ze światów!..

Naraz, zerwawszy się ze stolka, na któ-

rym siedziała, wielkimi krokami poczęła szybko przebiegać wszerek i wzdłuż poddasza.

Chustka jej spadła z ramion, włosy rozplotły się pysznie po białym karku dziewczyny, lecz ona na nic nie zwracając uwagi wprost już krzyczała:

— Ot, ścierwo sobacze — życie!.. życie!.. życie!..

A przystanąwszy nagle i zwracając ku mnie palające nietłumionym już ogniem czarne swoje wielkie oczy, matowym jakimś, a niesłyszczanym jeszcze przeze mnie tonem, zgrzytnęła:

— Słuchaj, Leon, na prochy twojej świętej matki, o której tyle od ciebie słyszałam, zaklinam cię: odpowiedz tylko na jedno pytanie:

— Owszem odpowiem szczerze.

— Kiedy ty mnie porzucisz?..

— Ach, Helu..., mówiłem ci już tyle razy...

— Nie kręć!.. nie kłam!.. ja nie wymagam, ale to jedne jedyne prawo mam i pytam cię—kiedy?..

— Jakże ja ci mogę wreszcie powieźć eć jeżeli jesteś tak okrutnie wzburzona?..

— Nie... broń Boże..., o — patrz, już jestem zupełnie pogodzona z losem, bo widzisz najbrutalniejsza prawda to jeszcze lepszą bywa od najgrzeczniejszego kłamstwa.

— No to powiem ci, Helu, tylko nie gniewaj się na mnie... proszę cię!..

— Broń Boże...

— Jutro, skoro świt wyjdę stąd i albo powrócę do ciebie uczciwym i szanowanym przez ludzi pracownikiem i wydobędę cię z tej kałuży, — albo padnę trupem wśród drogi!., a wtedy wspomnij sobie że i ja również kochałem cię szczerze!..

— A jeżeli dostaniesz pracę, to niby weźmiesz mnie do siebie... Czy tak?..

— Ależ tak, Helu.

— I poco właściwie ty byś mnie wziął pod swój dach?

Nie wiesz czasem?..

— Jakto — poco!..

— No tak — poco?!

— Zostaniesz moją, nazawsze...

— Niby — co? żoną?..

— Jak będziesz chciała, to i żoną.

Hela wybuchnęła sztucznym śmiechem.

— Nawet żoną! no, proszę! A czy ty wiesz że z tą chwilą, w której-bys się ze mną ożenił, — każdy chlebodawca wyrzuci cię ze swego interesu na czterdzieści cztery wiatry!

— Dla czego tak sądzisz?

— No, boć to skandal, herezja — żenić się z czarnoksiężniczką! więc choćby cię może wreszcie i nie wypędzili, to już na pewno nie

miałbyś ani chwili spokoju przed całą zgrają cnotliwców! Ho, ho, palcami-by cię wytykali gdziebys się tylko pokazał ze mną!..

O — patrzcie, to ten co wziął ślub w kościele... z ćmą nocną!.. A to jest ta, co to chodziła od rogu do rogu, pamiętasz? — na Chmielnej!..

A to-ć byłem u niej — mało z dziesięć razy! Rubłówka!..

I życie-by ci tak strasznie obrzydździ, że musiałbyś albo rzucić mnie poraz drugi, albo uciekać gdzieś na koniec świata!

Więc kwita z projektu.

— Eh, któż tak znów czarno na świat patrzy jak ty!

— A tak, czarno; cóż dziwnego że czarno, toć przecież mam czarną książkę, więc wszelka wielmożność jest dla mnie na cztery sztaby zamknięta.

A zresztą — niech ją najjaśniejszy piorun spali!

Ja — uważasz — prędzej zdechnę w szpitalu, niż na przyzwoitem łóżku. — Taki los wypadł nam...

I znów zaczęła śmiać się nienaturalnym chichotem, a gdym chciał ją ująć za rękę, wyrwała mi raptownie dłoń swoją i buchnęła znów w płacz tak przejmujący, że mi się serce z bólu wielkiego krajało.

Pomimo szarpiącego duszę wzburzenia, postanowiłem za wszelką cenę wytrwać, — więc gdy po pewnym czasie względnego uspokojenia ponowiła pytanie, — wyjaśniłem jej w obszernem a przekonywajacem przemówieniu konieczność takiego kroku, co ją — gwooli mojemu zdumieniu i szczerzej radości — zdawało się wreszcie prawie że przekonać całkowicie.

— Ha, jeśli już tak ma być, a nie inaczej, westchnęła z rezygnacją w głosie, — to trudno!, ale mam jedną prośbę do ciebie...

— Jeżeli tylko nie będzie to przechodziło sił moich...!

— Nietylko że nie, ale nawet wzmocnił twoje siły... — zapewniła ze smutnym uśmiechem na poblądłem obliczu.

— Rozumiem cię... — szepnąłem, obejmując jej nawpół obnażoną pierś wzrokiem nietajonego zachwyty.

— Oh, nie o to idzie...

— Nie?!.

— Musisz zjeść ze mną ostatnią kolację. A widząc moje wahania, gorączkowo do-rzuciła:

— Konającym nie odmawiają...

Dziwnie jakoś, a niemile podrażnił uszy moje grobowy ton tej uwagi, co widząc Hela, poprawiła się:

— Rozstajemy się, więc w danej chwili jestem dla ciebie jakby umierająca... A zatem... można przynieść coś do zjedzenia?

— Ha, niechaj i tak będzie.

Z okrzykiem dziecięcej zaiste radości zawisła mi na szyi...

.....
Kolacja była przewspaniała! trunki wysmienite, ilość zaś wysączonych kieliszków przekroczyła wszelką dozwoloną miarę.

Na ostatek pour la bonne bouche wszelakich delikatesów i likworów, podniecona do najwyższego stopnia dziewczyna, przyrządziwszy na maszynie prymusowej gorącą jak lawa piekielna „grzanekę“, stanęła przede mną w wyrzeźbionej przedziwnem pięknem nagości ciała swego i podsunąwszy pod moją obnażoną rękę jakby utoczone ramię, purpurowemi usty sączyła słowo po słowie:

— ... Leon... pamiętasz ten bruderschaft? tam na boskim czwartaku... Co?..

— Czyżbym mógł zapomnieć! — bełkotałem splątany już nieco językiem, — jak dziś pamiętam!

— ... Leon... ja byłem wtedy niewinna... Po raz pierwszy zerwałeś ze mną kwiata miłości.

A potem zaśmiała się śmiechem srebrzystym.

— Ha, ha, ha!.. zerwałeś kwiat miłości!.. Jakież to poetyczne porównanie... To mi się byczo udało!.. Prawda?... Albo, inaczej mówiąc: spróbowałeś pistacjowego smaczku cnoty dziewiczej...

— Ha, ha, ha! cnoty dziewiczej... pistacji... smaczku... miłości płomiennego kwiatu!

— A potem było nam tak dobrze!..

— Pamiętasz... Leon?

— Pamiętam, Helu...

— A jeszcze potem... to już cudownie było....

Pamiętasz... Leon?

— Pamiętam, Helu... było precudnie!..

— Leon... pistacjo... smaczku rozkoszy... plątała się już w nawpół pijanem odurzeniu...

— Co, Helu?

— Dzisiaj tak samo będzie?... Nieprawdaż?..

— O tak! tak! tak!.. — dyszałem, z zaparciem tchu w falującej piersi.

I w tejże chwili bez pamięci runęliśmy oboje na łoże....

.....

.....

Była to noc już nie zwykłej miłości, lecz orgji zmysłowej, od której skronie galopującym tętnem pulsowały dotąd, dopóki sił star-

czyło w skłębionych ciałach i do tej krańcowej chwili, aż przekrwione szaleństwem mózgi utonęły nagle w zawrotnym wirze obłądnego użycia....

.....
Co najmniej popołudniowa już musiała być pora, gdym z trudem niemałym zdołał przerwać sen jakiś dziwnie nienaturalny a srodo męczący.

Raz i drugi próbowałem unieść się nieco na rękach, ale ciężka jak kamień głowa z powrotem opadała na poduszki.

Wreszcie nadzwyczajną siłą woli, zwyciężywszy niezwykle omdlenie, spuściłem nogi z pościeli i w tejże samej chwili spostrzegłem Helę leżącą na małym dywaniku, tuż przy łóżku.

Zerwałem się na równe nogi, lecz siły w tymże samym momencie opuściły mnie całkowicie i padłem na jej rozkosznie utoczone łono.

Chwilowy to był jednak zawrót głowy, bom się natychmiast podniósł z ziemi, z zamiarem obudzenia tak niewłaściwie śpiącej kochanki.

— Hela!.. Hela!.. — wołałem, — obudź-że się!.. już późno!.., lecz widząc że nic nie odpowiada, ująłem delikatnie jej ramię... i w tejże chwili krzyk rozdzierający wyrwał się z mojej piersi.

Ręka jej była zimna jak lód.

Przerażony wzrok mój padł teraz na pustą, białą flaszkę, porzuconą na ziemi i poczułem równocześnie silny odór karbolu.

Porwałem jej skronie w obie ręce i patrzałem tak szeroko rozwartymi oczyma na bezwładnie odrzuconą w tył jasną głowę dziewczęcia.

Policzki zdawały się jakby nieco nabrzmiąte, a z kącików zsiniałych ust sączył się bezbarwny śluz.

Oczy były nawpół otwarte, lecz jakby cienką warstwą żelatyny osłonięte i zmatowane.

Rzuciłem się jak szalony na ziemię i przyłożywszy ucho do piersi dziewczęcia, słuchałem czyli bodaj słabe uderzenie serca nie da się wyczuć jeszcze.

Niestety, serce już nie biło.

Grom jasny trzasnął mię w twarz z taką mocą piekielną, że — zatoczywszy się około trupa, — w jednej tylko koszuli, z krzykiem niczem już niepowstrzymanej na ustach rozpacz, jak opętany wypadłem do sieni.

Cały dom wyległ w jednej sekundzie, ale ja już nic nie wiedziałem co czynię; biegałem jeno tam i z powrotem po korytarzu, z nieprzytomnym jękiem na zbiegających ustach, a potem już czułem że jakieś brutalne łapska wepchnęły mnie znowu do stancjki mojego

poddasza, — a później jeszcze też same łapy wcisnęły na mnie odzież, a gdy chwilowo utracona świadomość czynów wróciła do oszalałego mózgu — słyszałem najwyraźniej bogobojne uwagi, ciskane pod moim i mojej kochanki adresem:

— Ot, schlała się, ścierwo, do utraty zmysłów i szlag ją trafił akuratnie na posterunku.

A drugi znów, brzemienny szlachetnem oburzeniem głos, sekundował:

— Jakie świńskie życie, taka i psia śmierć.

Nie mogłem wydobyć z siebie ani jednego dźwięku.

Serce i dusza zacięły się w sobie z taką siłą, że słowa uwieźły mi w gardle i chociaż czułem niczem nieprzepartą chęć charknięcia w plugawę pyski nieczciwych megier, to jednak skończyło się na pobożnych życzeniach....

Pomimo że nie broniłem się — bynajmniej, wcale, — wypuszczono mnie jednak na wolność, władze bowiem sądowe doszły do przeświadczenia że kochanka... alfonsa popełniła samobójstwo...

Ale i cóż mi z tego, gdy życie moje od tej pory stało się czemś więcej niż rzeczą zbyteczną!

Ciężar jego gniótł mnie do ziemi z taką mocą, żem się ugiął coraz bardziej.

Nie miałem odwagi skończyć z sobą za jednym zamachem..., byłem wprost nędzny i marny pod tym względem; natomiast rad-bym ofiarować męczeńskie moje życie dobrowolnie komuś, ktoby się zgodził strzelić mi w łeb jak psu choremu! O jakże ucałowałbym ręce takiemu dobroczyńcy! i do nóg-bym mu się łasił z najszczerzem słowem podzięk!

Jakoż sposobność sama się nadarzyła ku temu i to prędzej niż bym się mógł tego spodziewać.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

I.

Czerwona wstęga.

Ciepłe jakoweś a niepokojące podmuchy szły po świecie, niosąc na lotach swoich nawałnice godne upalnego lata. Błyski też niepojęte rozdzierały czarne opony zagniewanych niebios, a nawet pewnego dnia rozmiękla od

dżdżu ciepłego ziemia zadygotała nagle pod uderzeniami potężnego gromu.

I próżno uczeni astrologowie, pod wodzą najstarszego Maga, za pomocą nadczułych udometrów gorączkowo obliczali zatrważającą zaiste ilość opadów niebieskich, — wściekle nawałnice, szalejące bez przerwy, paraliżowały wprost wysilone mózgi mędrców.

Bezowocnie też siwowłosi i gołobrodzi sakerdosy, zanosząc wspólne modły — składali je w płaskiej pokorze u podnóża Helikonu, gdzie — jak mówiono — promienisty Heljos błogosławionem ciepłem swojego ciała wygrzewał zamtuzowe łoża namiętych muz-kochanek.

I daremnie pono grobowo poważni mężowie, przerzucając przywiedle karty greckiej septuaginty, schnący rdzeń nadpróchniałych czerepów swoich wysilali w kierunku rozjaśnienia tajemniczej przędzy za pomocą perskiej mądrości.

W zandawescie milczenie było wielkie i niepojęte, jak niepojętą była zarozumiałość uczonych burzącego się wschodu...

Więc też niecierpliwi, a surowi nadwyrz helotyzci, zesławszy siwowłosych i gołobrodych mędrców na śnieżne pola gnębiących rozpamiętywań..., — sami postanowili ratować Herkula, szalejącego pod gryzącą nesusową koszulą Dejaniry..., a nadewszystko —

uchronić doczesne swoje znikomości od żywiołowej zagłady...

Aż oto pewnego poranku ustały naraz deszcze rzęsiste, a zgłębi ziemi począł wydobywać się jakiś zagadkowy szum i huk zatrwajający „prawomyślnych“ helotyztów, oraz za misę nędznej soczewicy zaprzędanych im kalibanów.

Zanim wszakże zdołali oni wydać lękliwobezduszny rozkaz „milczenia ziemi“, — rozwarły się liczne kratery i buchnęły płomienie, otulając krwawą purpurą krainę smutku.

I ekspulsja — z łona burzącego się świata podziemnych pragnień wyrzucać poczęła złotawe lignity, magnetycznej mocy, — modrookie turkusy chorozańskie, prawowite dzieci ziemi Synaj, wraz z liczną plejadą rodzimych lazurytów, — kwarce asyryjskie i biało-mgławie agaty, pół-krwi książęta słonecznego Elamu — pyszne nadwyraz onyksy, jaspisy, obsydjany, purpurowe krwawce, — ogniste granaty, prawowite syny bajecznego Wchodu, — zielonawe, na podobieństwo wód morskich — baryle, amianty włókniste, o połysku przeczystego jedwabiu, — ozokeryty, stopniałe całkowicie, — rubiny pryzmatyczne, jakby zerwane z promiennej szaty Madonny, — niebieskie, jak głębia wód świętych — szafiry, — słoneczno-promienne opale, — zielonawo-przezrocze szmara-

gdy, oraz stalowo-lśniące, jak oczy Gorgony, perły tajemnicze.

Aż rozległ się wrzask przeraźliwy:

.... „Kryształowe bogactwa podziemnych pragnień przelać do skarbcza gadzinowych ciemni, płomienne zaś wybuchy metanów, stłumić zimną jak śmierć i jak ona bezlitością stałą...“

Ilekróć wszakże razy zbliżali się pachółkowie ciemni, po tylekróć bogactwa podziemnych pragnień spływały nagle do wnętrza burzącego się świata, przez bezkresną zaś krainę smutku przeszły wstrząśnienia niszczącej potęgi...

Gdy w jednym miejscu, pod wpływem zimnej jak lód stali gasły krwawe jęzory, — natychmiast w drugim punkcie rozwichrzonej ziemi powstawały węże ogniste, potęgą swoją zagrażające malachitowej siedzibie...

II.

G h a z i.

Bezkresna scena zalana jest w tej chwili olbrzymim oceanem słotnej nocy.

Pod jej cieniem dzieją się rzeczy, o których nie śnili dotknięci chorobliwą miopią przeschłachetni mirzowie.

Przez głęboki parów, biegnący wzdłuż plantu kolejowego, pod osłoną nieprzebitej ciemni przekradają się trzy sylwety ludzkie.

— Czyście nie zapomnieli czego? — zapytuje cień ludzki, zatrzymując się na chwilę.

— Nie obawiaj się, zabrałem wszystko, — odpowiada cień idący tuż za nim.

— A ty, Leon?..

— Bądź o mnie spokojny, ale dlaczegoż wymawiasz nieopatrzenie moje imię, gdy mam przezwisko!..

— Prawda, jestem nieprzezorny i... przepaszam cię, ale bądź spokojny, nikt nas tu nie słyszy...

Po chwili znów cień pierwszy szepce:

— Żegoń, uważaj, nie potknij się, na rany boskie!

— Cóż za dzikie przypuszczenie! — odpowiada cień, dźwigający dość okazałych rozmiarów kasetę, obitą żelaznemi obręczami. Ale-m się tylko zmachał piekielnie!

— Jeszcze chwilę cierpliwości. Jesteśmy oddaleni od mostu zaledwie o jakieś kikaset kroków.

— Pst!.. dał się naraz słyszeć syk idącego przodem przewodnika. Zdaje mi się że jakieś niewyraźne światelko mignęło w tamtej oto stronie?..

— Czy widzicie?..

— Toć nie jesteśmy ślepi!

— Nie mam pojęcia co to być może, bo w tym punkcie, o ile mi wiadomo, niema budki dróżniczej.

— Ale czekajcie no, światelko jest ruchome.

— Czyby nie jaka zasadzka?!

— Nie gadajże głupstw! — zgromił go drugi. Skądże-by znów! Jeżeliby to miała być zasadzka, toż przecież nie czekanoby na nas ze światłem!

— No jużćić, tak, rzeczywiście, — szepnął idący na przodzie cień, ale — patrzcie... to nie jest światło nieruchome, teraz już jestem tego pewny. Zbliża się ono ku nam właśnie...

— Oho — widzicie — teraz soczewka huśta się ruchem wahadłowym: Nie ulega wątpliwości, że to albo dróżnik obchodowy, lub co gorsza — idzie akurat na nas straż, pilnująca plantu...

— Baczność! — zgrzytnął cień, dźwigający kasetę; — tutaj rosną jakieś krzaki. Ukryjmy się za nie, a jeśli nas dostrzegą — biada im!!

Czas już najwyższy było ukryć się poza krzewy, więc też cicho a zwinnie podpełznąwszy pod zarośla, przycupnęliśmy w głębokiem błocie, wypełniającem dno kolejowego wykopu.

Gdy migotliwe światło soczewki zbliżyło się na odległość kilkunastu kroków, przyczajeni w rowie, usłyszeliśmy cichy gwar rozmo-

wy, prowadzonej między idącymi plantem ludźmi.

— Jest ich dwóch — szepnął, trzymający kasetę.

— Przepuścimy ich — takimże szeptem odpowiedział nasz przewodnik.

Kiedy już rozmowa, stłumiona przez zwiększającą się coraz bardziej odległość dążących w stronę stacji funkcjonarjuszów kolejowych utonęła wreszcie w czarnej, przepastnej przestrzeni, — wówczas udaliśmy się w dalszą drogę.

Po upływie jednak kilkunastu minut niebezpiecznego przekradania się, pierwszy cień zatrzymał nas przeciągłem syknięciem.

— Co takiego?..

— Żegoń, postaw kasetę, a ty — Czapla, połóż druty i instrumenty, ot tutaj, pod tym wielkim kamieniem... Łatwo nam będzie trafić... — szeptał kierownik nocnej wyprawy.

A gdyśmy spełnili zlecenie, — zauważył:

— Widzicie, o! — to już bardzo blisko!..

— A tak — odszepnął Żegoń — nawet słyszeć ich...

— Istotnie, słyszeć... — potwierdziłem i w tejże samej chwili uczułem pot kroplisty, występujący mi na zimne czoło.

A stamtąd — na skrzydłach surowego podmuchu nocy przypłynął ku nam cichy ton jakiejś smętnej piosenki.

— Cicho!... Czyście spełnili rozkaz?

— Już...

— Opatrzyc broń!

— Moja nie zawiedzie, — zapewnił Żegoń.

— Ja... milczałem, przytrzymując obiema rękami rozsadzające pierś moją — serce zbuntowane.

— Idźmy! — przedarł się do naszych uszu rozkazujący ton komendy.

Po cichu, jak trzech zaczązonych jaguarów, poczęliśmy pełznąć dalej, aż wreszcie znaleźliśmy się pod niewielkim, bo zaledwie parosążniowej długości mostem, a właściwie murewaną szluzą kolejową, strzeżoną przez dwóch uzbrojonych ludzi.

Spodem nie płynęła woda, był to bowiem przekop, zbudowany na wypadek roztopów wiosennych, w czasie których — rzecz dziwna, w tem właśnie miejscu zbierały się często — kroć tak wielkie i groźne fale, iż niejednokrotnie już plant kolejowy poważnie bywał zagrożony.

Trzeba było stosować nadludzką zaiste ostrożność, aby nie być dosłyszonym na górze, bowiem pod wyokragloną muszlą szluzy, najłżejsze bodaj a nieopatrzne strącenie jakiegoś kamyka odbiłoby się huczącym echem dokoła.

Rozważny Żegoń, ściskając w zębach nóż, cał za całem nieomal przekradał się cicho

a zwinnie w stronę, gdzie jeden z uzbrojonych stróżów kolejowych stał na posterunku.

Zwinny przewodnik szalonej wyprawy czynił toż samo, prześlizgując się bez najlżejszego szmeru w przeciwnym kierunku ku drugiemu stróżowi pilnującemu mostu.

Ja — stojąc na samem dnie szluzu, nagle oniemiałem ze zdumienia, a rozwarłszy szeroko oczy, pogrążyłem się w kamiennej kontemplacji ducha:

Tuż — tuż — zaledwie o parę kroków ode mnie płynął w tajemniczą dal krwawej nocy smętny głos dobrze mi znanej piosenki.

Była to przecież śpiewka moich stron rodzinnych:

Hej! tam na górze
Jadą rycerze...
Stuku — puku w okieneczko,
Wstań i otwórz, panienczko,
Koniom wody daj...

Serce zadygotało mi w piersi; zanim jednak zdołałem opanować wzruszenie, — już nowa, a odmienna od tamtej zwrotka przerywała ciszę czarnej, posępnej nocy:

Płynie rybka, płynie,
Drobnoucha płoteczka.
Zrzucaj, Maryś, wianek —
Siadaj do czepeczka...

Chciałem za wszelką bodaj cenę zatrzymać skradających się, bo mnie odwaga opusz-

czała i rzewność jakowaś łagodna obejmowała obiema rękami za szyję i przytulała do serca...

A tu jakby na złość — w niewdzięczną noc wprasza się niemniej od ostatniego serdeczne śpiewanie:

Skowroneczek śpiewa,
Słoneczko dojrzewa,
A dziewczyna w okieneczku
Jasia się spodziewa!
A po małej chwili
Jedzie Jasio miły
I zobaczył dziewczę w oknie —
Czapeczki uchylił —
I przyjechał bliżej
Pokłonił się niżej
I dał ci jej pierścionek złoty
Przecudnej roboty!...

Do oczu napływają łzy, duże jak przezroczyste kryształy, — serce wali jak taranem w dyżącą pierś moją...

Już... już miałem ryknąć na cały głos: Stójcie!..

Na litość Boga stójcie!..., gdy kierownik wyprawy nagłym a silnym rzutem dzikiego zwierzęcia skoczył przed siebie, a uchwyciwszy wartownika jedną ręką za gardło, — drugą, uzbrojoną w nóż, uderzał go szybko, błyskawicznie, z całej mocy w twarz — szyję, — piersi...

Żegoń niezgorzej załatwił się ze swoim...

W kilka chwil potem ze skrzyni, ustawionej pod mostem, węzowemi sploty wił się cienki, niewidzialny prawie drut miedziany, owinięty czarnem włóknem i biegł zdradliwie aż do oddalonego punktu, gdzie trzech tajemniczych demonów walki oczekiwało nadejścia zbrojnego pociągu...

Cierpliwość ich snadź nie miała być dzisiaj narażoną na zbyt długą próbę, gdyż wkrótce, po ukończeniu wszelkich przygotowań, dał się słyszeć szum i łomot zbliżających się wagonów.

Na zakręcie linii kolejowej ukazał się wreszcie potwór ognisty, spoglądający bystro w tajemną dal czarnej przestrzeni trojgiem olbrzymich płomiennych oczu.

Posuwał się naprzód z zawrotną prawdziwie szybkością, jakby nie pomny na możliwe niebezpieczeństwo okropnego momentu... Szum przeciągły parowozu, — miarowy stukot kół wagonowych, z matematyczną zda się ścisłością liczących spojenia szyn i urywany jakiś syk, wydobywający się z pod tłoków maszyny, pędzącej uparcie przed siebie, — wszystko to zlewało się w jeden charakterystyczny ton, nieodłączny od biegu rozpędzonego pociągu.

Nagle ziemia zatrzęsa się w posadach...

Ogłuszający, przeraźliwy huk, groźnem echem odbił się o zwały pobliskiego lasu...

A potem jeszcze błysk jeden i drugi strzelistym słupem rozpruł kiry piekielnej nocy i buchnęły naraz wielkie potworne płomienie, oświetlając ofiarny szmat ziemi, na której w przedśmiertnym bólu wiły się poszarpane ciała ludzkie...

III.

Modlitwa.

Gdy po stu stopniach zgnilizny wejdiesz na szczyt nędzy wieczystej i siostrzycy jej — czarnej niedoli, wówczas hartuj swoje serce widokiem, od którego — jeżeli krew twoja nie skrzepnie w żyłach, toś godzien nazwy człowieka ze stali.

Nędza rozparła się tutaj, niczem pani pyszna a potężna królowa.

Nie wolno obok niej przebywać nikomu, z zakłócających jej spokój przemożny.

Nie mają tu wstępu duchy ludzkiego pragnienia i nadziei. To też ani jeden promyk jasnego błękitu nie rozświetlił dotychczas ciemni nędzy wieczystej...

Ludzie, zamieszkujący poddasze wiekuistego smutku, to niewolnicy chytrej, a możnej pani.

Przenigdy oni nie zdołali wydobyć się z serdecznych uścisków nędzy...

Kochała ona ich zawsze i miłuje teraz nad wszystko na tym padole cichego jęku i ukrytej przed światem rozpacz.

Bo dumni są ci nędzarze!

Łzy wypalały im oczy, — krew zalewała serca, — mózgi żarła tęsknota, a oni, trawieni gorączką niedoli, trwożliwie jeno tulili się do siebie, jak nawpół obłąkane stado gniem młodych, zamkniętych błyszczącym pierścieniem leśnej pożogi.

A jako przygodny mieszkaniec — ukryty przed argusowem okiem niepożądaney opieki..., mimowoli musiałem być świadkiem tego co się dokoła działo...

Lecz — o dziwo! — w czasie chwilowej a nieopatrznej zadumy nędzy, — pewnego poranku zakradł się maleńki promyk nadziei pod zbutwiały już dach nieszczęsnej ciemni...

— Idź, synu jedyny tam, kędy wzywa cię obowiązek spłacenia długu...

Idź...

— Idź, święty mój oblubieńcze! — ozwał się srebrzysty głos nieskalanej miłości dziewiczey...

— Idź, bracie, a opiekunie nasz!.. — zakwiliły głosy anielskiego chóru...

Idź!..

I poszedł syn ludu i nigdy już nie wrócił...

Wydobyte z pod stosu trupów zwłoki, pod aksamitnym płaszczem czarnej, posępnej nocy przyniesiono pod strzechę rodzinną...

A tam na oddalonym placu walki, w grzechot przedziwnie zgodnych salw ręcznej broni, wdziera się ponury huk armat...

Przed katafalkiem, otoczonym kilkoma gojącymi świecami, skąpana w łzach rozpacz, klęczy rodzina smutku...

I płyną słowa modlitwy cichej a rzewnej:

— O Panie! skoro z niezbadanych wyroków Twoich spodobało Ci się zabrać nam ukochaną istotę — ulituj się nad jego duchem i przyjmij go do królestwa swojego za bohaterstwo, — za poświęcenie, — za śmierć męczeńską!...

A tam na oddalonym placu skowyt armatni grzmi coraz wścieklej, jakby chciał zagłuszyć błagania...

— Panie nad Pany, przyjmij duszę syna jedynego i wprowadź go pomiędzy bohaterów!..

A tam na oddalonym placu drżą mury burzonego grodu, — rwą wichry zapamiętałego mordu i jako zażarte brytany rzucają się na siebie...

— Królu nad Króle! do Ciebie zanosimy to nasze błaganie!

Sędzio wielki a sprawiedliwy ulituj się nad.....

.....

...Piekło rozwarło swoje bramy ogniste!...

Rozległ się huk ogłuszający. Szczytowe mury domostwa prysły jak szklane płyty, a z trzaskiem gruchotanego sklepienia wklebiły się chmury czarnego jak noc dymu. Zabłąkany pocisk wybuchowy, przebiwszy wiązania dachowe, za jednym zamachem śmiertelnego gromu startł z łona ziemi korzających się przed sprawiedliwością niebios ludzi...

Krew bluznęła purpurową strugą, oblewając ruiny zburzonego siedliska ludzkiej gehenny. A ponad tym stosem dymiących rumowisk, wyrzucony z trumny pomiędzy unoszące go bale i krokwie zwalonego sklepienia, oblany gorącą krwią matki i braci swoich, stał kłębiący trup syna...

Czemu mnie tylko jednego ocaliłeś, o losie okrutny!

A może pragniesz doświadczyć mnie jeszcze bezlitośniej?!

Dziej się straszna woła twoja!..

Zakrywszy krwią serdeczną osłonięte oczy, opuściłem strzaskane progi zburzonego domostwa.....

IV.

Odkupienie.

Wzleciał duch młodzieńczy ponad stuletnią gąszcz leśną, biegnącą sinawą wstęgą

wzdłuż pochmurnego horyzontu, tam bowiem pod cieniem dębów prastarych i roschatych sosen toczył się bój zażarty na śmierć i życie.

I tym razem gromowładna Nike szalę zwycięstwa przechyliła na stronę ulubieńca swojego — Aresa.

Z liczby tysiąca, owianych złudną nadzieją, dwustu trzydziestu legło na czarnym polu zagłady.

Wielu z nich, ciężko rannych, dobijano na miejscu śmiertelnym cięciem białej broni.

Nieopodal drogi, wijącej się zwodniczo po nad brzegiem srebrzystej rzeki, biegł znacznej długości dół, do którego wrzucano zeszpecone walką śmiertelną ciała poległych.

Gdy milczący oddział grabarzy zasypywał zwłoki, jeden z rannych zbudził się nagle z ciężkiego omdlenia w chwili, gdy wrzący rycerz zabierał się do potwornej czynności zrzucenia go na dno mogilnego dołu.

Był to młodziutki, najwyżej siedemnaście lat zdający się liczyć wolontariusz — dziecko prawie!

Rozpłatan miał ramię i zgruchotaną powyżej stopy lewą nogę; odzyskawszy jednak świadomość straszliwego niebezpieczeństwa, — słowa palące zwrócił do swojego grabarza:

— Dobij! — jęknął, — ale nie zakopuj żywcem! A widząc że głuchy na jego zaklęcia zwycięzca wlecze go na brzeg mogiły, — ran-

ny ostatkiem mdlejących sił, wydobywszy z za pasa rewolwer, skierował go w skroń własną....

Huknął strzał.

Obiegłe krwawemi żyłkami oczy, wysadzone całkowicie z orbit, zdawały się przez chwilę patrzeć na zwycięzcę wzrokiem śmiertelnego strachu, było to jednak, złudzenie, — życie przestało już dręczyć swoją ofiarę.

I ta właśnie ziemia, która przez długie jeszcze lata powinna być żywicielką świętą młodego ducha, — dzisiaj właśnie otula go zimną, lodową powłoką...

I długo, długo, bo aż do rubinowego zachodu słyhać jeszcze było głuche, tłumione jęki żywcem pomiędzy trupy rzuconych i pogrzebanych synów, którzy życie swoje oddali bez skargi na zsiniałych ustach...

I taż sama żywicielka rozdartem na poły łonem swoim wabiła już coraz świeższe zastępy brawurowych szaleńców...

Trzydziestu ośmiu nas pojmano z bronią w rękę.

Wszyscyśmy wyrokiem sądu polowego skazani zostali na śmierć.

Trzydziestu sześciu, bez słowa skargi i najłżejszego jęku, pod gradowym udarem kul, zwiesiło bezwładnie głowy, wyzionawszy ducha.

Do głuchej ciemni swojej przyjęła ich ziemia — zdrajczyni, otulając wszystkich olbrzymią oponą niezbadanej tajemnicy.

Pozostało już tylko dwóch: przywódca lotnego oddziału i młody chłopczyzna o bladej wynędzniałej twarzy męczennika.

Do młodego wodza zbliżył się ksiądz ze słowami łagodnej pociechy.

Słuchając nastrojonego na rozrzucającego ton szeptu żarliwego sługi kościoła, młody wódz od czasu do czasu rozjaśniał wzrok pobłażliwym półśmiechem.

Wreszcie, ucałowawszy krzyż, prosił aby mu nie zawiązywano oczu.

Życzeniom jego stało się zadość.

Przykrępowany obok swojego młodszego współtowarzysza do pnia, umieszczonego tuż nad świeżo wykopanym dołem, spoglądał dumnie na szarą czeredę bliźnich, mających przerwać pasmo burzliwego życia, i na obliczu jego wykwitł rumieniec.

Naraz, wzniosłszy jasne oczy ku błękitom, zawołał:

— Umieram, bo-m usiłował rozdmuchać zar, tlejący w łonie ziemi!, bo pragnąłem z całego serca i z całej duszy mojej rozedrzeć brutalne opony bezlitosnych ciemni, aby utorić drogę do światła promiennego!

Umieram za nieugiętą wiarę w zbliżający się dzień wielkiego odrodzenia duszy ludzkiej!...

I w oczach jego odbiły się tajemnicze światy pragnień nieziszczonych...

Przez krótki moment trwało ciężkie brzemienne dojmującym bólem milczenie, wreszcie komendant stanął nieopodal swojego plutonu.

Gorączkowe ruchy i pobladła twarz jego zdradzała silny niepokój.

Drżącą ręką wydobywszy z kieszeni białą chustkę, zwrócił się w stronę dobosza.

Rozległ się głuchy wark bębna.

Teraz chustka uniosła się w górę.

Przez mgnienie oka zdawało się że porwały ją ku sobie gałęzie płaczącej brzeziny, lecz było to tylko złudzenie, bo oto z błyskawicznym rzutem ręki spadła nagle ku ziemi.

Gruchnęła salwa i głowa skazańca omalłym ruchem osunęła się na piersi...

Tryskająca zdrowiem rumiana postać księdza, zbliżywszy się do bladego młodziana:

... — W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego..., — szeptać począł, unosząc w górę zsiekane przekrwionemi żyłkami oczy; lecz tenże elektryzującym błyskiem wzroku stracił z jego ust słowa modlitwy za konających, które zda się zamarły wpół drogi, a ucałowawszy jeno wizerunek Odkupiciela Świata:

— Odejdź, księżu..., — rzekł, — płomienna wiara moja w Boga, nie pozwala mi ufać słowom twoim...

Oblicze księdza przybrało barwę apoplektycznej purpury.

Chciał zgromić, lecz uprzytomniwszy sobie snadź bezcelowość podobnego wystąpienia, bez szemrania już spełnił ostatnie życzenie skazanego.

Biały szmatek chusty po raz wtóry jak raniony gołąb furknął ku ziemi.

Odpowiedział mu zabójczy grzechot salwy karabinowej...

Śnieżne czoło męczennika pochyliło się, a ze zsiniałych ust, wraz z ciepłą falą krwi spłynęły dwa ciche westchnienia:

..... — Matko! Helu!.....



K O N I E C.

Czesław Ostrowski

Warszawa w Styczniu 1910 r.

